

Robards Karen

Brutalna prawda

Niemożliwe jest wymazanie przeszłości. Można ją jedynie pogrzebać i mieć nadzieję, że pozostanie głęboko zakopana. Niestety stare sekrety uparcie czekają na odkrycie.

Młoda, piękna Lisa pracuje w biurze prokuratora okręgowego. Podczas porządkowania dokumentacji starych nierozwiązanych spraw odkrywa akta, które wstrząsają posadami jej świata. Przed dwudziestu ośmiu laty zniknęła czteroosobowa rodzina: małżeństwo z dwojgiem dzieci. Kobieta na zdjęciu do złudzenia przypomina Lisę, a mała dziewczynka mogłaby być jej bliźniaczą siostrą. Lisa Shewmaker nie ma czasu otrząsnąć się ze zdumienia i przystąpić do odkrywania własnej przeszłości, ponieważ niemal natychmiast zostaje wplątana w serię niebezpiecznych wydarzeń. Podejmuje decyzję zawierzenia swoich kłopotów nowemu pracodawcy, Scottowi, co zupełnie zmienia ich relację...

We dwoje usiłują rozwikłać przerażającą sieć kryminalnych powiązań, które mogą zrujnować życie Lisy lub całkowicie ją go pozbawić...

PROLOG

1 maja 1981

M amusiu, znowu ktoś patrzy na nas z lasu - szepnęła mała Marisa Garcia, zaciskając kurczowo palce na swetrze matki.

Jasnożółta angora była miękka, miła w dotyku i dziewczynka rozpaczliwie jej się przytrzymała, drepcząc za matką. Wpatrywała się z przerażeniem w złowrogi cień na skraju lasu niedaleko podjazdu. Poruszone wiatrem korony drzew wydawały niepokojące odgłosy; liście szeleściły, gałęzie skrzypiały. Pięcioletnia Marisa zadrżała i odwróciła wzrok, jeszcze mocniej zaciskając paluszki na swetrze. Dom był jeszcze ciemny, a światła samochodu już wyłączone; odkąd zamieszkali na tym odludziu, nie mieli żadnych sąsiadów. Podjazd oświetlały jedynie promienie księżyca.

- Tam nikogo nie ma, słoneczko - zapewniła dziecko Angela, siląc się na spokój.

Była obładowana zakupami i chciała jak najszybciej wejść do domu. Nawet nie spojrzała w kierunku lasu, z góry uznając, że córeczka zmyśla. Owszem, Marisa czasem zmyślała.

Jednak nie tym razem.

- Właśnie że ktoś tam jest - upierała się dziewczynka bez nadziei, że zostanie wysłuchana.

-Marisa to mała dzidzia, Marisa to mała dzidzia.. - droczył się z siostrą siedmioletni Tony, robił miny i tańczył wokół niej, wymachując torbą z zakupami.

- Przestań natychmiast, synu. - Dwudziestodziewięcio-letnia Angela Garcia, mama Marisy, była zdenerwowana z powodu spóźnienia. Zbliżała się dziewiętnasta, a o tej godzinie do domu wracał tatuś. Wścieknie się, jeśli na stole nie będzie kolacji.

Marisa bała się go, kiedy wpadał w gniew. Nie powinna nawet tak myśleć, ale czasem nie lubiła swojego ojca.

- Potrzyмай to. - Angela podała córeczce torbę z zakupami.

Nie lubiła, kiedy dziewczynka chwytala ją za ubranie i ciągle powtarzała, żeby Marisa tego nie robiła. Podała jej zakupy specjalnie, aby zająć czymś ręce małej, a ona się tego domyśliła, ale posłusznie wzięła torbę. Zawsze starała się być grzeczna, nawet jeśli czasem jej się nie udawało.

- Siedziałem dziś w kozie - rzucił niedbale Tony. Ostatnio często miewał kłopoty w szkole, co denerwowało mamę. Zresztą mama w ogóle stała się ostatnio bardziej nerwowa niż zwykle i mniej się uśmiechała.

- Och, Tony! Za co?

Marisa przestała słuchać i skupiła całą uwagę na niesieniu torby z zakupami. Bardzo jej zależało, żeby nie zawieść mamy i nie rozbić jajek. Drugą rączką obejmowała opiekuńczo Ginę, lalkę wielkości małego dziecka, którą dostała na urodziny w zeszłym tygodniu. Gina była wspaniała, wszystkie koleżanki Marisy miały już podobne lalki a ona od dawna o takiej marzyła, choć nie sądziła, że jej marzenia się ziszczą, ponieważ zabawka była bardzo droga Gina przypominała ją nawet wyglądem, miała czarne włosy i podobną sukienkę. Marisa mogłaby być najszczęśliwszą dziewczynką na świecie, gdyby nie ta nieszczęsna

przeprowadzka. Dziewczynka nie znosiła nowego domu, nowej szkoły i dzieci, które przeżywały ją grubaską, chociaż wcale nie była gruba - mamusia mówiła, że po prostu wygląda zdrowo - oraz tego, że tatuś mieszkał z nimi przez cały czas. Wolała, kiedy często wyjeżdżał, tak jak dawniej. Ale najbardziej przeszkadzał jej las wokół domu. Zimą nagie gałęzie przypominały ogromne ptasie szpony, a latem, kiedy pokryły się liśćmi, rzucały cień na podwórko, sprawiając, że nawet w środku dnia teren wokół domu tonął w złowrogim półmroku. W tym lesie działy się dziwne rzeczy; z okna sypialni Marisa widywała jakieś stwory o płonących oczach, a od niedawna także nieznanym ludzi. Właściwie nie widziała ich nigdy dokładnie, ale dostrzegała ciemne sylwetki między drzewami. Wiedziała, że tam są i mają złe zamiary. Próbowwała porozmawiać o tym z mamą i bratem, lecz oni nie chcieli jej słuchać. A teraz ów człowiek cień powrócił. Czowała na sobie jego spojrzenie, wyczuwała niechęć tego obcego mężczyzny. Skuliła ze strachu ramiona i poszła czym prędzej za matką do domu.

Lucy oszalała ze szczęścia na ich widok. Skakała, ujadała i biegała w kółko z radości. Była dużą, czarną, kudłatą suką - Tony mówił, że to kundel - i mieszkała z nimi od zawsze. W każdym razie odkąd Marisa sięgała pamięcią. Przeprowadziła się razem z rodziną Garcíów z Marylandu do Kentucky na jesieni.

Dziewczynka wiedziała, że Lucy także nie podoba się nowe miejsce. Całe dni przesiadywała zamknięta w domu, ponieważ nie mieli ogrodzenia ani pieniędzy, żeby je postawić, a suczka lubiła gonić krowy.

Kto to słyszał, żeby mieszkać obok krów?, zadawała sobie pytanie Marisa.

Chcę do domu, myślała z rozpaczą. Wszyscy razem, łącznie z Lucy, weszli do małej, brzydkiej kuchni, w której zapłonęło światło. Od ciemnego lasu oddzielały ich już bezpiecznie zamknięte drzwi.

Domem nazywała ładny biały budynek w Marylandzie, sąsiadujący z mnóstwem innych, z podwórkiem, na którym rosło tylko jedno duże drzewo. Marisa starała się nie wspominać go zbyt często, gdyż na samą myśl zbierało jej się na płacz z tęsknoty. A dziś na dworze panował złowieszczy mrok, wrócili późno do domu i tata będzie zły, a w lesie czai się ktoś obcy. Dziewczynka tęskniła za Marylandem bardziej niż kiedykolwiek. Poczowała znajomy ucisk w klatce piersiowej.

- Szybko, robimy kolację. Mariso, nakryj do stołu. Tony, uwiąż Lucy przed domem.

Angela wyjęła z opakowania gotowe kotlety i wrzuciła je na patelnię. Hamburgery, zauważyła Marisa. Mogą być, chociaż wolałyby coś innego.

- Tylko uważaj - ostrzegła brata, wyjmując czyste naczynia ze zmywarki, podczas gdy Tony przypinał Lucy smycz, żeby nie biegała za krowami. - Ktoś jest w lesie.

Posadziła Ginę w rogu kuchni, tak żeby wszystko widziała. Najchętniej zrobiłaby jej miejsce przy stole, ale tatuś by się nie zgodził, a Tony by ją wyśmiał. Tylko mama rozumiała, jak ważna jest dla niej lalka.

- Nikogo tam nie ma, głupolu - parsknął Tony, a mama westchnęła.

- Dostałam dziś nagrodę - wyznała Marisa, kiedy zostały same, pokazując mamie duży srebrny medal na niebieskiej wstążce. Nie lubiła się przechwalać w obecności brata, bo on nigdy nie dostawał żadnych nagród. Mogłoby mu się zrobić przykro, a jeśli Tony'emu było przykro, pakował się w kłopoty. Marisa czułaby się winna, gdyby przez nią coś zbroił, dlatego wolała, żeby nic nie wiedział. - Za czytanie. Jest na nim moje imię.

Angela przerwała przygotowywanie kolacji i spojrzała z uśmiechem na medal.

- Ojej, córeczko. Jestem z ciebie okropnie dumna. Dobra robota

Marisa odwzajemniła uśmiech. Poczula się prawie jak w domu, jakby nic się nie zmieniło.

- Tato przyszedł - oznajmił Tony, wkraczając do kuchni w ubłoconych butach.

Zasłony w biało-niebieską kratkę zafalowały pod wpływem przeciągu, do kuchni wypełnionej zapachem smażonego mięsa i gazu z nieszczelnego palnika wpadło wilgotne powietrze.

- Aha. - Mama w panice wyjęła puszki z groszkiem i kukurydzą z jeszcze, nierozpakowanej torby z zakupami. Od razu zabrała się do otwierania groszku. Rozległ się dźwięk rozcinanego metalu, mięso skwierczało na patelni, Tony hałaśliwie zrzucił na podłogę ubłocone buty, Lucy szczekała za oknem. - Przebierz się w pizamę, Tony. Masz dzinsy całe ubabrane w błocie. Zresztą buzię i ręce też.

- To przez Lucy. Skakała na mnie.

Lucy nie lubiła zostawać wieczorami sama na podwórzu, w dodatku uwiązana. Podobnie jak ona, Tony - i mamusia chyba też - suczka tęskniła za domem.

Groszek i kukurydza grzały się już w rondelkach, Tony pobiegł się umyć, a Marisa wzięła na ręce Ginę.

Michael Garcia wszedł do kuchni. Był silnym szczupłym mężczyzną, niezbyt wysokim, ale Marisie wydawał się olbrzymi. Miał na sobie dzinsy, flanelową koszulę, wysokie buty i czapkę bejsbolową.

Zaciśnięte usta oraz wściekłe spojrzenie powiedziały dziewczynce, że tatuś nie jest w dobrym humorze.

Przycisnęła lalkę mocno do siebie i bezwiednie uniosła palec do buzi. Przesunęła się bliżej matki, chociaż sto razy jej powtarzano, żeby nie stawała za blisko kuchenki.

- Miałem dziś cholernie ciężki dzień - oznajmił Michael, omiatając krytycznym spojrzeniem ślady błota

pozostawione przez Tony'ego oraz nierozpakowane torby z zakupami porozkładane na blacie. Pokręcił głową z dezaprobatą, zamknął za sobą drzwi i rzucił coś na stół. Marisa oparła się plecami o szafkę kuchenną, chcąc być jak najbliżej mamy. Wdychając miłą woń perfum, którymi Angela spryskiwała się przed wyjściem do pracy, mocniej przytuliła Ginę i zawzięcie ssała kciuk. - Kolacja jeszcze niegotowa? Co ty, jaja sobie ze mnie robisz?

- Ja też wróciłam dopiero przed chwilą. - Mamusia nigdy nie okazywała złości i nie podnosiła głosu. W obecności taty zachowywała się bardzo spokojnie. Dziewczynka przypuszczała, że mama także się boi. - Za chwilę podam jedzenie.

- Co dziś będzie? - Skrzywił się, zerknąwszy na patelnię. - Znowu to świństwo?

- Staram się gotować oszczędnie, Mike.

- Masz do mnie pretensje? - warknął ze złością, a Marisie ze strachu zaschło w gardle. Gdyby nie to, że miała zajęte obie ręce, chwyciłaby matkę za spódnicę. Z całych sił starała się stać niewidzialna. - To przez ciebie wylądowaliśmy na tym zadupiu.

- Wiem.

Okazało się, że udawanie niewidzialnej na nic się nie zdało, ponieważ ojciec nagle utkwiał w niej wzrok, a dziewczynka zamarła z przerażenia. Kiedy wpadał w złość, musiał się na kimś wylądować. Zazwyczaj ofiarą padał Tony; większy i bardziej hałaśliwy, stanowił łatwiejszy cel. Jednak chłopiec jeszcze nie wrócił z łazienki, pewnie specjalnie się nie spieszył. Tatuś miał do wyboru tylko ją albo mamę.

- Wyjmij palucha z buzi! - krzyknął tak donośnie, że Marisa aż podskoczyła.

Zamachnął się ręką, jakby chciał ją uderzyć. Mało brakowało, a zsiusiałaby się w majtki ze strachu.

Schowała

mokry kciuk za plecy. Wiedziała, że nie wolno ssać palca. Już kiedyś tatuś ją za to skrzyczał.

- Kolacja gotowa - oznajmiła Angela, podchodząc do nakrytego stołu z patelnią w ręku. - Mariso, zawołaj Tony'ego, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową, przemknęła obok matki, zerknąwszy na ojca rozszerzonymi ze strachu oczami, i czym prędzej opuściła kuchnię. Nie biegła wyłącznie z obawy, że go jeszcze bardziej rozwścieczy.

- Daj jej spokój, Mike. Nie będę tolerować takiego zachowania. - Usłyszała przyciszony głos mamy. Była już na korytarzu łączącym trzy małe sypialnie i łazienkę z salonem.

- Będziesz tolerować każde moje zachowanie, jasne? Jesteś mi coś winna i nigdy o tym nie zapominaj.

- Spłacam dług. Przecież dlatego tu jestem.

- Oboje wiemy dlaczego.

Marisa nie zrozumiała ani słowa z tego, co mówili rodzice, ale przestała się przysłuchiwać, ponieważ znalazła Tony'ego. Siedział skulony na kanapie w salonie, przebrany w piżamę, i oglądał telewizję, bardzo cicho, żeby ojciec się nie zorientował, co robi.

- Kolacja - powiedziała i dodała konfidencjonalnym szeptem: - Jest zły.

- Jest dupkiem - odparł gorzko Tony. Marisa otworzyła szeroko buzię. Nie wolno używać brzydkich słów. Jednak brat rzadko zwracał uwagę na to, co wolno, a czego nie.

- Tony! Marisa! - zawołała mama. Tony wstał z kanapy.

- Lepiej zostaw tę lalkę. Nie lubi, kiedy ją ze sobą wszędzie nosisz.

- Dzięki, Tony - odparła z pokorą. Miał rację, tatuś już na nią za to nakrzyczał, a kiedy musiał krzyczeć wiele razy z tego samego powodu, wpadał w szal. Zaniósł

Ginę do swojej sypialni, posadziła delikatnie pod ścianą niedaleko drzwi i zeszła na kolację. Podczas posiłku nikt się nie odzywał; Marisa zjadła najszybciej, jak mogła. Po kolacji tatuś powiedział, że wychodzi. Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy zamknęły się za nim drzwi. Pomogła mamie posprzątać ze stołu, a Tony odrabiał w kuchni lekcje. Potem mama przygotowała jej kąpiel. Kiedy Marisa wychodziła z wanny, a mama owijała ją w ręcznik, Lucy zaczęła szczekać.

- Chyba tata wrócił - westchnęła Angela. Żołądek dziewczynki ścisnął się boleśnie.

Po chwili rozległ się dźwięk otwieranych i zatraskiwanych drzwi kuchennych.

- Angie! Angie, rusz tyłek i chodź tu do mnie! Mama przestała ją wycierać i popatrzyła z obawą w stronę kuchni.

- Włóż koszulę i kładź się spać - poleciła, wstając szybko. - Powiedz Tony'emu, że też ma iść do łóżka - dodała bardzo cicho.

- Mamusiu. - Marisa chciała się przytulić, ale mama już odeszła, powiewając spódnicą.

Zanim zdążyła się ubrać, usłyszała głos ojca wykrzykującego okropne rzeczy. Małe serduszko dziewczynki zaczęło bić bardzo szybko, Marisa dostała gęsiej skórki. Starła się nie słuchać awantury. Włożyła na szyję swój medal i poszła po Ginę. Tuląc w ramionach lalkę, skradała się do pokoju Tony'ego, żeby mu przekazać polecenie mamy. Drzwi do jego sypialni były zamknięte. Trzeba zapukać, a wtedy tatuś może usłyszeć i przyjść.

Cała się zatrzęsała na tę myśl.

Nagle w kuchni rozległ się straszny huk i Marisa aż podskoczyła. Po chwili mamusia krzyknęła rozdzierająco, tatuś także krzyczał. Dziewczynka zamarła z przerażenia.

Usłyszała głośny dźwięk, potem kolejny, jakby w domu eksplodowały fajerwerki. Okropne przecucie sprawiło, że zjeżyły jej się włoski na karku.

- Mamusiu!

Pobiegła do kuchni, gdzie jej oczom ukazał się potworny widok. Z trudem chwyciła powietrze, nie słysząc prawie nic oprócz głośniego bicia własnego serca. Stała w progu z otwartą buzią i oczami szeroko otwartymi z przerażenia oraz niedowierzania. Tatuś leżał na podłodze, twarzą do ziemi, w kałuży czegoś, co wyglądało jak jaskrawoczerwona farba. Mama próbowała się odwrócić. Na jej żółtym sweterku pojawiła się purpurowa plama, która rosła z sekundy na sekundę jak rozkwitający złowieszczy kwiat.

- Mamusiu - szepnęła bezgłośnie dziewczynka.

- Uciekaj, córeczko! - krzyknęła Angela. Twarz miała upiornie bladą. - Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

W kuchni był ktoś jeszcze. Marisa zauważyła jakiś ruch za plecami matki. Od razu wiedziała, że to tamten człowiek cień z lasu. Przejęta śmiertelną trwogą rzuciła się do ucieczki; w głowie wciąż jej rozbrzmiewał krzyk matki. Przemknęła przez salon, a potem do frontowych drzwi i wypadła z domu, wpuszczając do środka chłodne wieczorne powietrze. Biegła bosą po zimnej, mokrej i śliskiej trawie, uciekając przed ścigającym ją cieniem.

Nie miała innej drogi ucieczki; szlochając ze strachu, wbiegła w ciemny las.

1

Spóźniłaś się na rozprawę! Kane dostało się od sędziego za nieprzygotowanie. Jest wściekła, podobnie jak ja - powiedział ze złością Scott Buchanan, nim Lisa Grant zdążyła na jego polecenie zamknąć drzwi do gabinetu. Wiedziała, że zasłużyła na burę, ale myślała przede wszystkim o tym, że koledzy słyszą każde słowo.

- Samochód mi się popsuł. - W jej głosie powinno być o wiele więcej pokory, lecz Lisa nie mogła się na nią zdobyć. Stała zdenerwowana na środku przestronnego pokoju i spojrzała szefowi w oczy.

- Bzdura - powiedział, wstając zza sfatygowanego metalowego biurka.

Kosztowne mahoniowe meble nie były w jego stylu, ten prokurator był przyjacielem prostych ludzi. Zmierzył ją groźnym spojrzeniem błękitnych - tego wtorkowego poranka nieco podkrążonych - oczu. Wyglądał, jakby miał lekkiego kaca, ale Lisa przyznała z niechęcią, że bardziej prawdopodobne, iż pracował do późna. Jego brązowe włosy były potargane, podobnie jak gęste, szerokie brwi nad wydatnym nosem. Kwadratowy podbródek nadawał twarzy Scotta twardy męski wyraz. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła, biała koszula i błękitny krawat kontrastowały z opaloną skórą. Scott Buchanan był trzydziestodwuletnim mężczyzną o muskularnej budowie i szerokich

ramionach, jego wygląd świadczył o pochodzeniu. Urodził się w rodzinie notorycznie bezrobotnego mechanika samochodowego; z wielką determinacją przebrnął przez studia prawnicze, na które zarobił ciężką fizyczną pracą.

- Nie, prawda.

- Podejź.

Jego groźny wzrok sprawił, że usłuchała polecenia. Zbliżyła się z wysoko podniesioną głową, świadoma, iż chłodna elegancja, z jaką reaguje na jego gniew, drażni go nie mniej niż czerwcowy upał. Choć jeden mały powód do radości, uznała Lisa. Ta dwudziestoośmioletnia kobieta była świadoma swojej atrakcyjności. W owalnej twarzy o regularnych rysach błyszczały olbrzymie oczy w kolorze ciepłego karmelu, naturalna oliwkowa karnacja nie wymagała sztucznej opalenizny, a gęste długie włosy, upięte w kok, były czarne jak skrzydła kruka. Garnitur z czarnego lnu wyglądał, jakby kosztował majątek; nieważne, że nosiła go już trzeci rok. Leżał idealnie, wydawał się skrojony specjalnie do jej smukłej sylwetki. Pod marynarką miała jedwabny top. W butach firmy Louboutin na wysokich obcasach, z charakterystycznymi dla tej marki czerwonymi podeszwami, była tylko kilka centymetrów niższa od Scotta. Miała szczerą nadzieję, że mu to przeszkadza.

- Wyjrzyj przez okno - powiedział, chwytając Lisę za łokieć. Pociągnął ją w stronę dużego okna za swoim biurkiem i uniósł zakurzone żaluzje, które zwinęły się z hałasem. Zmrużyła oczy i wyjrzała na ruchliwą Main Street. Parking przed budynkiem był prawie pełen. - Wyglądałem tak od czasu telefonu Kane. Wypatrując twojego samochodu. I wiesz co zobaczyłem?

Było to oczywiście pytanie retoryczne. Lisa opanowała grymas, który już-już wykrzywił jej usta.

- Królewicz w czerwonym porsche przywiózł księżniczkę pod same drzwi. Wysiadła po pięciominutowym

gorącym pożegnalnym obściskiwaniu. Niezbyt przejęta ponad godzinnym spóźnieniem. Poranny szybki numerek się przeciągnął?

Buchanan puścił jej rękę. Lisa odeszła z podniesioną głową i stanęła na wprost biurka twarzą do szefa.

- Idźże do diabła - powiedziała tonem ociekającym nienaganną uprzejmością.

- Wylatujesz z roboty - poinformował tonem dalekim od uprzejmości.

- Przepraszam. Samochód mi się zepsuł naprawdę. - Gdyby nie to, że wręcz rozpaczliwie potrzebowała tej pracy wyszłaby bez słowa. - Dlatego Joel mnie podwiózł. - Jej aktualny narzeczony, Joel Peyton, czyli ów królewicz.

- Tak trudno było zadzwonić do biura z informacją o spóźnieniu? - Jego głos ociekał sarkazmem.

Telefonowała do biura i rozmawiała z Emily Jantzen, która podobnie jak ona zajmowała się gromadzeniem danych. Koleżanka obiecała wziąć potrzebne materiały z jej biurka i dostarczyć je do sali sądowej przed dwunastą. Ciekawe, co się mogło stać, że tego nie zrobiła. Z pewnością coś poważnego, toteż Lisa nie miała zamiaru przysparzać Emily dodatkowych kłopotów.

- Przepraszam - powtórzyła.

Scott Buchanan prychnął pogardliwie.

- Nie stawiałaś się w sądzie. W biurze prokuratora podobne zachowanie nie może być tolerowane. To niedopuszczalne.

- Przemawiał do niej jak do niezbyt rozgarniętej dwulatki.

- Sędziowie nie lubią, kiedy jesteśmy nieprzygotowani. Ja także tego nie lubię. To brak profesjonalizmu. Znasz takie słowo?

- Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. - Boże, co za upokorzenie. . ,

Buchanan złagodniał nieco i Lisa przestała się obawiać, że ją zwolni. Od razu zresztą podejrzewała, iż to groźby bez pokrycia.

- Oby. Ponieważ dopiero co zstąpiłaś z Olimpu, możesz jeszcze nie znać naszych zasad. My tu pracujemy. Zaczynamy punktualnie o ósmej każdego dnia, a wychodzimy, kiedy wykonamy swoje zadania. Sześć dni w tygodniu.' Bez wyjątków. Zrozumiano?

-Tak.

- Kolejna wpadka i lądujesz za drzwiami, zanim zdążysz wydukać jakiejkolwiek usprawiedliwienie. Jasne?

- Tak. - Marzyła, żeby móc powiedzieć mu, co naprawdę myśli.

- Wspaniale. - Zadzwonił telefon. - Tak - powiedział do słuchawki. - Już jadę. - Nie spuszczał wzroku z Lisy. Odłożył słuchawkę. - Brak mi czasu i cierpliwości, żeby cię pilnować na każdym kroku. Nie będę też wydawał pieniędzy na opiekunkę. Lądujesz w piwnicy do odwołania. Zajmiesz się porządkowaniem akt zamkniętych spraw. Kiedy tam zejdiesz, przekaż Gemmel, że ma cię tu zastąpić. Ona przynajmniej jest obowiązkowa.

Zabolało. -Scott...

Włożył już marynarkę i szykował się do wyjścia. Wszyscy w biurze mówili sobie po nazwisku, więc jej przejęzyczenie natychmiast zwróciło jego uwagę. Na moment zapadła niezręczna cisza.

- Kochana, na twoim miejscu bym uważał. Znalazłaś się o włos od utraty pracy. Zresztą od początku byłem przeciwny zatrudnieniu cię. Zgodziłem się wyłącznie ze względu na twoją mamę.

Lisa miała wielką ochotę mu obiecać, że nigdy więcej nie zwróci się do niego po imieniu, jeśli Scott powstrzyma się od mówienia do niej: „kochana”. Ugryzła się jednak w język. Po raz pierwszy nazwał ją tak dwanaście lat temu. Wbrew pozorom teraz nie była to z jego strony próba zaznaczenia dominacji nad świeżo zatrudnioną asystentką.

Ponadto wolała go już bardziej nie denerwować. Chciałaby, ale to by niebyło mądre.

- Ona także cię uwielbia. - Była to nieprzyjemna dla niej prawda.

Jej piękna, łagodna, pełna ciepła matka, dziedziczka znacznej posiadłości, roztoczyła opiekę nad synem sąsiada - nieudacznika, odkąd Scott zjawiał się u niej po raz pierwszy z prośbą o pracę. Miał wtedy dwanaście lat. Od tamtego czasu pracował w Grayson Springs w każde wakacje oraz spędzał tam czas po szkole. Martha Grant zapraszała Scotta do domu na posiłki przygotowywane przez Elbę, ale wpuszczano go do kuchni wyłącznie na wyraźne polecenie pani domu. Nastoletni stajenni zazwyczaj nie bywali gośćmi w rezydencji. Martha dbała, żeby zawsze znalazła się dla niego jakaś praca, kiedy o nią prosił. Załatwiła mu także masę innych rzeczy, o których córka nawet nie wiedziała. Podejrzewała, że właśnie dzięki mamie ich pomocnik miał szansę skończyć studia. Toteż miesiąc temu, kiedy kancelaria w Bostonie zbankrutowała pod naporem kryzysu, a Lisa nie mogła znaleźć nowej posady, postanowiła schować dumę do kieszeni. Zwróciła się o pomoc do chłopaka, któremu kiedyś uokuczała razem z koleżankami ze swojej elitarnej szkoły w Lexington, w stanie Kentucky. Nie był zachwycony jej prośbą, ale dostała pracę. Jako asystentka zarabiała połowę tego, co na poprzednim stanowisku. Nie było innego wolnego etatu. Albo to, albo nic, powiedział Scott.

Zgodziła się i dobrze wypełniała swoje obowiązki. Informacje niezbędne na dzisiejszą rozprawę - dane na temat oskarżonego, wyniki badań laboratoryjnych, całą dokumentację dowodową - zebrała już dawno.

Nie dotarli z jej biurka do sądu wyłącznie z powodu awarii skrzyni biegów w jaguarze. Utknęła na zarośniętym poboczu wiejskiej drogi w Woodford, dopóki pomoc

drogowa nie odhołowała wozu. Do pracy dojechała wyłącznie dzięki uprzejmości Joela.

- Zbieram się, żeby ją odwiedzić. Jak się czuje?

- Bez zmian. Nie narzeka.

- Nie, to silna kobieta. Szkoda, że masz więcej genów po ojcu.

Otworzył przed nią drzwi z kpiącą kurtuazją. Lisa zacisnęła zęby, otrzymawszy cios poniżej pasa. Rodzice byli po rozwodzie, a jej relacje z ojcem, sędzią federalnym, pozostawiały wiele do życzenia. Miała wielką ochotę szturchnąć Scotta, gdy przechodziła do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie urzędowała Sally Adams, asystentka do spraw administracyjnych. Siwowłosa, pulchna, przyjaźnie usposobiona do wszystkich Sally pracowała w prokuraturze od dwudziestu lat. Dyskretnie odwróciła wzrok, udając, że jest niezmiernie zajęta swoją pracą.

- Witam - zwrócił się Scott do czekających na niego współpracowników: Davida Prachetta i Sandry Ellis.

Lisa zerknęła przez szybę na otwartą salę biurową, gdzie wśród wielu innych znajdowało się jej miejsce pracy. Wśród kolegów zapanowało poruszenie, wszyscy wracali w popłochu na swoje miejsca.

Zgadywała, że do tej pory bacznie obserwowali drzwi, spekulując między sobą, co też się za nimi dzieje. Wiadomość o tym, że podpadła szefowi rozniosła się po biurze lotem błyskawicy, i wszyscy umierali z ciekawości, z jaką miną Lisa wyjdzie z jego gabinetu. Natomiast nikt nie chciał zostać przyłapany przez Scotta na okazywaniu niezdrowego zainteresowania nie swoimi sprawami.

- Chandler z wydziału zabójstw mówi, że Gaylin jest gotów się przyznać - oznajmiła z wielkim przejęciem atrakcyjna Sandra Ellis, czterdziestoletnia brunetka. Miała na sobie letnią zieloną garsonkę, w dłoni trzymała teczkę. Chłopak, o którym mówiła, Gaylin, był narkomanem;

został aresztowany poprzedniego dnia pod zarzutem zamordowania własnej babki. Zatłukł ją młotkiem po tym, gdy odmówiła mu pieniędzy na prochy. Całe biuro, z Lisą włącznie, interesowało się tą sprawą.

- Chodźmy - rzucił do niej Scott i odszedł, nie patrząc na Lisę. Po jego wyjściu Sally odważyła się unieść wzrok znad klawiatury.

- Jak się czujesz? - spytała z troską. - Cokolwiek usłyszałaś, nie bierz tego do siebie. Szef jest ostatnio w kiepskim humorze - mówiła szeptem.

- Wszystko w porządku.

Prawdę mówiąc, była roztrzęsiona, ale nie miała zamiaru tego okazać. Uśmiechnęła się do Sally i wyszła. Postanowiła zaszyć się na jakiś czas w toalecie. Nie chciała znaleźć się w windzie razem ze Scottem Buchananem.

Okazało się, że wpadła z deszczu pod rynnę. Co prawda uniknęła przejażdżki windą z szefem, ale za to wpadła na Kane i Jantzen, stojące w towarzystwie kilku innych pracowników. Przebojowa asystentka prokuratora, Amanda Kane, była ładną trzydziestolatką o platynowych włosach. Dziś miała na sobie granatową sukienkę bez rękawów, w ręku niosła zakiet, torebkę oraz aktówkę. Wyglądała na spiętą. Płowłosa asystentka do spraw zbierania informacji, Jantzen, która skończyła studia zaledwie parę lat temu, nie ustępowała jej urodą, choć w nieco łagodniejszym typie. Była ubrana w spódnice w jaskrawe wzory oraz różową bluzkę. Wydawała się zrezygnowana. Obie dostrzegły Lisę w tym samym czasie. Jantzen otworzyła szerzej oczy, Kane je zmrużyła.

- Zaspałaś, Grant? - spytała. - Ósma rano to rzeczywiście bardzo wczesna godzina.

- Przepraszam. - Amandzie Kane należały się przeprosiny, miała pełne prawo się złościć. Co wcale nie poprawiło nastroju Lisy. Nadal nie pozbierała się po starciu ze Scottem

i uwaga asystentki prokuratora była jak wcieranie soli w świeżą ranę. - Samochód mi się zepsuł.

- Powiedz to Buchananowi - rzuciła Amanda i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Lisa przełknęła gorzką pigułkę i popatrzyła pytająco na Jantzen.

- Pobieglam z dokumentami zaraz po twoim telefonie

- wyjaśniła prędko dziewczyna przyciszonym głosem.

- Spóźniłam się jakieś dziesięć minut. Nie chciała ich ode mnie wziąć, twierdząc, że już powiedziała sędziemu, że jest nieprzygotowana. Moim zdaniem skorzystała z okazji, żeby narobić zamieszania.

Złośliwe babsko.

- Aż mi się nie chce wierzyć. - Lisa popatrzyła za odchodzącą Kane. Od jakiegoś czasu podejrzewała, iż nie jest przez tamtą lubiana, choć do dziś nie miała realnych podstaw, żeby tak myśleć. Odepchnęła od siebie pokusę, aby opowiedzieć o wszystkim SGottowi. Tylko że nie przysporzyłoby jej to przyjaciół ani nie zmieniłoby jego nastawienia. Przecież dokumenty nie dotarły na czas do sądu z winy Lisy. Nie będzie skarżypyta. - Dzięki, że próbowałaś - zwróciła się do koleżanki.

- Nie ma sprawy - uśmiechnęła się Jantzen. Drzwi jadącej w dół windy otworzyły się, w środku było już parę osób. Koleżanka ze zdziwieniem popatrzyła na Li-sę, widząc, że ta zamierza wejść do kabiny. -

Gdzie się wybierasz?

- Do piwnicy. Porządkować akta - skrzywiła się dziewczyna.

- O matko, zesłał cię na Syberię! - Jantzen zachichotała nerwowo. - To znaczy, że jest naprawdę...

Jej dalsze słowa nie dotarły już do Lisy, która rozpoczęła swoją podróż dziesięć pięter w dół, gdzie czekały na nią dziesiątki pudeł do posegregowania. Akta spoczywały wcześniej w podziemiach gmachu sądu okręgowego.

Do nowego budynku, dokąd przeniesiono biuro prokuratora, dostarczono je niedawno. Wśród personelu panowało powszechne przekonanie, iż najlepiej byłoby znaleźć dla nich dobre miejsce, po czym zapomnieć o istnieniu tych papierzysk. Tymczasem Buchanan kazał ponownie przeczytać dokumentację starych nierozwiązanych spraw, przejrzeć dowody, poddać próbki niedostępnym wcześniej nowoczesnym analizom laboratoryjnym i wpisać dane do komputera, aby można je było w razie potrzeby powiązać z bieżącymi dochodzeniami.

Niewdzięczna syzyfowa praca, której nikt nie chciał się podjąć.

Piwnica składała się z szeregu dusznych, wilgotnych pomieszczeń pozbawionych okien. Sztuczne oświetlenie było kiepskiej jakości. Do tego żółte ściany i śliska szara podłoga. Lisa, która wciąż jeszcze nie doszła do siebie po ostatnich przykrych przeżyciach, wzięła głęboki oddech i weszła do boksu ze starymi aktami. Zmarszczyła nos, czując stęchły zapach starego papieru. Całe pomieszczenie zastawione było brązowymi pudłami aż po sufit. Do stolika wiodła cienka ścieżka między nimi.

Alan Rinko i Tamara Gemmel unieśli ze zdziwieniem głowy. Rinko miał na sobie wygniecione spodnie khaki, białą koszulę z krótkim rękawem i czerwony krawat. Ten pulchny blady dwudziestoparolatek o kręconych brązowych włosach, w rogowych okularach na nosie, skończył drugi rok prawa. W biurze prokuratora odbywał staż wakacyjny. Tamara Gemmel, pracująca, podobnie jak Lisa na stanowisku asystentki do zbierania informacji, miała trzydzieści pięć lat, wysportowaną sylwetkę, czarne włosy do ramion oraz wyraźne upodobanie do koloru czerwonego. Tego dnia włożyła czerwoną bluzkę z krótkim rękawem i czarne spodnie. Podczas swojego niedługiego stażu w biurze prokuratora Lisa zdążyła ją polubić.

- Siema, Grant. Co tu robisz? - spytał Rinko. Siedział po turecku na podłodze ze stosem papierów na kolanach.

- Zostałam zesłana. - Wykrzywiła się komicznie, podchodząc do biurka z komputerem, przy którym siedziała Gemmel. Najwyraźniej wpisywała do bazy danych informacje podane przez kolegę.

- Co przeskrobałaś, że spotkało cię takie nieszczęście?

- Spóźniłam się, między innymi. Na pewno wszystkiego się dowiesz. - Dała Tamarze znak, żeby ustąpiła jej miejsca. - Przysłali mnie na twoje miejsce.

- Wracam zatem wreszcie do świata żywych! - Koleżanka skwapliwie poderwała się z za biurka. - Od tygodnia tu kibluję. Już myślałam, że się nie doczekam na kolejną ofiarę.

- Doczekałaś się. To ja. - Lisa usiadła przy komputerze, zerknęła na otwartą teczkę z aktami i stłumiła westchnienie. - Co mam robić?

- Nie musisz wszystkiego przepisywać. Wypełnij tylko formularz dla każdej sprawy i przyporządkuj im numery. Potem wystarczy zeskanować i dołączyć dokumenty. Jeśli coś znajdziesz, na przykład próbki DNA, odłóż na bok. Właściwie to Rinko ma za zadanie wyszukiwać takie rzeczy. Ty go tylko ubezpieczasz, w razie gdyby coś przegapił.

- Ja niczego nie przegapię. Mowy nie ma - zapewnił je chłopak.

Lisa popatrzyła na stertę papierów obok komputera.

- Co robić z dokumentacją po wprowadzeniu wszystkiego do bazy danych?

- To zależy. Powiedz jej, Rinko.

- Większość wraca do pudła. Rzeczy ważne, na przykład próbki DNA w śledztwach dotyczących gwałtu albo morderstw, idą do niebieskiego pojemnika. Pilne sprawy i dane dotyczące podejrzanych w bieżących dochodzeniach

odsyłamy bezpośrednio do konkretnych oskarżycieli. Odkąd tu jestem; mieliśmy jeden taki przypadek. Nie wolno niczego niszczyć ani stąd wynosić bez pozwolenia z góry.

- Nie chodzi o Boga, tylko o Buchanana - wyjaśniła Tamara Gemmel.

- Jestem pod wrażeniem, Rinko - oświadczyła Lisa.

- Siedzę tu od kilku tygodni, więc zdążyłem się zorientować.

- Dopóki pamiętam... - Koleżanka sięgnęła po odłożoną na bok teczkę i otworzyła ją przed Lisą. - Miałam właśnie po ciebie dzwonić. Co o tym sądzisz? - Wskazała na coś palcem, a Lisa posłusznie popatrzyła w akta.

Zmarszczyła brwi na widok polaroidowego zdjęcia przedstawiającego parę młodych ludzi z dwójką małych dzieci i psem. Siedzieli blisko siebie na schodach niepozornego domku. Rodzice na najwyższym stopniu, a dzieci - chłopiec i dziewczynka w wieku około sześciu i czterech lat - na dole. Chłopiec obejmował dużego czarnego psa. Zdjęcie zrobiono drugiego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, jak wynikało z nabazgranej niebieskim atramentem u dołu fotografii daty.

Z fotografii emanowała ponura atmosfera, wrażenie nieokreślonego smutku kojarzącego się ze stratą. Możliwe zresztą, że Lisie tylko się tak wydawało, ponieważ nietrudno zgadnąć, iż stało się coś złego, jeśli zdjęcie znalazło się w aktach przechowywanych w gmachu prokuratury. Jednak jej uwagę przykuło coś jeszcze.

Kobieta. Matka.

Ubrana w dżinsy i luźny biały sweter. Oczy zwrócone w obiektyw, twarz bez uśmiechu. Długie gęste czarne włosy potargane na wietrze. Obejmowała ramionami kolana.

Lisa zamarła, gapiąc się z niedowierzaniem. Miała wrażenie, że patrzy na samą siebie. Tylko że zdjęcie zrobiono trzydzieści lat temu. Przed jej urodzeniem.

2

Jesteś podróżniczką w czasie? - zażartowała Gemmel.

- Wszystko na to wskazuje, prawda? - odparła Lisa, wpatrując się w fotografię. Zdjęcie było co prawda stare i nie najlepszej jakości, ale wystarczająco wyraźne, aby zauważyć, że kobieta na nim wyglądała niemal identycznie jak ona.

- Auuuu! - zawył złowieszczo Rinko, po czym dodał rzeczowo: - Twoja krewna?

- Nazwisko: Garcia. Rodzice, Michael i Angela, i dzieci, Tony i Marisa - wyjaśniła Gemmel.

- Nic mi to nie mówi. - Pokręciła przecząco głową, nie odrywając wzroku od fotografii.

Zerknęła na wyrwaną z notesu żółtą kartkę zapisaną trudnym do odczytania charakterem pisma.

Wyglądało to na notatkę z dochodzenia. Ktoś opisywał rodzinę Garcia jako nadzwyczaj miłych ludzi.

Odłożyła kartkę na bok, odsłaniając listę nazwisk wypisanych na maszynie. Nie знаła żadnego z nich.

Zgadywała, iż wymieniono na niej ludzi, których policja zamierzała przesłuchać bądź już przesłuchała.

- O co chodziło w tej sprawie? - spytała. Nie ulegało wątpliwości, że Gemmel przeczytała akta od deski do deski.

- Zniknęli. Cała rodzina, łącznie z psem. Przepadli

28

bez śladu. Pewnego dnia facet nie stawił się w pracy, żona również. Dzieciaki nie przyszły do szkoły. Telefony w domu milczały. Wreszcie ktoś poszedł sprawdzić i nikogo nie zastał.

-Może po prostu wyjechali? - Lisa zmarszczyła czoło.

- Tak też na początku podejrzewano. Brakowało jednego samochodu. Tylko że ci ludzie nikogo nie zawiadomili, a dom był splądrowany. W zmywarce zostały brudne naczynia z kolacji. Wanna była wypełniona wodą i zabawkami do kąpieli, zdjęte ubranie dziewczynki leżało na podłodze. Wyglądało na to, że matka kąpała małą tuż przed opuszczeniem domu. Wszystko wskazywało, że nawet jeżeli wyjechali, zrobili to w wielkim pośpiechu. Coś musiało się stać.

- Na przykład co?

- Nie wiadomo - odparła Tamara. - Może ukrywali się przed czymś lub przed kimś i przestraszyli się, że zostali odnalezieni. Policja trafiła na kilka tropów świadczących, że Garcia był uwikłany w działalność przestępczą, ale nic konkretnego.

- Powiedz jej o krwi - wtrącił Rinko. Lisa popatrzyła pytająco na koleżankę.

- W kuchni znaleziono ślady krwi. Dużej ilości krwi, którą ktoś zmył.

- Do kogo należała?

- Nie znalazłam takiej informacji w aktach. - Tamara wzruszyła ramionami. - Albo tego nie ustalili, albo przegapiłam.

- Hmijn - mruknęła Lisa, przerywając niezręczną ciszę.

Fotografia robiła ponure wrażenie. Mężczyzna, kobieta i chłopiec mieli na sobie dzinsy. Ojciec rodziny ubrany był w granatową wiatrówkę i czapkę bejsbolową nasuniętą

na oczy. Matka i syn nosili podobne białe swetry. Czarnowłosy chłopiec był bardzo ładnym dzieckiem, a puciołowata dziewczynka wyglądała uroczo w błękitnej aksamitnej sukience z długim rękawem, koronkowym kołnierzykiem i fartuszkim oraz białych rajstopkach i bucikach na pa-seczki. Czarne włosy dziewczynki sięgały ramion, grzywka wchodziła jej do oczu. Patrząc na czarnowłosą kobietę, Lisa poczuła niepokój. Ale przecież nie mogła mieć z nią nic wspólnego. Łudzące podobieństwo z pewnością wynikało z kiepskiej jakości tego małego zdjęcia. Na dużej fotografii o odpowiedniej ostrości podobieństwo tamtej nieznanym do Lisy ograniczyłoby się zapewne do budowy oraz koloru włosów i oczu.

- Dziwne - stwierdziła, zamykając teczkę i odkładając ją na bok.

- No - przyznał Rinko, dokładając kolejne akta do sterty obok komputera.

- Tylko tyle macie do powiedzenia? - spytała z wyrzutem Gemmel.

- Podobno każdy ma swojego sobowtóra. - Lisa wzruszyła ramionami.

- Na twoim miejscu bardziej bym się zainteresowała sprawą. - W głosie koleżanki pobrzmiwało rozczarowanie.

Po jej wyjściu Lisa skupiła się na żmudnym wpisywaniu danych. Nim wybiła piąta, rozbolała ją kręgosłup i miała wrażenie, że za chwilę odpadną jej ręce. W poprzedniej nieodżałowanej pracy u Todda, Lachmana i Springera, gdzie miała stanowisko młodszego partnera, o tej godzinie wybierała się już do domu. Teraz przed oczami migwały jej fioletowe plamki od zbyt długiego wpatrywania się w monitor. Postanowiła jednak zostać dłużej, by odpracować poranne spóźnienie. Rinko wstał z podłogi, narzekając, że ręce i nogi mu zdrętwiały; jasno dał do zrozumienia, że nie zamierza pracować po godzinach.

- Idź już, dam sobie radę - zapewniła go Lisa. Zerknęła na zegarek - było dziesięć po szóstej. Jeszcze dwadzieścia minut i Scott nie będzie miał prawa robić jej wyrzutów z powodu prawie półtoragodzinnego spóźnienia.

- Nie mogę cię tu zostawić samej na pastwę jakiegoś szaleńca. Tu nikt nie przychodzi. Daj spokój, Grant, użyj wyobraźni i uciekaj, póki masz szansę.

- Wolę nie używać wyobraźni, jeśli ma mi podsuwać takie obrazy! - Lisa się roześmiała.

- Akta nie uciekną. Jestem tu od połowy maja i ani drgnęły. Mam podejrzenia, że rozmnażają się w ciemnościach.

Lisa dała się przekonać i wstała zza biurka. Przeciągnęła się, prostując obolały kręgosłup. Jeszcze raz rzuciła okiem na teczkę z aktami rodziny Garcíów. Wprawdzie nie wierzyła, aby ta sprawa miała z nią jakikolwiek związek, a jednak ją intrygowała. Tajemnicze zniknięcie, niewytłumaczalne podobieństwo... A może to jacyś jej dalecy krewni? Popyta w domu, ktoś powinien coś wiedzieć. O tej czwórce musiało być w swoim czasie głośno w mediach.

- Czekaleś na mnie, żeby zamknąć, prawda? - uświadomiła sobie nagle i posłała Alanowi ciepły uśmiech. Zdradziło go niecierpliwe podzwanianie pękiem kluczy.

- Może tak, może nie. - Jego wyraz twarzy zdradzał wszystko. - Powiedzmy, że o dziewiętnastej zaczyna się pewien koncert, na który mam bilety. Założmy, że tak właśnie jest. - Rinko odłożył nieprzeczytane akta na dawne miejsce.

- Jaki koncert? - Lisa, rzucając ukradkowe pełne poczucia winy spojrzenie w jego stronę, zapakowała do swojej aktówki dokumenty dotyczące sprawy Garcíów. Przeczyta je sobie spokojnie w domu i przyniesie rano. Nikt się nie dowie, nikomu nie sprawi to różnicy. Nie musiała nawet tego ukrywać, Rinko nie mógł jej przecież niczego zabronić,

ale chciała mu oszczędzić kłopotów, na wypadek gdyby ktoś jednak odkrył, co zrobiła.

- Dead Vampires. Grają ze Scooter Boys i La Gordita. Lisa mgliście kojarzyła nazwy lokalnych kapeli muzycznych.

- Zapowiada się ciekawie. - Poczekała, aż Rinko pogasi światła i pozamyka, a potem razem poszli do windy.

- Będzie świetnie - powiedział.

- Rupp Arena? - spytała, myśląc o korkach, jakie powodowało w centrum każde wydarzenie artystyczne lub sportowe.

- Marzenie ściętej głowy. W parku Frawleya.

- Masz randkę?

- Idę ze znajomymi.

Winda zatrzymała się na parterze i oboje dołączyli do grona maruderów opuszczających gmach. Ich kroki odbijały się echem wśród marmurów olbrzymiego foyer. Na zewnątrz przywitało ich czerwcowe słońce. Chodniki wciąż trzymały ciepło upalnego dnia, pomarańczowa kula wisiała kilka stóp nad horyzontem, a wewnątrz jaguara, którego naprawiono i zostawiono na parkingu, podczas gdy Lisa była w biurze, z pewnością nagrzało się jak piekarnik. Jednak właśnie takie złote przedwieczorne godziny składały się na magię lata w Kentucky. Kiedy studiowała i pracowała w Bostonie, tęskniła za letnimi wieczorami w rodzinnych stronach. Wróciła w październiku minionego roku, żeby zaopiekować się mamą. To było jej pierwsze lato w domu od kilku lat. Przypomniało jej, za co kocha południe.

- Przepiękny wieczór na koncert na świeżym powietrzu.

- Tak.

- Do widzenia, Grant. Do widzenia, Rinko. - Jantzen minęła ich prędko w drodze do samochodu. Oprócz aktówki

i torebki niosła jeszcze gruby plik dokumentów oraz stertę książek.

- Dobranoc - odpowiedzieli jednocześnie.

Ona mu się podoba, zauważyła ze zdumieniem Lisa, widząc tęskne spojrzenie chłopaka za powiewającą spódnicą i blond lokami koleżanki.

- No rusz się i pomóż jej z tymi szpargałami - ponagliła go cicho.

Zerknął na nią podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie odkryła jego niemożliwego do odkrycia sekretu.

- Nie. - Pokręcił głową. - Poradzi sobie, spieszę się na koncert - dodał, po czym pomachał jej na pożegnanie i podszedł do samochodu, starego rozklekotanego dodge'a. Lisa tymczasem rozglądała się za swoim jaguarem, którego miał podstawić mechanik z warsztatu. - Do jutra.

- Baw się dobrze na koncercie.

Zostawiła za sobą pełne życia, nieduże miasteczko Lexington i po piętnastu minutach przejechała przez stary dwupasmowy most na Kentucky River, rzecę o leniwym zielonym nurcie, ulubionym miejscu okolicznych wędkarzy. Była w Woodford. Do Grayson Springs wiodły ocienione drzewami kręte trakty, krajobraz zdobiły malownicze mostki na wijących się strumykach oraz kamienne mury wzniesione przed dwustu laty przez wędrowców z Irlandii. W okolicy znajdowało się wiele gospodarstw, dużych i małych. Począwszy od zagród z jedną krową i sześcioma kurami, które już dawno przestały zapewniać byt właścicielom, a skończywszy na ogromnych ranczach z tysiącami akrów ziemi i klimatyzowanymi stajniami pełnymi folblutów, których hodowla była niegdyś dumą Kentucky. Dookoła jak okiem sięgnąć rozciągały się niezmierzone połacie słynnej „niebieskiej trawy”. Lisa kilkakrotnie musiała tłumaczyć rozczarowanym kolegom

ze studiów, którzy ją odwiedzali, dlaczego „niebieska trawa” nie jest w istocie niebieska, lecz zielona jak każda inna. Jedynie czasami przy odpowiednim kierunku wiatru i kącie padania słońca... W każdym razie, dziewięćdziesiąt dziewięć dni na sto „niebieska trawa” była zielona. Niezależnie zaś od koloru stanowiła idealne pożywienie dla najlepszych koni wyścigowych na świecie i do tego celu wykorzystywano ją od wielu lat.

Ta okolica była jednym z ostatnich siedlisk arystokracji w Ameryce. Ludzie w tych stronach wiedzieli, kto jest kim, skąd pochodzi i na ile należy się z nim liczyć. Jeśli nie byłeś potomkiem znanego rodu, stawałeś się niewidzialnym trybikiem w maszynie codzienności. Najbogatsi ludzie na świecie mieli tu swoje domy lub przyjaciół, których często odwiedzali. Sama królowa Anglii niemal co roku spędzała wakacje w Lane's End, a właściciele stadniny byli wieloletnimi przyjaciółmi Jej Wysokości. Bogacze z Arabii Saudyjskiej regularnie brali udział w targach. Zabierali najlepsze konie, płacąc sumy wywołujące uśmiech na twarzach hodowców. Ikony Hollywood, słynni dyktatorzy mody z Europy, miliarderzy - wszyscy oni żyli sobie w luksusowych zaciszach olbrzymich posiadłości, o których istnieniu nikt poza miejscową elitą nie miał pojęcia. Na lotnisku Blue Grass lądowało tak wiele prywatnych odrzutowców, że jego pierwotna funkcja zeszła na drugi plan, skupiano się głównie na zapewnieniu odpowiednich warunków podróży sławnym i bogatym. Słynny Keeneland Race Course otwierał się jedynie dla najbogatszych, był o wiele zbyt wytworny, aby nazywać go po prostu torem wyścigowym. To wszystko było piękne, staroświeckie i swojskie. Lisa wróciła do domu osiem miesięcy temu i od razu poczuła, że w jej żyłach płynie południowa krew.

Zdarzało jej się zatęsknić za Bostonem, podobnie jak tęskniła za chłodnym powiewem wiatru w parne dni.

Pewnego dnia, kiedy tutaj wszystko się ułoży, wróci do swojego starego życia i spróbuje poskładać je z powrotem w całość.

Dobiegające z torebki dźwięki Piątej Symfonii Beetho-vena wyrwały ją z zamyślenia. Dzwonił Joel, młodszy partner w dochodowej firmie budowlanej swojego zamożnego ojca. Po odwiezieniu jej rano do pracy poleciał prosto do Chicago w sprawach służbowych.

- Dzwonię, żeby się zameldować - powiedział. Domyśliła się, że dopiero wylądował na miejscu. Joel był typowym potomkiem arystokracji, opalonym, jasnowłosym i przystojnym. Mógłby z powodzeniem zostać twarzą kampanii reklamowej Ralphi Laurena. Lisa znała go od zawsze, byli w tym samym wieku, obracali się w tej samej grupie rówieśników w liceum, ich ojcowie przyjaźnili się ze sobą. Byli razem na studniówce. Niedługo po tym, jak wróciła w rodzinne strony, zadzwonił do niej, proponując randkę i nie znalazła powodu, aby mu odmówić. Zaczęli spotykać się regularnie. Niedawno dał jej jasno do zrozumienia, że pragnie, by ich związek przeszedł na kolejny etap. Innymi słowy, spodziewał się seksu, a Lisa nie była na to gotowa. Z jej życiowych doświadczeń wynikało, że seks i faceci to preludium dramatu. Kłopotów jej nie brakowało, przelotny romans mogła sobie darować. Nie należało oczekiwać niczego trwałego, gdyż nie zamierzała zostać w Lexington na stałe.

- Jak ci minął lot?

- W porządku. Naprawili już samochód?

- Właśnie jadę nim do domu.

- To dobrze. Ciekawy dzień w pracy?

Postanowiła nie mówić mu, że o mało nie została zwolniona. Joel i Scott nigdy nie pałali do siebie sympatią. Nie chciała teraz o tym dyskutować. Opowiedziała mu za to o dziwnym zniknięciu rodziny

Garciów i swoim niewytłumaczalnym podobieństwem do Angeli.

- Zanim zaczniesz dopisywać teorie, przyjrzyj się dokładnie temu zdjęciu - odparł. - Stara polaroidowa fotka to kiepski punkt odniesienia.

- Zabrałam ze sobą dokumenty. Jutro po drodze do pracy mogę wstąpić do Walgreens, żeby ją powielić i powiększyć. - Dopiero co wpadła na ten pomysł i uznała, że jest niezły.

- To dobra myśl - przyznał Joel. Lisa usłyszała jakiś głos w tle. - Tata cię pozdrawia.

- Dziękuję. Wzajemnie - odparła grzecznie, choć nie pałała sympatią do Sanforda Peytona. Traktował Joela jak dziesięciolatka, który na niczym się nie zna, a ponadto nigdy nie aprobował jego związku z Lisą.

- Muszę kończyć. Wracam jutro późnym wieczorem. Nie zapomnij o sobotniej imprezie w country clubie. Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Będę gotowa. - Rozmowa dobiegła końca.

W najbliższą sobotę wypadał czwarty lipca. Jak co roku w klubie urządzano tańce, fajerwerki i poczęstunek. Doroczne obchody Święta Niepodległości w klubie cieszyły się dużym powodzeniem, dobra zabawa była gwarantowana. Lisa liczyła, że spotka tam większość znajomych, którzy nie wyjechali z miasta. Miała nadzieję, że praca nie pokrzyżuje jej planów. Weekendy, szczególnie zaś wolne soboty, były pojęciem abstrakcyjnym dla większości pracowników biura prokuratora.

Narodowe święto chyba uszanują, myślała. Jeżeli nie, będzie musiała znaleźć jakąś wymówkę, żeby nie pójść do pracy.

Rozważała różne warianty niewykrywalnych kłamstewek, z roztargnieniem zerkając na pastwisko pełne rozbrykanych cieląt, kiedy nagle samochód podskoczył na wyboju i silnik zgasł. Tak po prostu.

- O nie! - jęknęła, z pełnym grozy niedowierzaniem wsłuchując się w cichnący warkot.

Ledwie zdążyła zjechać na pobocze.

- Złom - mruknęła.

Popatrzyła z nadzieją na wskaźnik paliwa. Gdyby tylko o to chodziło, nie musiałaby się martwić naprawą auta. Nic z tego, bak był pełen, chyba że zepsuł się wskaźnik. Wszystko w tym wozie nadawało się do wymiany. Pewnie w warsztacie nie naprawili go jak należy. Jaguar należał do jej matki, Martha Grant od zawsze jeździła autami tej marki. Kupiła go na długo przed wystąpieniem pierwszych objawów choroby i poznaniem diagnozy: stwardnienie zanikowe boczne. Wóz nie był przystosowany dla osoby na wózku, więc Lisa wymieniła swoją hondę na przestronnego vana. Stan finansów nie pozwalał na kupno trzeciego auta, a nie chciała denerwować matki, pozbywając się jeszcze jednego symbolu dawnej świetności.

Tak więc została skazana na jaguara.

Przetrzęsała torebkę w poszukiwaniu telefonu komórkowego, kiedy zaskoczył ją odgłos otwieranych drzwi od strony pasażera. Podskoczyła i krzyknęła ze strachu.

3

Serce podskoczyło jej do gardła; nie spodziewała się towarzystwa na rzadko uczęszczanej wiejskiej drodze. W tej samej chwili westchnęła, widząc przed sobą Scotta.

- Kłopoty, księżniczko? - zakpił, spoglądając na nią ironicznie przez otwarte drzwi.

Najgorsze że – wbrew sobie – szczerze ucieszyła się na jego widok.

- Ten przeklęty samochód po prostu stanął. Może teraz mi uwierzysz, że mam niesprawne auto. I nie mów do mnie księżniczko.

- Wyłącz silnik - poprosił, zaciskając usta w cienką kreskę. Podeszedł do maski. - Otwórz! - zawołał.

Nacisnęła dźwignię i wysiadła z samochodu. Z oddali dobiegał warkot kombajnu, w powietrzu unosił się zapach świeżego siana. Oraz woń spalenizny. Lisa pomyślała ze strachem, że spaliła się ważna część silnika,

Niech to wszyscy diabli!

Ciepłe powietrze przyjemnie grzało jej odsłonięte ramiona, wyziębione w klimatyzowanym wnętrzu jaguara. Zauważyła, że Scott nie miał na sobie marynarki, a rękawy rozpiętej pod szyją koszuli podwinął nad łokcie. Szare spodnie od garnituru podtrzymywał tuż nad linią bioder czarny pasek. Pochylił się nad silnikiem, zaczął poruszać drucikami i sprawdzać śrubki. Po raz kolejny dostrzegła

38

z niechęcią, że podobają jej się jego pośladki. Kształtne i jędrne jak u sportowca.

Wspominała mgliście, iż pewnego razu, kiedy była jeszcze pyską otumanioną przez hormony nastolatką, powiedziała mu to. Spotkała go w ogrodzie, gdy w szortach i przepoconym podkoszulku pochylał się nad kapryśną kosiarką do trawy.

- Ładny tyłek - zauważyła.

- Idź się lepiej pobawić lalkami, dziewczynko - odpowiedział opryskliwie.

Od tamtej chwili starała się wymazać z pamięci kompromitującą sytuację.

- Poluzowany pasek od akumulatora. Już naprawiłem - oświadczył.

- I mogę jechać? - spytała z nadzieją.

Nie byłaby zaskoczona, bo Scott, syn mechanika, nieźle znał się na samochodach. Od szesnastego roku życia aż do chwili obecnej zawsze jeździł jakimś złomem, a mimo to udawało mu się utrzymywać każde auto na chodzie. Potrafił także zreperować urządzenia kuchenne, klimatyzację oraz maszyny rolnicze.

- Nie. - Dokręcił śrubkę, którą wcześniej poluzował, i wyprostował się, żeby spojrzeć na Lisę. -

Prawdziwy problem tkwi w tym, że nie masz już oleju. Dobrze, że auto nie stanęło w płomieniach.

- Przecież właśnie mi naprawili skrzynię biegów! Scott zatrzaskał maskę.

- Widocznie zapomnieli wlać olej z powrotem albo jest wyciek. Masz szczęście, że poluzował się pasek od akumulatora, inaczej musiałabyś wymieniać całą skrzynię biegów. Chodź, podwiozę cię do domu.

Chyba że wolisz poczekać na kochasia?

Udało mu się ją zirytować komentarzem dotyczącym Joela. Otworzył przed nią drzwi po stronie kierowcy i skrzyżował ręce na piersi. Lisa podeszła do jaguara.

- Joel wyjechał. A tak na marginesie, panie prokuratorze, przezywanie ludzi jest nieco dziecinne. Może czas dorosnąć? - zasugerowała, schylając się po swoje rzeczy.

-Tak na mnie działasz – roześmiał się. – Twoja obecność przywołuje wspomnienia szczenięcych lat. Pamiętasz, jak przyjechałem do was naprawić klimatyzację? Urządziłaś sobie właśnie z koleżankami (było ich pięć, prawda?) babski wieczór. Postanowiłyście dla ochłody rozebrać się na moich oczach do naga i wskoczyć do basenu. To chyba ty krzyknęłaś: „Hej, mały, co tak patrzysz? Chodź tu do nas!”. Lisa poczuła, że jej policzki oblewają się purpurą. Wyjęła kluczyki ze stacyjki, zabrała swoje rzeczy i wysunęła się z auta, rzucając Scottowi gniewne spojrzenie.

- Dobrze wiesz, że to była Nola. - Nola Hampton, jej najlepsza przyjaciółka od zawsze. - Miałyśmy po szesnaście lat.

- Uwierz mi, że byłem tego świadomy. W moich myślach nieustannie pojawiała się słowo: nieletnie.

- To dlatego nie chciałeś z nami popływać? - zakpiła. Prędeż umrze, niż mu pokaże, że aż się skręca ze wstydu. '

- Oczywiście - wyszczerzył zęby w uśmiechu i obrzucił ją wyzywającym spojrzeniem. - Sprawdź mnie teraz.

Na samą myśl serce zabiło jej szybciej, choć wiedziała, że Scott żartuje.

- Nic z tego.

Spuściła wzrok i nacisnęła guzik blokady drzwi przy kluczykach. Teczka upadła na ziemię i otworzyła się, wypadła z niej połowa zawartości.

- Ups - powiedział.

- Cholera! - Lisa schyliła się, żeby pozbierać rozsypane rzeczy, usiłując jednocześnie nie upuścić kluczyków, torebki ani marynarki. Scott ją ubiegł. Ze ściśniętym gardłem obserwowała, jak zgarnia częściowo widoczne akta i czekała

na wybuch. Okładka z nazwiskiem Garcia leżała na samym wierzchu. Z charakterystyczną czerwoną nalepką.

Nie zauważył albo udał, że nic nie widzi. Pozbierał wszystko, podniósł i zamknął teczkę.

Lisa odetchnęła. Gdyby przyłapał ją na zabraniu akt, przekonałaby się ponad wszelką wątpliwość, czy Scott byłby w stanie zwolnić córkę Marthy Grant.

- Pospiesz się, nie mam zbyt wiele czasu - powiedział, idąc do swojego samochodu. Czarny džip stał zaparkowany tuż za jaguarem. Scott położył teczkę na tylnym siedzeniu, otworzył drzwi po stronie pasażera i usiadł za kierownicą.

- A właściwie co ty tu robisz? - zapytała Lisa, uświadomiwszy sobie, że Scott nie mieszka już w sąsiedztwie.

- Ojciec zadzwonił do mnie godzinę temu.

Nie musiał nic więcej dodawać. Każdy ma jakieś wstydlive sprawy. Scott wstydził się za ojca, alkoholika z tendencją do agresji, który nie wahał się przed podniesieniem ręki na dzieci. Bił młodszego i starszego syna, strzelał dla zabawy z dubeltówki. Urządzał pijackie wyścigi starą półciążarówką, a jadąc, wykrzykiwał wulgaryzmy przez otwarte okna. - Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Wolę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Och - powiedziała tylko.

Bud Buchanan, którego wciąż nazywała w myślach panem Buchananem, zapewne był mocno nietrzeźwy, kiedy dzwonił. Biorąc pod uwagę, jak traktował Scotta - pamiętała, że chłopak często chodził posiniaczony - dziwiła się, iż syn wciąż się o niego troszczy.

- Jak ci się mieszka w domu? - zmienił temat.

Lisa postanowiła uszanować jego niechęć do rozmowy na tematy osobiste.

- Całkiem nieźle. Troszkę smutno. Ale bardzo się cieszę z czasu spędzanego z mamą. - Martha Grant była

nieuleczalnie chora. Nie wiadomo, ile czasu jej zostało. Może kilka lat, może mniej. - Zważywszy na okoliczności, nie ma teraz na świecie takiego miejsca, w którym wolałabym być.

- Tak - powiedział. Martha Grant była cudowną kochającą matką dla swojej czasem niewdzięcznej córki oraz dobrą przyjaciółką dla Scotta.

- Gaylin się przyznał? - przypomniała sobie Lisa. Rzucił jej zaskoczone spojrzenie i zrobił ironiczną minę. Odezwał się dopiero po chwili.

- Skąd wiesz?

- Ptaszki mi wyśpiewały - odparła lekko.

- Zapomniałem, że jesteś teraz prawniczką z krwi i kości. Kto by pomyślał? Kiedy na ciebie patrzę, wciąż widzę tamtą rozkapryszoną nastolatkę, która mnie tak nachalnie podrywała.

- Dorosłam - skwitowała krótko. - Powinniśmy zostawić przeszłość za sobą. Zapomnijmy o tym.

- Eee tam. Te wspomnienia są zbyt zabawne, żeby z nich zrezygnować.

- A więc przyznał się czy nie? - powtórzyła, nie chcąc dać się wyprowadzić z równowagi.

- Tak. Nawet wskazał narzędzie zbrodni. W ten sposób uniknie kary śmierci.

-1 tak by uniknął. Każdy dobry adwokat kładłby nacisk na ograniczoną poczytalność. Potem na miejscu dla świadków stanęłoby pół tuzina zapłakanych krewnych opowiadających, jaki to z niego w gruncie rzeczy dobry dzieciak i że babcia z pewnością nie domagałaby się egzekucji wnuka.

- Tak też pomyślałem. Poza tym on ma dziewiętnaście lat. W chwili popełnienia zbrodni miał osiemnaście. To kolejny punkt zaczepienia dla obrony. Zgodził się na dożywocie.

- Za piętnaście lat wyjdzie na wolność.
- System prawny jest... - przerwał raptownie. Dojechali właśnie do rozwidlenia, gdzie wiejska dróżka łączyła się z większą Mount Olympus Road. Twarz Scotta stężała, dłonie zacisnęły się kurczowo na kierownicy. Lisa podążyła za jego wzrokiem. Na terenie gospodarstwa Buchananów parkowało kilka radiowozów. -O-o.
- Cholera. - Scott szybko zmienił kierunek jazdy.

4

Zrobisz coś dla mnie? Pojedź sama do domu, wpadnę później odebrać auto.

Scott zatrzymał samochód i popatrzył na Lisę. Na jego twarzy malowało się napięcie. Trzech policjantów właśnie ciągnęło do radiowozu opierającego się i wrzeszczącego Buda Buchanana, ubranego w koszulkę bez rękawów i workowate czarne spodnie. Wywlekli go z rudery, w której wychował się Scott.

Ledwie Lisa zdążyła powiedzieć: „pewnie”, wysiadł, zostawiając otwarte drzwi.

- Uspokój się, tato! - zawołał ostro.

- Gdzieś się podziewał, gnoju? - Agresja Buda natychmiast zwróciła się przeciwko synowi. Lisa okrążyła samochód, starając się nie słuchać pełnych jadu słów. - Za ważny jesteś, żeby pomóc ojcu, kiedy cię prosi! Do ciebie też bym strzelił i strasznie się wkurzył, gdybym spudłował.

Aż się skrzywiła.

- Zamknij się, tato.

Głos Scotta zabrzmiał szorstko, w jego postawie wyraźnie było widać napięcie, dłonie zacisnął w pięści.

Nie zwracając uwagi na Lisę, ruszył prosto ku schodom, gdzie stał jego ojciec, przytrzymywany przez funkcjonariuszy. Rozumiała, choć sama nigdy nie doświadczyła podobnego upokorzenia. Scena rozgrywała się na oczach świadków,

44

a słowa pijanego ojca z pewnością sprawiały Scottowi ból. Nie potrafiła mu pomóc, sam musiał się uporać z problemem, który towarzyszył mu przez całe życie.

- O co chodzi, panowie? - zwrócił się do policjantów, którzy robili wszystko, co mogli, aby zapanować nad plującym przekleństwami mężczyzną, nie uciekając się do przemocy. Lisa nie czekała na odpowiedź, nie chcąc sprawiać swojemu wybawcy dodatkowej przykrości. Odjechała.

Scott był prokuratorem w okręgu Lexington-Fayette, a znajdowali się w Woodford, gdzie nie miał żadnych uprawnień. Zastanawiała się, czy zdoła przekonać miejscowych przedstawicieli prawa, żeby puścili pana Buchanana. Swoją drogą, ciekawe co też zrobił ten stary pijak, że wezwano na niego gliny. Mieszkał sam, w domu nie było już dzieci do bicia, a żona od dawna nie żyła. Mówił coś o strzelaniu do Scotta. Być może strzelił do kogoś innego.

Lisa była pewna, że cokolwiek się stało, Scott to załatwi. Od lat radził sobie w podobnych sytuacjach, ona zaś miała własne problemy. Największym z nich był niesprawny samochód. Zadzwoiła z telefonu komórkowego po pomoc drogową i poprosiła, żeby odholowano jaguara z powrotem do warsztatu. Jutro pojedzie do pracy furgonetką. Coś wymyśli. W każdym razie nie może się spóźnić po raz drugi. Aż się skrzywiła na myśl o kolejnej konfrontacji ze Scottem.

Jej dom, Grayson Springs, znajdował się niedaleko, jeśli chodzi o odległość, ale pod wieloma innymi względami był oddalony o całe lata świetlne od pięciopokojowej piętrowej rudery Buchananów z przeciekającym dachem i zrujnowanym gankiem. Lisa myślała właśnie, z jak różnych miejsc się wywodzą ona i Scott, kiedy na końcu dębowej alei jej oczom ukazała się wiekowa rezydencja położona wśród

rozległych falujących łąk poprzedzielanych białymi płotkami. Biały kamienny dom ze spadzistym dachem i białym portalem wspartym na dwóch strzelistych romańskich kolumnach wyglądał jak dekoracja z filmu „Przeminęło z wiatrem”. Główny trzypiętrowy budynek został wzniesiony przed wojną secesyjną; dwupiętrowe skrzydła po obu stronach dobudowano nieco później. Było tu dwadzieścia pokoi, kilka łazienek, spiżarni, ogromnych korytarzy oraz rozlicznych zaułków i zakamarków charakterystycznych dla starych dworów. Większości pomieszczeń dziś nie używano. Utrzymanie rezydencji tej wielkości kosztowało majątek. Lisa wiedziała o tym doskonale, ponieważ płaciła wszystkie rachunki. Za domem, w odległości niespełna kilometra, znajdowały się cztery stajnie. Niegdyś, gdy Grayson Springs należało do liczących się stadnin, stanowiły one serce posiadłości. Dziś został tylko jeden koń, dwudziestoośmioletnia klacz Firefly. Złożyło się na to kilka czynników: kryzys ekonomiczny, zapaść na rynku oraz choroba właścicielki majątku. Konie zostały sprzedane, ziemia i dom były obciążone kredytem hipotecznym. Dawna wspaniałość Grayson Springs należała już do przeszłości, teraz posiadłość znajdowała się na skraju bankructwa. Lisa nie liczyła na to, że po śmierci mamy uda jej się cokolwiek uratować, ale póki Martha Grant żyła, jej córka nie zamierzała ugiąć się pod presją banków ani niczego sprzedawać. Chciała, żeby ostatnie dni - tyle, ile ich pozostało - matka spędziła w domu, który kochała, nieświadoma, że fundusze mające zabezpieczyć ich przyszłość przepadły z powodu kilku błędnych decyzji oraz tsunami o nazwie globalny kryzys finansowy. Ziemia wcześniej czy później musi być sprzedana. Uzyskane pieniądze wystarczą na spłacenie kredytów, zaciągniętych lekkomyślnie, kiedy zyski zaczęły spadać. Jeżeli cokolwiek zostanie, to bardzo niewiele. Po odejściu mamy Lisa będzie mogła

liczyć wyłącznie na siebie i własne zarobki. Nie skakała z radością tego powodu, ale wiedziała, że sobie poradzi. Oczywiście wróci do Bostonu, gdzie osiadła większość jej kolegów i koleżanek ze studiów, tam nie będzie musiała pracować poniżej kwalifikacji z powodu braku etatów. Tymczasem zamierzała skupić się na utrzymywaniu pozorów, że wszystko jest w porządku. Wynajęła stajnie i pastwiska hodowcom folblutów z sąsiedztwa. Martha Grant ze swoich okien widziała mnóstwo koni, jak zawsze. Lisa bardzo dbała o utrzymanie ogrodu w dobrym stanie. W każdy pogodny dzień Robin Baker, długoletnia pracownica rodziny, zabierała mamę na spacer po krętych kamiennych ścieżkach. Dbała także o trawnik od frontu i dom. Matka i córka nie brały udziału w licznych imprezach towarzyskich, według obiegowej opinii, wyłącznie z powodu choroby Marthy. Liczba pracowników zatrudnianych na pełen etat została ograniczona do dwóch osób, ale były to dwie osoby, na które pani Grant mogła liczyć od lat: Robin i jej brat, sześćdziesięciosześcioletni Andy Frye, niegdysiejszy zarządca majątku. Andy został z nimi jako „człowiek do wszystkiego”, gdyż, jak twierdził, był za stary na zmiany. Przepracował w Grayson Springs prawie całe dorosłe życie i niemal należał do rodziny. To jedyne, co Lisa mogła zrobić dla uwielbianej matki: zachować jej świat, póki Martha żyje.

Smutno będzie rozstawać się z tym wszystkim. Z mamą...

Poczuła znajomy ucisk w gardle i odsunęła od siebie trudne myśli. Zmierzy się z nimi później. Kiedy będzie musiała.

Zaparkowała na asfaltowym zadaszonym podjeździe pod domem. Robotnicy naprawiający dach w północnym skrzydle wciąż pracowali. W zeszłym miesiącu piorun powalił drzewo, które wywracając się, spowodowało szkody.

Prace na zewnątrz dobiegły końca, ale trzeba było jeszcze pomalować sufit w sypialni. Powinna być zadowolona, że drzewo nie upadło jej na głowę, gdyż zniszczyło pokój sąsiadujący z jej własną sypialnią. Martwiła się jednak, z czego pokryje ten niezaplanowany wydatek.

- Czyj to samochód?

Odwróciła się, słysząc głos Andy'ego. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o krótko, po wojskowemu przystrzyżonych włosach i twarzy poranej głębokimi zmarszczkami

- efekt długoletniej pracy na słońcu. Stał na podeście pod domem z naręczem kolorowych lilii, hortensji i bzów. Lisa uwielbiała te pomarańczowe, białe i fioletowe symbole lata. Andy z zapalem pracował w ogrodzie i przynosił Marcie świeże kwiaty. Podobnie jak jej córka, uparcie chronił właścicielkę przed prawdą o ruinie finansowej. On także należał do liczego grona osób, które kochały panią Grant za jej dobre serce.

- Scotta Buchanana. Podwiózł mnie, bo mój się zepsuł.

- A gdzie on jest? - spytał ze zdziwieniem Andy.

- Wysiadł pod swoim domem. Jakiś problem z ojcem.

- Lisa postanowiła nie wspominać o przyjeździe policji. Jeśli Scott zechce kogoś poinformować, sam to zrobi.

- Później wpadnie odebrać auto.

- A cóż ten stary drań znów wymyślił? - zawołał Andy, mając na myśli pana Buchanana, który cieszył się złą sławą w całej okolicy.

- To, co zwykle. Upił się.

- Prymityw - prychnął pogardliwie Andy. Lisa postanowiła zmienić temat.

- Andy, kojarzysz rodzinę, która zaginęła w naszej okolicy jakieś trzydzieści lat temu? Nazywali się Garcia. Małżeństwo z dwójką dzieci.

Zmarszczył czoło i pokręcił przecząco głową.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Z ciekawości. Natknęłam się w biurze na dokumentację tej sprawy. Słuchaj, dasz sobie jutro radę bez auta? Chciałabym pojechać nim do pracy.

- Nie ma problemu. Wiesz, gdzie są kluczyki - odrzekł z uśmiechem. Wisiały tam, gdzie od niepamiętnych czasów wieszano kluczyki od wszystkich pojazdów: na haczyku obok lodówki. - To dopiero! Pojedziesz do swojej ważnej pracy w szykownych ciuszkach starą rozklekotaną furgonetką...

- Trzeba sobie jakoś radzić. - Odwzajemniła uśmiech, choć nie było jej wesoło. Liczyła na to, że nikt jej nie zobaczy w ubłoconym gruchocie.

Otworzyła drzwi i wpuściła Andy'ego pierwszego do kuchni. Kiedy ją mijał, wciągnęła w nozdrza woń kwiatów. Kuchnia była ogromna i słoneczna, urządzona w starym stylu. Białe szafki, blaty wyłożone białymi płytkami ceramicznymi, wysłużona dębowa podłoga oraz wielki drewniany stół na środku. Nic się tu nie zmieniało oprócz koloru ścian, obecnie w odcieniu błękitu, oraz akcesoriów wymienianych co jakiś czas.

- To dla mnie? - Robin powitała Lisę uśmiechem, a pytanie skierowała do Andy'ego.

Była korpulentną sześćdziesięcioczerolatką o rudych włosach, miała na sobie kwiecistą podomkę i różowe spodnie z poliestru. Ostatnio rzadko odstępowała Mar-thę, mimo że formalnie wciąż piastowała stanowisko gospodyni, które objęła jeszcze przed urodzeniem Lisy. Odkąd jej chlebodawczyni zachorowała, Robin zajęła się głównie opieką nad panią Grant. I nadal prowadziła dom. Od sześciu tygodni przyjeżdżała też pielęgniarka, by odciążyć nieco Robin i Lisę, które dotąd dzieliły się obowiązkami, ale przestały sobie radzić, kiedy Martha zaczęła mieć coraz większe problemy z oddychaniem.

Robin mieszała coś w wysokim garnku, w kuchni pachniało kurczakiem.

- To dla mnie? - odparł jej brat pytaniem na pytanie, zerkając wymownie na kociołek. Położył bukiet na blacie obok zlewu.

- Kto by chciał na ciebie patrzeć przy kolacji? - Robin się skrzywiła. - Na pewno nie ja. - Po czym dodała, zwracając się z uśmiechem do Lisy: - Pani Martha jest w pokoju telewizyjnym w towarzystwie pani Thompson i pani Painter.

Były to dwie z wielu przyjaciółek mamy. Lisa skinęła głową i poszła na górę, żeby się przebrać. Nie chciała przeszkadzać. Cieszyła się, że znajomi pamiętają o mamie i dzięki nim chora może choć na chwilę zapomnieć o cierpieniu.

Wraz z oficjalnym strojem zrzuciła z siebie napięcie całego dnia. Włożyła szorty, białą koszulkę i trampki. Z szacunku do mamy starała się nie ubierać zbyt swobodnie. Ukochany dom zawsze miał na nią kojący wpływ. Nawet hałas związany z nieprzewidzianym remontem oraz niepewność, jak za niego zapłaci, nie były w stanie zakłócić tego spokoju. Każdy szczegół - począwszy od boazerii w holu, przez piękne witrażowe okna rzucające wokół kolorowe promyki, po ręcznie zdobione drewniane schody prowadzące aż do kopuły ze szkła i ołowiu stanowiącej centralny punkt dachu - przypominał o innym życiu. Czasem Lisa wręcz odnosiła wrażenie, iż jest częścią tego domu. Tak jakby miała go w swoich genach. Podejrzewała, że mogło tak być, gdyż rodzina matki mieszkała tu od pokoleń. Lisa zajmowała dużą sypialnię w północnym skrzydle dobudowanym w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku, niedaleko dawnego pokoju mamy. Odkąd choroba odebrała Marcie możliwość samodzielnego chodzenia po schodach, mama przeniosła się do biblioteki w głównym skrzydle. Korytarze

w środkowej części domu były najszersze i mama mogła się po nich wygodnie przemieszczać na wózku inwalidzkim. Lisa została w północnym skrzydle całkiem sama. Prawdę mówiąc, cieszyła się z tej odrobiny prywatności. Miała jej niewiele, odkąd wróciła do domu. Zresztą bardzo lubiła swój pokój. Gipsowe ściany pomalowano na waniliowy kolor, nieprzyzwoicie drogi perkal w żółte, różowe i zielone kwiaty, który wybrała osobiście w wieku lat szesnastu, został wykorzystany do uszycia zasłon oraz kapy na łóżko. Podłogę przykrywał orientalny dywan w pastelowych odcieniach różu i błękitu. Pokój był wysoki, znajdował się w nim rzadko używany elegancki kominek, z dużych okien rozciągał się widok na basen oraz przepiękny ogród różany z fontanną w kształcie cherubina. Wszystkie meble - oprócz wielkiego łóża z baldachimem, jasnozielonego fotela i otomany w rogu - były antykami. Sąsiednia sypialnia została przerobiona na wielką garderobę i łazienkę mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Lisa wybierała perkal. Do szafy wielkości pokoju wchodziło się przez łazienkę. Lisa umyła ręce, poprawiła makijaż i związała włosy w koński ogon. Zauważyła, że drzwi do szafy stoją otworem. W tafli lustra odbijały się rzędy wieszaków i kolekcja lalek zapełniających półki. Jako dziecko była raczej chłopczycą, ale uwielbiała lalki. Nawet kiedy z nich wyrosła, z niektórymi nie potrafiła się rozstać. Zatrzymała wzrok na Katrinie, lalce o wyglądzie i wielkości małego dziecka. Katrina miała czarne włosy sięgające ramion oraz niebieską aksamitną sukienkę z fartuszkami i koronkowym kołnierzykiem. Lisa głośno wciągnęła powietrze. Dziewczynka. Zaginiona rodzina. Kolor włosów, oczu, skóry, fryzura lalki, sukienka. Wszystko to do złudzenia przypominało dziewczynkę ze zdjęcia. Jak ona miała na imię?

Marisa, rozległ się szept w jej głowie.

Stała w bezruchu, wzrok miała utkwiony w lalce, serce waliło jej w piersi jak młot.

- Bądź poważna - skarciła się głośno, żeby odegnać niepokój. - To zwykły zbieg okoliczności.

Zrobiła minę do lustra i weszła do garderoby. Okna zakrywały grube zasłony. Lisa poczuła się nieswojo, wchodząc w półmrok, więc szybko zapaliła światło. Uklękła obok lalki, którą bawiła się z radością przez wiele lat, a dziś czuła przez nią ciarki na plecach.

Zachowujesz się jak idiotka, powiedziała do siebie zawstydzona.

Nie pomogło. Miała Katrinę od zawsze, nawet nie wiedziała skąd. Teraz przyglądała się jej z rosnącą obawą. Lalka wyglądała jak malutka dziewczynka o różowej buzi i dużych niebieskich oczach okolonych gęstymi rzęsami. Ostrożnie dotknęła gładkiej twarzyczki, w wyobraźni wyświetlały jej się sceny z horroru o lalce Chucky. Poczowała pod palcami chłodny plastik. Ten gest pomógł jej opanować rozszalałą wyobraźnię: nie siedziała przed nią zabalsamowana Marisa Garcia, lecz dobrze znajoma ukochana lalka. Uff, odetchnęła z ulgą. Przez kilkanaście sekund trzymała powietrze w płucach. Nie była w pełni świadoma, czego właściwie się przelękła. W każdym razie zupełnie niepotrzebnie.

Tylko że strój Katriny wyglądał identycznie jak ubranie dziewczynki ze zdjęcia.

Unikając niewidzącego spojrzenia plastikowych oczu, Lisa dotknęła sukienki. Aksamit był w dobrym gatunku, gruby i miękki. Fartuszek wyglądał na ręcznie haftowany. Dobrze, że zabrała ze sobą akta, postanowiła teraz do nich zajrzeć. Wróciła z sypialni i klęcząc obok Katriny, zaczęła ją porównywać z dziewczynką na zdjęciu. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia.

Podobieństwo między lalką i dziewczynką było zdumiewające, wręcz niewiarygodne. Z pewnością należało je przypisać niewyraźnej fotografii. Nie sposób było na przykład stwierdzić, jakiego koloru miała oczy dziewczynka ani czy na fartuszkach jej sukienki widnieje wzorek z biało-niebieskich kwiatków na zielonych łodyżkach, taki jak na fartuszkach Katriny. Lisie wydało się to wątpliwe. Skóra Marisy różniła się odcieniem od kremowej karnacji lalki, jej sukienka także była wyraźnie ciemniejsza, za to każdy szczegół kroju zdawał się identyczny. Serce Lisy biło jak oszalałe.

Weź się w garść, powiedziała sobie. Zwyczajny zbieg okoliczności, nic więcej. Cóż w tym dziwnego, że lalkę ubrano zgodnie z dziecięcą modą? Takie sukienki zapewne nosiły wszystkie dziewczynki w czasie, kiedy kupiono jej Katrinę. A skoro tego nie pamiętała, sama musiała być bardzo mała. Lalka miała przypominać prawdziwe dziecko. To logiczne, że dostała modną sukienkę. Prawdopodobnie było wtedy w sprzedaży tysiące takich zabawek.

Mimo że logika tego wyводу w pełni ją zadowoliła, Lisa dokładnie obejrzała Katrinę, szukając nazwy producenta i metki na sukience. Nagle niemal podskoczyła do góry na dźwięk Piątej Symfonii Beethovena.

Telefon miała w torebce, torebkę w sypialni. Odłożyła lalkę i poszła odebrać połączenie.

- Muszę odwołać piątkowy lunch.

Głos w słuchawce należał do ojca Lisy. C. Bartlett Grant był szanowanym sędzią. Mieszkał w ekskluzywnej dzielnicy największego miasta Kentucky, Louisville, sto kilometrów od Grayson Springs. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat zachował szczupłą wysportowaną sylwetkę i był niebywale atrakcyjny. Miał za sobą karierę polityczną jako kongresmen o wielkich aspiracjach, zniechęciły go jednak przegrane wybory do senatu i zadowolił się rolą członka partii. Cieszył się ogromnym poważaniem wśród miejscowych elit. Dzięki małżeństwu z dwoma dziedziczkami ogromnych fortun zdobył niebagatelne zasoby finansowe. Nikt oprócz ekszony oraz córki nie miał mu nic do zarzucenia. Lisa była jego jedynym biologicznym dzieckiem - po drugim ślubie zyskał jeszcze trzech pasierbów - ale ich relacje nie układały się najlepiej już od czasu burzliwego rozvodu rodziców, który sześćioletnia wtedy dziewczynka bardzo przeżyła. Właściwie aż do powrotu do Grayson Springs na jesieni nie utrzymywała z ojcem żadnego kontaktu. Teraz umawiali się czasem, zawsze z inicjatywy Barty'ego, na wspólny posiłek. Nienawidził, kiedy nazywała go Bartym, tym chętniej więc tak się do niego zwracała. Podejrzewała, iż jego nagłe zainteresowanie jej osobą ma związek z zawodem, jaki wybrała. Lada chwila mogli się zacząć obracać w tych samych kręgach towarzyskich i staruszek postanowił zadbać, aby córka nie miała powodu na niego narzekać.

Barty lubił się przedstawiać w dobrym świetle. Nie znał wszakże swojej jedynaczki na tyle dobrze, by wiedzieć, iż lojalność wobec rodziny nie pozwoliłaby jej publicznie wyrażać się o nim źle.

- Obowiązki rodzinne? - spytała słodko, wiedząc, że pozuje na oddanego męża i ojca rodziny.

- Nie, przedłużający się proces.
 - A czytałam artykuł, w którym pisano, że Todd - (był to siedemnastoletni, najmłodszy pasierb Barty'ego)
 - startuje w zawodach sprinterskich. Właśnie w piątek - powiedziała Lisa, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.
 - Dobra, przyłapałaś mnie. - Ojciec westchnął. - Jill - (jego obecna żona) - chciała, żebym z nią poszedł kibicować Toddowi.
 - Nie musiałeś kłamać. Cieszę się, że dbasz o Todda. Trochę mu tylko zazdroszczę.
 - Lisa...
 - Wiem, Barty, wiem. Mądrość przychodzi z wiekiem.
- Ojciec zapewniał ją już wcześniej, jak bardzo żałuje, że nie poświęcał jej więcej czasu, gdy dorastała. Zmienił się i dopiero po latach zrozumiał wiele rzeczy. Teraz najważniejsza jest dla niego rodzina. Może nawet wierzył w to, co mówił. W każdym razie swoją drugą rodzinę zdawał się traktować lepiej niż pierwszą.
- Prosiłem, żebyś mnie tak nie nazywała.
 - Zapomniałam. - Zmarszczyła brwi uderzona pewnym podejrzeniem. - Czy ja przypadkiem nie jestem adoptowana?
- Była niemal całkowicie przekonana, iż odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. A jednak coś sprawiło, że w jej umyśle pojawiła się niewielka wątpliwość. Może wywołał ją sposób, w jaki traktował ją ojciec - z obojętnością, której nie okazywał pasierbom - a może podobieństwo do Angeli Garcii i ta przeklęta lalka. Na chwilę zapadło milczenie.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
 - Dziś natknęłam się w pracy na dane pewnej rodziny, która zaginęła w okolicy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. Do złudzenia przypominam

tę kobietę ze zdjęcia, Angelę Garcję. Koleżanka zwróciła mi na to uwagę i pokazała akta. Zabrałam je ze sobą do domu i właśnie przeglądałam, kiedy zadzwoniłeś. Podobieństwo jest nadzwyczajne. Wiele by to wyjaśniło, gdyby się okazało, że mnie adoptowaliście.

Na przykład dlaczego nigdy mnie nie kochałeś, dodała w myślach.

- Nie gadaj głupot! - zachnął się. - Nie jesteś adoptowana. Matka urodziła cię rano siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku w jakimś szpitalu, zapomniałem nazwy, w Silver Springs, w stanie Maryland. Byłem przy tym, przyszedł na świat w sposób naturalny. Gdzieś pewnie nawet leży nagranie. Córeczko, jeśli chcesz być dobra w zawodzie prawnika, musisz okiełznać swoją szaloną wyobraźnię.

Oczywiście musiał wywlec, że jako dziecko miała wymyślonego przyjaciela, a w wieku dojrzewania żywiła głębokie przekonanie, iż dom jest nawiedzony i zasypiała tylko przy włączonych światłach! Nie zjednął sobie tym sympatii córki.

- Lisa! Obiad! - zawołała z dołu Robin.

- Dobra, Barty, muszę kończyć. Przekaż Toddowi, że trzymam kciuki za jego zwycięstwo.

- Lisa...

Ale dla niej rozmowa dobiegła już końca.

- Lisa! - krzyczała Robin, co oznaczało, że mama siada do stołu.

Schowała telefon do kieszeni i pobiegła na dół.

- Już idę! - zawołała.

Obie panie już sobie poszły, a mama w swoim supernowoczesnym wózku inwalidzkim zajęła miejsce u szczytu lśniącego mahoniowego stołu w jadalni, gdzie nadal zasiadano do posiłków, mimo że znacznie praktyczniej byłoby robić to w kuchni. Ręcznie malowane chińskie tapety, gruby

dywan Aubusson i ciężkie złote draperie nadawały temu wnętrzu, dość oficjalny charakter. Na stole leżały gustowne podkładki, na których stały talerze z ulubionej porcelanowej zastawy Marthy. Robin nalewała już zupę.

- Annalisa. - Piękne niebieskie oczy matki rozjaśniły się na jej widok, na twarzy miała ciepły uśmiech. Nadała córce imię Annalisa Seraphina, gdyż sama zawsze marzyła o bardziej romantycznym imieniu niż pospolite Martha Ann. Spełnieniem swego marzenia obciążyła Lisę, która nigdy nie przedstawiała się pełnym imieniem.

- Witaj, mamó - powiedziała dziewczyna, całując matkę w policzek.

Poczuła pod wargami skórę mamy - delikatną, suchą

i miękką niczym przetarty jedwab. Przed chorobą Martha Grant była wysoka, wysportowana i pełna wigoru. Nastoletnia Lisa bez przerwy przesiadywała na kanapie przed telewizorem, aby zaznaczyć swą odrębność, jej matka natomiast z pasją jeździła konno, grała w golfa i tenisa oraz urzędowała ekstrawaganckie przyjęcia, które słynęły w całej okolicy. Jej koktajle z okazji derby okryły się legendą. Przy czym najważniejsza w życiu Marthy zawsze była córka. Już od czasów przedszkola Lisa mogła zapraszać na tamte imprezy własnych przyjaciół. Wraz z najlepszą przyjaciółką Nolą i innymi dzieciakami bawiła się wśród celebrytów i innych „ważnych bywalców”. Wtedy nie zdawała sobie sprawy z wyjątkowości i ulotności tamtych chwil. Dziś mama miała sześćdziesiąt osiem lat, a wyglądała co najmniej o dziesięć lat starzej. Jej jasne włosy, dawniej sięgające do ramion, teraz były krótkie, wiotki[^] i zupełnie białe. Okrągła niegdyś twarz wychudła, uwydatniając kości. Waga spadła poniżej pięćdziesięciu kilogramów. Choroba powoli i okrutnie wysysała życie z Marthy Grant, która nie była już w stanie sama chodzić ani wstać. Siły w rękach nie wystarczało, by mogła

je unieść do góry, ubrać się, przygotować do snu czy zrobić cokolwiek samodzielnie. Coraz trudniej jej się oddychało. Lekarze uprzedzali o zbliżającej się konieczności podłączenia chorej na stałe do aparatury. Na razie robiono to tylko na noc, kiedy spała w szpitalnym łóżku w swojej sypialni. Pęcherz, jelita i mięśnie twarzy zostały dotąd oszczędzone; Martha mówiła powoli, ale wyraźnie. Jej umysł pracował bez zarzutu, co było jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem. W pełni świadomie i z wielką godnością obserwowała powolną śmierć swojego ciała. Dla jej córki było to wręcz nie do zniesienia.

- Słyszałam o awanturze u Buchanana - zagadnęła Robin.

Lisa się skrzywiła. W Woodford County nic się nie ukryje. Niewątpliwie Andy lub któryś z sąsiadów przekazał Robin najnowsze wieści. - Zabrali go do aresztu.

- Za... co? - zainteresowała się Martha. Przełknęła łyżkę zupy podaną przez Lisę, nie spuszczać pytającego wzroku z gospodyni. Robin wiele razy proponowała, że będzie karmić panią Grant podczas wspólnych posiłków z córką, żeby obie mogły swobodnie jeść i rozmawiać, lecz Lisa uparcie odmawiała, rezerwując ten przywilej opieki nad mamą dla siebie. Była boleśnie świadoma upływającego nieubłaganie czasu.

- Strzelił do funkcjonariusza biura szeryfa, który przyjechał, aby go przesłuchać w związku z ucieczką z miejsca wypadku na Travis Road. Oczywiście był pijany do nieprzytomności. Przyjechała policja i go zamknęli.

- Cud, że go nie zastrzelili - uznała Lisa, podając mamie następną łyżkę zupy.

Jeżeli pan Buchanan rzeczywiście strzelił do funkcjonariusza, będzie miał poważne kłopoty. I dobrze. Ale Scott na pewno spróbuje pomóc ojcu.

-Widocznie świat nie zasłużył na takie szczęście

- odrzekła ponuro Robin. Od lat toczyła wojnę z Budem. Sama miała wybuchowy temperament i tak uciążliwe sąsiedztwo mocno ją irytowało.
- Biedny... Scott - Matka ze współczuciem pokręciła głową. Lisa nabrała na łyżkę kolejną porcję zupy. - Sama... też jedz. Widujesz się... z nim często... w pracy?
- Dziś rozmawialiśmy. - Posłusznie zjadła trochę z własnego talerza i dalej karmiła mamę. Najważniejsze, żeby interesowała się światem i nie myślała o chorobie. Dopóki będzie ciekawa świata, uznała Lisa, będzie walczyć. Niemniej jednak uważnie selekcjonowała informacje, starając się ukazywać rzeczywistość w jak najbardziej kolorowych barwach. - Przesyła ci pozdrowienia. ^-To taki mądry... chłopiec... Zawsze wiedziałam... że osiągnie... sukces.
- Robin parsknęła znacząco. Nigdy nie przepadała za Scottem, podobnie jak Andy. Miało na to z pewnością wpływ między innymi jego pochodzenie. Rzadko go widywali, odkąd się wyprowadził, a wcześniej - jak przypuszczała Lisa - zazdrościli mu uwagi, jaką darzyła go Martha Grant.
- Och, Robin... Przecież wiesz, że... ciężko pracował... żeby być kimś - skarciła ją pani domu. Robin skrzywiła się, ale tak, by jej pracodawczyni tego nie widziała.
- Bez dwóch zdań - przyznała radośnie Lisa, nie wspominając o tym, że zazwyczaj zachowywał się jak palant. Nikt nie zaprzeczy, że Scott Buchanan pokonał długą drogę.
- Pan prokurator - zadumała się Martha. - Kto by... pomyślał.
- Jak komuś słoma z butów wystaje, to nieważne, gdzie pracuje - mruknęła Robin.
- Dziękujemy już za zupę, Robin. - Lisa posłała jej

znaczące spojrzenie. Robin przewróciła oczami - znów poza zasięgiem wzroku chorej - zabrała puste talerze do kuchni i przyniosła pieczoną rybę oraz sałatkę. Porcja Marthy była rozdrobiona niemal na papkę. Lisa karmiła mamę, starając się nie zapominać o sobie. Gdyby sama przestała jeść, chora by zauważyła i nie wzięła nic do ust.

- Miałaś... miły dzień...? - spytała z autentycznym zainteresowaniem Martha, skupiając całą uwagę na córce.

Lisa pokiwała głową z uśmiechem i opowiedziała jej okrojoną wersję wydarzeń. Po co martwić biedaczkę informacjami o zepsutym samochodzie, groźbie zwolnienia z pracy, która padła z ust jej pupilka, oraz ostatecznego zesłania do podziemi. Przyglądała się mamie. Nie po raz pierwszy uderzyła ją myśl, jak mało są do siebie podobne fizycznie. Ale jeszcze nigdy nie czuła się z tego powodu tak nieswojo. Różniły się znacznie kolorem oczu, włosów, odcieniem skóry... ale przecież mnóstwo je łączyło. Miały podobne przyzwyczajenia, robiły takie same miny, ich głosy brzmiały niemal identycznie, a ich śmiech trudno było odróżnić. Przed oczyma Lisy jednak uparcie pojawiała się twarz Angeli Garcii. Co mogło znaczyć owo upiorne podobieństwo łączące ją z kobietą na starej fotografii? Zwyczajny przypadek, a najwyżej odległe pokrewieństwo. Cóż by innego? Przecież nie zaczęnie się chyba uważać za drugie wcielenie tamtej kobiety? Albo za małą Marisę, potajemnie adoptowaną i odmłodzoną o kilka lat. Cóż za nonsens! Niemniej jednak sprawa nie dawała jej spokoju, dlatego swoją relację z minionego dnia zakończyła niewinnym pytaniem: - Mamo, w jakim szpitalu się urodziłam?

- Świętej Marii i Elżbiety - odparła Martha bez sekundy namysłu. Na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech. - To był najszcześniejszy... dzień w moim życiu... Moje własne... ukochane dzieciątko... Płakałam... kiedy mi cię...

podawali. - Nagle popatrzyła na Lisę uważniej. - A czemu pytasz?

- Dali mi dziś w pracy formularz do wypełnienia - wyjaśniła wymijająco. - Mamo, zjedz jeszcze trochę.

-Najadłam się już... Mam w albumie... twoje zdjęcia z tego szpitala... Chcesz zobaczyć? - Uśmiechnęła się z nadzieją.

Uwielbiała przeglądać liczne albumy ze zdjęciami córki w różnych okresach życia. Lisa widziała je już miliony razy. Przed chorobą mamy zawsze znikąca jak kamfora, kiedy Martha wyjmowała po raz kolejny jakiś album. Od powrotu do domu starała się być o wiele bardziej wyrozumiała w takich sytuacjach, ale godziła się na wspomnienia wyłącznie, aby sprawić przyjemność mamie. Myślami zawsze była gdzie indziej. Tym razem okazała prawdziwe zainteresowanie.

- Pewnie - odparła ochoczo. Martha się rozpromieniła.

- Wiesz gdzie... leży album... z pierwszymi zdjęciami... Lisy - zwróciła się do Robin. - Mogłabyś nam go... przynieść... do pokoju telewizyjnego... proszę?

- A przynieść też lody brzoskwińowe? - Podobnie jak Lisa, Robin korzystała z każdej okazji, żeby skłonić Marthę do jedzenia. Lody brzoskwińowe zawsze były jej wielką słabością.

-Ja dziękuję... A ty, Liso? - Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

Dziesięć minut później siedziały pochylone nad zdjęciami. Telewizor - który stał się główną rozrywką chorej, odkąd jej świat zaczął się stopniowo kurczyć - był włączony, ale bez głosu. Wysokie okna wychodziły na wschód, rozciągał się z nich widok na powoli ginące w fioletowym zmierzchu wzgórza i łąki z pasącymi się końmi. Ciemne, ręcznie rzeźbione regały z książkami nie robiły przytłaczającego

wrażenia, gdyż uniesione bambusowe żaluzje wpuszczały łagodny blask wczesnego wieczora. Światło i przestrzeń sprawiały, że pokój emanował pozytywną energią.

- Popatrz... jaka byłam gruba. - Martha wskazała fotografię, na której stała w zaawansowanej ciąży przed szpitalem. Lisa niewiele wiedziała o życiu rodziców przed jej przyjściem na świat, głównie dlatego, że się nim nie interesowała. Wiedziała, że urodziła się w stanie Maryland, na obrzeżach Waszyngtonu.

Fotografem musiał być Barty. Wtedy jeszcze rodzice byli parą. Ciekawe, czy szczęśliwą? - Miałam... trudności z zajściem... w ciążę. Byłam taka... przejęta. Nie mogłam... się ciebie doczekać.

- Gdybyś wtedy wiedziała, ilu zmartwień ci przysporzę, uciekałabyś z krzykiem, co? - spytała prowokacyjnie Lisa, uśmiechając się zaczepnie do matki. Jako nastolatka sprawiała problemy mamie, uciekała z domu na imprezy, przyjaźniła się z bogatymi dziewczynami, które miały w głowach tylko trzy cele: upić się, naćpać i przespać z kimś. Nie należała do tych najbardziej rozpuszczonych, ale zachowywała się na tyle źle, że karczemne awantury z zamartwiającą się o nią matką były na porządku dziennym.

- Żartujesz... Za nic nie oddałabym... ani jednej chwili... Wychowywanie ciebie... sprawiało mi... mnóstwo radości.

Lisa poczuła niespodziewany ucisk w gardle. Mama mówiła szczerze, a ona nie zasłużyła sobie na taki ogrom bezwarunkowej miłości. Gdy tylko minęły dzikie nastoletnie szaleństwa, wyjechała na studia, ani razu nie oglądając się za siebie. Rzadko zaglądała do domu. To, co miała, traktowała jako coś oczywistego. Miłość matki, bezpieczeństwo finansowe, dom z tradycjami... Sądziła, że wszystkie te rzeczy zawsze będą na wyciągnięcie ręki. Kiedy życie pokazało, jak bardzo się myliła, doznała prawdziwego szoku.

- Cierpiętnica z ciebie, co? - rzuciła żartobliwie, nie chcąc, by jej smutny nastrój udzielił się mamie. Martha się roześmiała, co wywołało uśmiech na twarzy jej córki. Depresja była zrozumiałym następstwem choroby, dlatego Lisa nie przepuszczała żadnej okazji, by rozweselić mamę. Powoli przewracała karty albumu. Zdjęcia przedstawiały kolejno: Marthę leżącą w szpitalnym łóżku i stojącego obok niej Barty'ego, nowo narodzoną Lisę, niesioną przez położną w stronę wagi widocznej w rogu pomieszczenia, a potem już umytą, owiniętą w różowy kocyk, w różowej czapeczce na główce, podawaną matce, i całą ich trójkę: Marthę w szpitalnym łóżku, stojącego obok Barty'ego i maleństwo w ramionach matki. Wątpliwości Lisy zostały rozwiane. Widziała dowody w postaci zdjęć, pieczołowicie zachowanych bransoletek ze szpitala, odcisku maleńkiej stopki, karty z datą, godziną, miejscem urodzenia, wagą i wzrostem. Tak, jak zapewniał ojciec, nie było żadnej adopcji. Nazywała się Annalisa Seraphina Grant, jej biologiczni rodzice to ci sami, którzy ją wychowali, a podobieństwo do Angeli Garcii należało przypisać zbiegowi okoliczności lub jakiemuś dalekiemu pokrewieństwu.

Poczuła niebotyczną ulgę.

Punktualnie o dziewiątej zjawiała się Lynn Carter, pielęgniarka, która przychodziła co wieczór przygotować Marthę do snu i zostawała przy niej na noc. Zapukała cicho, a Lisa odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Lynn. Martha nie mogła się obejrzeć, ale domyśliła się, kto przyszedł.

- Jest pani gotowa, pani Martho? - spytała.

Lynn, wysoka, szczupła, czarnowłosa pięćdziesięcio-latką o stalowym charakterze, poważnie podchodziła do swojej pracy. Codziennie miała na sobie pielęgniarski uniform, choć Lisa zapewniała, że nie ma takiej potrzeby. Zdaniem Lynn służbowy strój wzmacniał jej autorytet.

Poza tym pozwalał oszczędzić czas przy wyborze ubrania.

- A mogę nie być? - W głosie Marthy pobrzmiwały iskierki humoru.

- Nie, proszę pani.

- Chodźmy zatem - zdecydowała chora, naciskając guzik uruchamiający wózek. Rozległ się cichy szum silnika.

Lynn uśmiechnęła się do Lisy, która ucałowała mamę na dobranoc. Po ich wyjściu dziewczyna wyłączyła pilotem telewizor i przeciągnęła się leniwie. Pomyślała, że w całym swoim życiu nie oglądała tyle telewizji, ile w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a najsmutniejsze było to, iż zaczynała ją szczerze interesować, co jest w walizkach, kiedy oglądała „Deal or No Deal” i kto zrzucił najwięcej kilogramów w reality show „The Biggest Loser”. Nie żałowała. Wspólne oglądanie telewizji to czas spędzony z mamą. Bezcenny czas.

Odepchnęła od siebie myśl o tym, jak niewiele im go zostało. Przeczowała, że należało liczyć w miesiącach raczej niż w latach. To bardzo bolało.

Zesłanie na Syberię miało jedną dobrą stronę: po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracować w biurze prokuratora, nie zabrała do domu żadnej papierkowej roboty. Ktoś inny zajmował się skompletowaniem materiałów na jutrzejsze rozprawy, dzięki czemu zyskała nieco potrzebnego czasu dla siebie.

Zatelefonowała do mechanika, aby się upewnić, że samochód został odholowany, a potem do Noli.

Postanowiła zjeść piątkowy lunch z przyjaciółką, skoro ojciec się wycofał. Zapragnęła wyjść do ogrodu.

Nigdy nie była domatorką, a od przyjazdu do domu spędzała w nim większość wolnych chwil.

Przechodząc przez kuchnię na patio, nie spotkała Robin ani jej brata. Zerknęła na piękny bukiet ułożony dziś przez Andy'ego. Furgonetki robotników zniknęły z podjazdu.

Wreszcie miała całą ogromną przestrzeń ogrodu tylko dla siebie. Słońce chyliło się ku zachodowi i świeciło różowym blaskiem. Widoczne w oddali czerwone dachy stajni migotały jak rubiny. Długonogi źrebak hasał wokół białego ogrodzenia, podczas gdy jego matka pasła się spokojnie tuż obok w towarzystwie innych koni, nie zwracając na malca najmniejszej uwagi. Ciszę ożywiało brzęczenie owadów, kumkanie żab i szelest liści poruszanych upragnionym powiewem wiatru. Przez chwilę Lisa się zastanawiała, czy nie popracować trochę przy geranium i pomidorach, ale skończyło się na dobrych chęciach. Postanowiła odwiedzić swoje ulubione miejsce. Olbrzymie drzewa rzucały cień na gruby szmaragdowy dywan z trawy. Minęła rabatki kwiatowe okolone niskimi kamiennymi murkami i poprzecinane brukowanymi ścieżkami. Szła do starego drzewa morwowego, na które lubiła się wspinać w dzieciństwie. Na jednej z gałęzi nadal kołysała się lina, pozostawiona tam przez nią niegdyś. Obok wisiała huśtawka ogrodowa i stały dwa krzesła. Usiadła na ławeczce, pogrążona w myślach, i delikatnie odpychała się stopą od ziemi, kołysząc się lekko.

Ktoś złapał za linki od tyłu i zatrzymał ją w powietrzu. Gdy zaskoczona Lisa podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Scotta. Nie słyszała, jak podchodził.

- Pobujać cię? - zaproponował.

Zanim zdążyła ochłonąć z zaskoczenia i cokolwiek powiedzieć, już szybowiała w powietrzu.

- Heej! - zawołała na wpół ze śmiechem. Scott wciąż miał na sobie te same szare spodnie i białą koszulę.

Najwyraźniej przyszedł po swój samochód.

- Trzymaj się!

Poczuła się, jakby znów miała jedenaście lat.

„Trzymaj się z daleka od chłopaka Buchananów - usłyszała w głowie ostrzegawczy głos Robin. Cała służba ją wtedy przed nim przestrzegała. Ta rodzina to nic dobrego”.

Naturalnie pozostawała głucha na tego typu rady. Nie słuchała nikogo. Wtedy jeszcze jej fascynacja starszym chłopakiem, który nie zwracał na nią uwagi, była czysto platoniczna. Lisa nie zdawała sobie sprawy, jak często snobistyczne otoczenie dawało Scottowi odczuć, iż nie jest odpowiednim towarzyszem zabaw dla panienki Lisy z Grayson Springs. Dziś lepiej rozumiała, jak mały chłopiec odbierał tę sytuację. W tamtym czasie przyjmowała rzeczy takimi, jakie były. Nie zastanawiała się, dlaczego nikt nie zadaje sobie trudu, aby przynajmniej zniżyć głos, żeby nie ranić uczuć Scotta, kiedy przypominano małej Lisie, o ile niżej od niej w hierarchii społecznej stoi „chłopak Buchanana”.

Zabraniano mu korzystać z basenu i kortu tenisowego, a nawet wejść do kuchni po szklankę wody

bez specjalnego zezwolenia Marthy Grant. Rozmowy z Lisą i jej przyjaciółkami także nie były mile widziane.

Cieszyła się, że temu chłopcu powiodło się w dorosłym życiu. Zasłużył na to po latach poniżenia.

Nagle puścił huśtawkę i bez słowa ruszył w stronę domu. Lisa zeskoczyła z ławeczki, by czym prędzej za nim pójść.

- Kluczyki wiszą w kuchni - powiedziała, doganiając Scotta.

- Już je wziąłem. Przyszedłem tylko, by dać ci znać, że zabieram auto. Żebyś nie pomyślała, że ktoś je ukradł. Chciałem też porozmawiać z twoją mamą, ale jak mnie poinformowała pani Baker, położyła się już spać. - Zawsze zwracał się do Robin: „pani Baker”, z dużym szacunkiem.

- Wcześniej się kładzie. - Lisa się zawahała, nim spróbowała zapytać: - Czy z twoim tatą wszystko w porządku?

- Jest w areszcie - odparł, wzruszając ramionami. - Podobno zderzył się z jakimś samochodem na skrzyżowaniu i uciekł. Po powrocie do domu zadzwonił do mnie, ale zdążyli go namierzyć. Strzelił do funkcjonariusza, kiedy ten przyszedł, żeby go przesłuchać. Czeka go minimum pół roku odsiadki. Ale mógłby dostać dużo więcej. Miał szczęście, że owym funkcjonariuszem nie był Carl Wright.

Carl Wright mieszkał po sąsiedzku od wielu lat.

- Mógłbyś pociągnąć za kilka sznurków.

- Nie mam ochoty. Nie dziś. Może jutro zmienię zdanie.

Ma dość ojca i trudno mu się dziwić, pomyślała.

- Jadłeś już kolację? - spytała.

- Nie, jeszcze nie.

- W kuchni zostało trochę zupy i pieczona ryba. Mogę podgrzać.

- Chcesz ugotować dla mnie kolację?

- Bez przesady. Wstawię ją tylko do mikrofalówki. Uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Pani Baker byłaby zachwycona. Spojrzała na mnie wilkiem, kiedy wszedłem do kuchni po kluczyki.

- Każdego tak traktuje. Nie jest zbyt towarzyska - wyjaśniła Lisa, mijając się nieco z prawdą. Robin potrafiła być słodka jak miód dla osób, które uznawała za godne jej uwagi.

- Cóż, nie chcę umniejszać twoich kulinarnych zdolności, ale raczej pojedę do McDonalda.

- To już lepiej pojedźmy do Jimmy'ego - skrzywiła się Lisa.

Miała na myśli małą restaurację przy drodze do Versailles, miejscowi wymawiali to „Virsejls”. Zawsze było tam pełno ludzi, dobra muzyka i przyzwoite jedzenie. Mama poszła spać i Lisa chętnie wyrwałaby się z domu. Lepsze towarzystwo Scotta niż żadne, uznała.

- My? - zdziwił się.

- Czemu nie? Nudzę się, a nie mam samochodu, żeby pojechać gdzieś sama. Dość mam ciągłego oglądania telewizji.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Nie łączę pracy z życiem osobistym, księżniczko. To rodzi niepotrzebne napięcia. Lepiej zadzwoń do swojego kochasia.

- Nie proponowałam ci randki! - Lisa zamarła z przerażenia i zatrzymała się. - Broń Boże.

- To dobrze - odparł, nie przerywając marszu w stronę samochodu.

- Po prostu chciałam być miła! - zawołała za nim z wściekłością.

- Niepotrzebnie.

- To się więcej nie powtórzy.

Pomachał jej na pożegnanie, otwierając drzwi auta.

- Nie spóźnij się jutro do pracy - dolał oliwy do ognia, - Palant - mruknęła. Nie usłyszał. Co prawda nazywanie

szefa palantem, tak żeby to usłyszał, nie wydawało się najmądrzejszym sposobem budowania kariery zawodowej, ale poza pracą był dla niej po prostu Scottem. I palantem.

- Trochę późno na wizyty - brzmiało pierwsze zdanie Robin, kiedy weszła do kuchni. - Trudno się spodziewać kultury po chłopaku Buchananów.

Mimo że była zła na Scotta, nie potrafiła tego zostawić bez komentarza.

- Po pierwsze, on nie jest żadnym chłopakiem, tylko trzydziestodwuletnim mężczyzną. - Lisa urwała, wzięła sobie napój z lodówki, po czym spojrzała z wyrzutem na Robin. - Po drugie, okazał mi grzeczność, pożyczając swój samochód, a teraz przyszedł go odebrać. Po trzecie, jest prokuratorem okręgu Lexington-Fayette. Oraz moim szefem. Byłabym wdzięczna, gdybyś okazywała mu szacunek.

- Przecież jestem uprzejma - zdziwiła się Robin. - Dla każdego. Ale nie da się zaprzeczyć, że on zawsze sprawia kłopoty. Jak każdy Buchanan.

- Okaż mu trochę szacunku, Robin. Bardzo cię proszę - wycodziła Lisa przez zęby.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami. Poszła do sali treningowej, zamierzając biegać do wyczerpania na bieżni. Zawsze tak robiła, kiedy nie mogła wyjść z domu. Wysilek fizyczny pomagał jej się uporać z napięciem psychicznym.

Żalotne, rozmyślał z goryczą Scott, jadąc do mieszkania w Lexington. W wieku trzydziestu dwóch lat wciąż zmagał się z problemami, które zmieniły jego dzieciństwo w piekło. Przede wszystkim ojciec. Nie znosił go, a jednak był

na niego skazany. Wszyscy znali Scotta jako syna starego Buchanana i nawet gdyby spróbował się odciąć - a chciał tego bardzo - nie miał na to realnej szansy. Agresywny pijak zrażał do siebie każdego, kto chciał mu pomóc. Nie wyłączając młodszego syna. Wyłącznie diabelska przekora sprawiała, że Scott uparcie wracał tam, skąd przyszedł. Nie zamierzał pozwolić wygrać staremu łajdakowi, który go potrzebował, choć za nic by się do tego nie przyznał.

Kolejny problem wracający jak bumerang to Lisa.

Pragnął jej od tak dawna, że nie potrafił już sobie wyobrazić życia bez tej tęsknoty. Odkąd zaczęła go podrywać jako zadziorna czternastolatka, walczył ze sobą, żeby nie zaciągnąć jej do łóżka. Była za młoda i wstydził się samej myśli, że mógłby wykorzystać którąś z sytuacji, kiedy celowo ocierała się o niego, przechodząc w skąnym bikini albo prosiła go o pomoc w jakimś drobiazgu i nie odstępowała na krok, dotykała niby przypadkiem, czyniła dwuznaczne aluzje... Gdy już osiągnęła pełnoletniość, nadal nie miał odwagi się do niej zbliżyć, zbyt wiele zawdzięczał pani Marcie i bał się konsekwencji, gdyby cokolwiek poszło nie tak. Nigdy jednak nie opuszczała go myśl, że pewnego dnia pozbędzie się wszelkich obiekcji i da jej to, czego oboje pragnęli. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Kentucky z pierwszą lokatą i szybko zdobywał pozycję w zawodzie, rozpoczynając pracę w biurze prokuratora. Nie była już poza jego zasięgiem: księżniczka i żebrak. Stare schematy przestały obowiązywać.

A może nie.

Kilka razy w miesiącu trafiała do kolumny towarzyskiej, bywała na balach dobroczynnych, prezentując najnowsze trendy mody i mając u boku kolejnych przystojniaków. Znał większość jej znajomych od dzieciństwa, ale należeli do różnych światów, które rzadko się stykały. Mozolnie

wspinał się po szczeblach awansu społecznego, bazując wyłącznie na własnej ciężkiej pracy. Po raz pierwszy w życiu miejscowi złoci chłopcy traktowali go jak równego sobie, lecz widząc, jak jego szefowie chodzą na palcach wokół ludzi pokroju Grantów, Scott zdał sobie sprawę, że od Lisy nadal dzieli go przepaść. A potem ona wyjechała.

Widывał ją rzadko, przy okazji nielicznych wizyt w domu. Pozostała piękna, seksowna i pewna siebie jak zawsze, za to on dojrzał i nauczył się omijać kłopoty szerokim łukiem. Nadal chętnie by się z nią przespał i miał przeświadczenie, iż nie uciekłyby z krzykiem na jego widok, nie zamierzał jednak tego sprawdzać. Nie wiedział, czemu się powstrzymuje; przecież Lisa cieszyła się opinią rozrywkowej dziewczyny otwartej na niezobowiązujące relacje. Może właśnie dlatego. Nie chciał być jednym z wielu kochanków. Nie bez znaczenia był także szacunek, jakim darzył panią Marthę.

Lisa wróciła w rodzinne strony w październiku, żeby się opiekować chorą mamą. Scott od początku trzymał się na dystans, ich spotkania były przypadkowe i przelotne. W pracy dobrze mu się wiodło, znakomicie zarabiał, zamierzał pewnego dnia zostać gubernatorem. Pracował ciężko i uczciwie. Nie potrzebował Lisy Grant w swoim życiu. Przelotny romans z miejscową dziedziczką, która miała w planach powrót do Bostonu za jakiś czas, nie wydawał się dobrym pomysłem. I wtedy nagle zjawiała się w jego gabinecie z prośbą o pracę.

Bardzo chciał odmówić, ale nie potrafił. Popatrzyła na niego* tymi swoimi ogromnymi karmelowymi oczami i powiedziała, że przyjmie każdą propozycję. Prosiła o przysługę w imieniu matki, przez wzgląd na dawne czasy. zaproponował stanowisko asystentki, spodziewając się, że odmówi, ale zgodziła się natychmiast.

Jak idiota wpuścił ją na powrót do swojego codziennego życia, za co płacił wysoką cenę. Nie uganiała się już za nim. Co to, to nie. Na szczęście już z tego wyrosła. Sama jej obecność go bolała, a ona nie była nawet świadoma jego rozterek. Wystarczyła myśl, że ona jest w tym samym budynku, dźwięk jej głosu, jej widok, gdy pochylała się nad aktami, sposób, w jaki się poruszała, nawet rozmowy innych ludzi na jej temat. Wszystko to doprowadzało go do szału.

A najbardziej widok Lisy całującej się z Joelem Peyto-nem tego ranka w samochodzie.

Kiedy zaproponowała wspólną kolację, o mały włos powiedziałby tak, ale zdołał jakoś odzyskać zdrowy rozsądek. Podobała mu się, a on podobał się jej, ich wspólny wieczór prawdopodobnie zakończyłby się w łóżku. Co prawda marzył o tym przez całe dorosłe życie, lecz rozum podpowiadał mu, iż popełniłby wielki błąd, ulegając pokusie. Potworną, gigantyczną pomyłkę, która mogła go wiele kosztować zawodowo i osobiście.

Nie zamierzał płacić tak wysokiej ceny. Zbyt ciężko pracował, aby zostać tym, kim był.

Widok Lisy na huśtawce przywołał wspomnienia. Scott chwycił za linki, jak wtedy, kiedy był jeszcze chłopcem, a ona odchyliła do tyłu głowę ze śmiechem. Byli już oboje dorosłymi ludźmi. Mógłby ją mieć, gdyby zechciał.

Na samą myśl zrobiło mu się gorąco. Odwrócił się więc i odszedł.

Powinien pogratulować sobie inteligencji, tymczasem miał ochotę walić pięścią w ścianę.

Niewesołe rozważania przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego. Skrzywił się, widząc na wyświetlaczu imię. Janie.

Nie odebrał.

Dwudziestosześcioletnia Janie Ungar pracowała w dziale kredytów jego banku. Pochodziła z Lexington,

jej rodzice należeli do klasy średniej. Była bystra, śliczna i miła, miała krótkie brązowe włosy oraz szczupłą, acz niepozobawioną krągłości figurę. Dziewczyna stworzona dla niego. Od wiosny spotykali się na tyle regularnie, że zaczęła uważać ich za parę. Scott nie podzielał jej zdania. Kiedy owa znajomość stała się dla niego zbyt zobowiązująca, próbował się wycofać, a gdy to nie przyniosło pożądanego efektu, przeprowadził szczerą rozmowę z Janie. Starał się być delikatny. Od tamtej chwili minęły trzy tygodnie. Może powinien zastanowić się nad przyczyną.

Zerwanie zbiegło się w czasie z zatrudnieniem Lisy. Wolałby, żeby te dwa zdarzenia nie miały ze sobą nic wspólnego, ale prawdopodobnie sam by się oszukiwał.

Chciała tylko być miła...

Zabolały go jej słowa. Pewnie, że byłaby miła, gdyby jej pozwolił. Tak jak była miła dla niezliczonej rzeszy facetów przed nim. Potem radośnie przeskoczyłaby sobie z kwiatka na kwiatek jak piękny kolorowy motyl, a on lizałby rany.

Nie wkładaj ręki do ognia, bo się sparzysz. Scott zmarszczył brwi na wspomnienie ostrzeżenia, które usłyszał kiedyś w innym kontekście. Ojciec często palił śmieci w ogrodzie, a jego metodą na trzymanie dzieci z daleka od ognia było wkładanie im siłą rąk w płomień. To się zdarzyło tuż po śmierci mamy, Scott mógł mieć wtedy jakieś sześć lat. Wciąż pamiętał piekący ból, swój krzyk i śmiech ojca.

Drań, pomyślał bez emocji, zatrzymując samochód pod domem, który powinien być ciemny i pusty, tymczasem w kuchni i salonie płonęły światła, a na podjeździe stały biały ford i furgonetka. Ford należał do jego starszego brata, logo firmy ogrodniczej Ryana nie pozostawiało wątpliwości.

Brat nie kontaktował się z ojcem od roku. Dlaczego przyjechał akurat teraz? I z kim? Scott spodziewał się kłopotów, na Ryana zawsze można było liczyć w tej kwestii.

Westchnął głęboko, pragnąc uciec gdzieś daleko. Nie miał dokąd, musiał się zmierzyć z rzeczywistością.

7

Z wnętrza domu dobiegały dudniące dźwięki muzyki. Scotta nie łączyła co prawda bliska więź z bratem, ale trochę go znał i nie spodziewał się po nim takich muzycznych upodobań. Tylko że Ryan najwyraźniej nie przyjechał sam.

Możliwości było wiele, a żadna przyjemna.

Nie wierzył, żeby tamtemu udało się już wyciągnąć ojca z więzienia. Kaucja jeszcze nie została wyznaczona, a nawet jeśli coś się zmieniło, Ryan nie miał pieniędzy. Ojca zatem wykluczył.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że brat nie sprowadził żadnych swoich podejrzanych znajomych na imprezę.

Było już ciemno. Mrok powinien nieco złagodzić wrażenie, jakie robiły zniszczone schody, tonący w kurzu odrapany ganek i czarne porysowane drzwi. Nic się nie zmieniło od jego wyprowadzki, a i wspomnienia strachu przed powrotem do domu pozostały żywe. Okno jak zwykle było zasłonięte starymi jak świat tanimi poplamionymi zasłonami w kolorze zgnilej zieleni. Bud Buchanan bez przerwy oglądał telewizję i nie znosił, kiedy słońce świeciło na ekran. Obsesyjnie obawiał się też ciekawskiego wzroku sąsiadów. Nieważne, że było ich niewielu, mieszkali daleko i nie interesowali się jego życiem domowym.

69

Zbliżając się do wejścia, usłyszał liczne głosy przebijające się przez głośnie dźwięki muzyki. Nacisnął klamkę. Tak jak się spodziewał, drzwi były otwarte, w tych stronach nie zamykało się drzwi na klucz. On zamknął je, wychodząc przed godziną, lecz nowi przybysze najwyraźniej nie czuli takiej potrzeby. Stanął jak wryty na progu salonu. Przez chwilę nikt się nie ruszył. Tamci patrzyli na siebie wstrząśnięci.

Dzieciaki ochłonęły pierwsze.

- Ożeż, w mordę - odezwał się jeden z nastolatków. Wszyscy zaczęli się podnosić: z kanapy, podłogi, fotela, wyrzucali skręty i odstawiali na podłogę puszki z piwem. W powietrzu unosił się słodkavo-mdlący zapach marihuany.

- Co do diabła...? - Zamilkł na widok chłopaka o jasnych kręconych włosach, który wyszedł z kuchni, sącząc piwo z puszki. Miał na sobie workowate dzinsy i koszulkę z czaszką. Zobaczywszy Scotta, dzieciak zachłysnął się piwem i znieruchomiał, zaciskając dłoń na puszcze. Jego niebieskie tęczęwki coraz bardziej się rozszerzały, w miarę jak Scott mrużył oczy. Pozostała piątka - trzech chłopaków i dwie dziewczyny - zbiła się w grupkę w kącie i z niepokojem obserwowała rozwój wypadków.

- Chase - stwierdził ponuro Scott.

Nagle wszystko stało się jasne. To nie Ryan, tylko jego jedyny piętnastoletni potomek. Jego brat, który mieszkał w Lexington, dzielił opiekę nad synem z byłą żoną Gayle, która mieszkała w Versailles. Sądząc po samochodzie, dzieciak przyjechał od ojca. Jedno było pewne: nie miał prawa jazdy.

- A mówiłeś, że twój dziadek jest w więzieniu - stwierdził oskarżycielsko jeden z chłopaków. - Obiecałeś wolną chatę.

- Dziadek naprawdę jest w więzieniu. - Chase odzyskał

rezon. - Pomyliłem się tylko, zakładając, że dom będzie pusty. Toanój wujek. Cześć, Scott. Przywitawszy go niedbałym skinieniem, niespiesznym krokiem podjął spacer przez salon, dla jeszcze lepszego efektu popijając przy tym piwo. Chciał pokazać kolegom, jakim jest luzakiem. Cholera, jęknął w duchu Scott.

Nie chciał zawstydzać bratanka, a przecież nie mógł tego tak zostawić. Ledwie znał chłopaka, prawie nie utrzymywał już kontaktu z bratem. Rozmawiali raz na trzy, cztery miesiące, każdy był zajęty swoimi sprawami, odkąd wydostali się z domowego piekła. Nie miał jednak wyjścia. Jako jedyny odpowiedzialny dorosły, widząc grupę nastolatków łamiących prawo, musiał jakoś zareagować. Zwłaszcza że jednym z tych nastolatków okazał się jego bratanek.

Trzeba załatwić tę sprawę.

- Wylej piwo do zlewu - polecił spokojnym tonem. Zadowolony z siebie Chase właśnie przybijał piątkę z kolegą. Zdawało się, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Wysoki chłopak z najeżonymi czarnymi włosami i kolczykiem w uchu schylił się, żeby podnieść z podłogi swój alkohol. Napotkał wzrok Scotta i w jego oczach odmalowały się bunt i niepewność. - Wszyscy wylewają piwo do zlewu - dodał dobitnym tonem Buchanan.

- Człowieku, to straszne marnotrawstwo - zaprotestował dzieciak.

- Ale już.

- Nie masz prawa mówić nam, co mamy robić - rzucił wyzywająco Chase.

- Nie? Ale mam prawo posłać was do poprawczaka, jako prokurator okręgu Fayette. - Uśmiechnął się pośepnie i demonstracyjnie sięgnął po telefon komórkowy. - Liczę do dziesięciu, a potem dzwonię po gliny. Wylejcie alkohol,

a jak wrócicie, zbierzcie całą trawkę i inne nielegalne substancje. Chcę je widzieć na tamtym stoliku. Jeśli ktoś nie skorzysta z szansy, żeby wszystko oddać, a ja go na tym przyłapię, obiecuję, że będzie miał gigantyczne kłopoty. A gdyby ktoś wpadł na genialny pomysł ucieczki, proszę to sobie wybić z głowy. Przed wejściem spisałem numery rejestracyjne - skłamał gładko.

- On tak na serio? - zwrócił się do Chase'a chłopak z piwem.

- Nie wiem - zapytany wzruszył ramionami z nadą-saną miną.

- Tak, na serio. Lepiej uwierz. - Rozpoczął liczenie, czując na sobie nienawistny wzrok bratanka. - Raz. Dwa.

- Chodźcie - zwrócił się smętnie Chase do kolegów. Pozbierali puszki, zerkając gniewnie, i poszli do kuchni. Scott nie spuszczał ich z oka. Kiedy wrócili do salonu, doliczył do siedmiu.

- Trawka. - Wskazał rozklekotany stolik ze sklejki stojący naprzeciwko starej jak świat kanapy obitej samodziłem w odcieniu zieleni, który gryzł się z kolorem zasłon. Musztardowe ściany stanowiły piękny kontrast, a plastikowy fotel był koloru brązowego. Duma i radość ojca, wielki, nie najnowszy już telewizor, zajmował miejsce na tle zaciągniętych zasłon. Nad kanapą wisiało tanie malowidło przedstawiające jakiś krajobraz, podłogę niemal w całości przykrywał brązowy dywan.

- Zadowolony? - spytał z wyrzutem Chase, kiedy jego koledzy rzucili na blat po kilka skrętów.

- Dziewięć. Ostrzegam, to wasza ostatnia szansa. - Scott popatrzył surowo.

Jedna z dziewcząt była pulchna i miała tlenione długie włosy oraz zbyt mocno wymalowane oczy.

Druga, szczupła, miała krótkie czarne włosy i kolczyk w nosie. Obie niewysokie, ubrane były w kuse szorty i koszulki: czarnowłosa

w zieloną, blondynka w różową. Jeden z chłopaków, o jasnych włosach ostrzyżonych na jeża, nosił okulary. Drugi pysznił się starannie ufryzowaną brązową grzywką zasłaniającą jedno oko. Wszyscy chłopcy nosili workowate dzinsy i bluzki z nadrukami. Młodzieniec z grzywką skrzywił się i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął torebkę, którą rzucił na stolik. Było w niej zielsko na co najmniej kilkanaście skrętów. Wystarczyłoby, żeby go przymknąć za rozprowadzanie.

- Jak się nazywasz?

- Austin. -A dalej?

- Spicer.

- Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Dilujesz?

- Nie! To tylko dla nas.

Uraza w jego głosie przekonała Scotta, że mówił prawdę. Dobrze i tyle, pomyślał.

Cholera jasna. Tylko tego mu brakowało.

- Proszę nie dzwonić na policję. - Blondynka była przerażona. Wpatrywała się w niego błagalnie. Jej oczy w otoczce grubej warstwy eyelinera wyglądały jak oczy szopa. - Mam średnią pięć zero. Mama mówi, że to daje mi szansę na stypendium i studia na dobrej uczelni. Jeśli mnie aresztują, pewnie w ogóle nie dostanę się na żadne studia, a mama umrze z rozpacz.

- Kartoteki nieletnich są tajne - odezwał się czarnowłosy. - Nikt się nigdy nie dowie, nie masz jeszcze osiemnastu lat.

- Byłeś już aresztowany? - zapytał Scott. Gdyby chłopak okazał się notowany, należałoby to wziąć pod uwagę.

-Nie.

- To skąd masz informacje?

- Słyszałem.

- Czy ktokolwiek z was był wcześniej aresztowany? Usłyszał wystraszone chóralne „nie”.

- Kto prowadził?

Czarnowłosa podniósł rękę, Scott zacisnął usta.

- Tak świetnie znasz się na prawie, a nie słyszałeś o przepisie dotyczącym jazdy po pijanemu?

- Nie jechałem po pijanemu! Dopiero tutaj otworzyłem piwo i nawet nie miałem możliwości się napić.

Scott zdążył się już zorientować, że przerwał zabawę na samym początku. Nikt nie był jeszcze pijany.

- Kto prowadził drugi samochód?

Po tym pytaniu zapanowała cisza. Dzieciaki wymieniały spojrzenia pełne strachu i poczucia winy. Scott domyślał się odpowiedzi, podsuwała mu ją obecność na podjeździe samochodu brata.

- Ja - odparł wyzywająco bratanek, wlepiając w niego spojrzenie błękitnych oczu. Scott wytrzymał jego wzrok.

- Ktoś z was pracuje? Albo uczęszcza na letnie kursy?

- Nigdzie nie ma pracy. Nawet w Wal-Marcie nie zatrudniają - wyjaśnił Austin. - Ja i Matt czasem kosimy trawniki.

- A ja dorywczo pracuję jako opiekunka do dzieci - powiedziała brunetka.

- i to już wszyscy? - Nikt się nie odezwał.

- Co pan zamierza? - spytała drżącym głosem jasnowłosa nastolatka.

Scott podjął decyzję. Znał setki nastolatków robiących głupie rzeczy. Większość z tego wyrastała.

- Najpierw spiszę wasze dane. Chcę zobaczyć dowody tożsamości.

Podano mu dwa prawa jazdy. Reszta była za młoda, żeby je posiadać. Nagrał na telefon komórkowy informacje,

o które prosił. Improwizował. Chodziło mu przede wszystkim o to, żeby ich wystraszyć. Skierował aparat ku pierwszej z dziewcząt.

- Ashley Brookings. Mam piętnaście lat - powiedziała jasnowłosa. Otarła łzę, czarny lakier na paznokciach pięknie się komponował z tym ciemnym paskudztwem wokół oczu. - Marigold Drive sto dwadzieścia osiem, telefon: dwa dwa siedem, dwa dziewięć, jeden dwa. Błagam, niech pan nie zawiadamia mojej mamy.

- Matt Lutz. Szesnaście lat - odezwał się chłopak z czarnymi włosami na znak dany przez Scotta. - South Fourth osiemdziesiąt siedem jedenaście. Telefon: dwa dwa siedem, sześćdziesiąt, pięćdziesiąt cztery. Ashley, tobie to najwyżej matka da szlaban. Jak mój trener się dowie, wylecę z drużyny koszykówki.

- Moja mama będzie płakać. - Ashley drżały usta. Jezus, zaczynał się czuć jak ostatni drań. Zaraz wyjdzie na ulicę

i będzie kopać szczenięta. Ale jaki miał wybór? - Pomyśli, że to jej wina. Że źle mnie wychowała. Nie poradziła sobie jako samotna matka.

- i tak wiecznie grzejesz ławkę, Matt. Niewiele stracisz, wylatując z drużyny - dopiekł mu Austin.

- Przynajmniej mnie przyjęli - odwarknął.

- Dość już - wtrącił się Scott. Wskazał czarnowłosą.

- Teraz ty.

- Sarah Gibbons. Mam piętnaście lat. Mój adres to Clover Lane sto sześćdziesiąt jeden. Mój numer telefonu: dziewięć trzy pięć, dwadzieścia, sześćdziesiąt siedem. - Dziewczyna patrzyła na niego zamiast w aparat. - Mieszkam z dziadkami i bratem, „Jak się dowiedzą, będą na mnie wściekli.

- Zawsze są na ciebie wściekli - oświadczył Austin.

- Za to, że muszą się tobą zajmować.

- Nie słuchaj go, Saro. - Ashley popatrzyła z oburzeniem na kolegę, który tylko wzruszył ramionami.

Scott zacisnął zęby i skierował telefon na następnego chłopaka. Gdyby mógł cofnąć czas, nie wszedłby do tego domu. Na widok światła i samochodów na podjeździe uciekałby, gdzie pieprz rośnie. Ale stało się i musiał teraz jakoś z tego wybrnąć. Młodzież złamała prawo. Powinni ponieść konsekwencje, a nie chciał nasyłać na nich policji. Nie przyniosłoby to niczego dobrego. Mógłby zawiadomić ich rodziny, ale powstrzymała go przed tym myśl, co zrobiłby jego własny ojciec w takiej sytuacji, jaką karę by wymierzył. Staruszek stłukłby go do nieprzytomności nie za to, że zrobił coś złego, tylko dlatego, że przez niego ktoś zawraca mu głowę.

Słusznie czy nie, postanowił nie ryzykować, że ściągnie kłopoty z nastolatków na głowę podobne kłopoty. Może był przewrażliwiony.

- Noah Chapman. Lat piętnaście. - Chłopak w okularach wyglądał na przerażonego. - Pine Crest Drive osiemnaście, telefon: dwa siedem siedem, dziewięć osiem, siedem dwa.

- Już mówiłem jak się nazywam i ile mam lat. - Austin skrzyżował ręce na piersi. - Floyd Street sześćset dwadzieścia trzy, numer telefonu: dwa siedem osiem, dziewięćdziesiąt, pięćdziesiąt sześć. Proszę bardzo, niech pan dzwoni. Moich rodziców to nie obejdzie.

Scott uważał, że postawa chłopaka świadczy tylko o tym, jak bardzo miał w życiu pod górkę.

- Zamknij się, Austin! - zawołały jednocześnie dziewczęta i Matt.

- Rozumiecie chyba, że muszę jakoś zareagować. - Scott odłożył telefon. - Palenie trawki jest nielegalne w każdym wieku. Picie alkoholu, jeśli się nie ma ukończonych dwudziestu jeden lat, to także łamanie prawa. Jedno i drugie to głupota. Niszczy szare komórki, marnuje ludziom życie.

- Przepraszamy. To się więcej nie powtórzy - odezwał się Chase tępym dalekim od skruchy. - Może byś nam już dał spokój?
- Właśnie - potwierdziła reszta. Dostaliśmy nauczkę, zdawali się mówić. I byli kompletnie niewiarygodni.
- Proszę - dodała cicho Ashley. Scott przyjrzał im się z namysłem.
- Dałem wam spokój. Nie wezwałem przecież policji. Nie zadzwonię też do waszych opiekunów, chyba że mnie zmusicie. - Przerwał i patrzył, jak oddychają z ulgą, jedni bardziej dyskretnie niż inni. - Ale konsekwencje będą. Po pierwsze, spotykamy się jutro w moim biurze. Chase wam powie, gdzie to jest. O godzinie... - Szybko przejrzał w myślach plan zajęć. Dzień był przepełniony i nieprzewidywalny. Scott nie będzie miał ani chwili wolnego czasu, a jeszcze musi załatwić sprawy z ojcem. Ale trzeba znaleźć czas. Do diabła, jeśli sam nie będzie mógł się z nimi spotkać, wyznaczy kogoś. - Przed południem - zdecydował. Potem szedł do sądu.
- Po co? - spytał podejrzliwie Chase.
- Ponieważ moim zdaniem powinniście coś zrobić dla lokalnej społeczności. Znajdziemy wam odpowiednie zajęcie.
- Nie może nam pan nic nakazać - sprzeciwił się Matt.
- Tylko sąd może to zrobić.
- Jak wolicie - zgodził się przyjaźnie Scott.
- Matt - skarciła kolegę Ashley.
- Ja tylko... - Tamten wyraźnie stracił pewność siebie.
- Ja chyba nie będę mogła... - zaczęła Sarah.
- Albo przyjdziecie wszyscy, albo załatwimy to inaczej. Wasz wybór.
- Będziemy o dziesiątej - zapewniła gorliwie Ashley.
- Damy radę, prawda?

- Ale moja babcia... - sprzeciwiła się cicho Sarah.
- Wie, że nocujesz u mnie. Zostaniesz u mnie, a do biura pójdziemy, zanim wrócisz do domu - syknęła Ashley.
- Aha, dobrze.
- A reszta? - Popatrzył na chłopców, a ci pokiwali smętnie głowami.
- A więc jutro o dziesiątej w moim biurze. Jak się nie stawicie, dzwonię do opiekunów. Jasne?
- Tak - odezwała się Ashley wraz z chórem mało entuzjastycznych głosów.
- Świetnie. A teraz zmykajcie do domów. Wszyscy z wyjątkiem ciebie. - Wskazał Chase'a. - Z tobą jeszcze sobie porozmawiam.

8

Nie ma mowy - zaprotestował Chase. - Hej, nie zostawiajcie mnie - zawołał z żalem za wychodzącymi.

Ashley popatrzyła przeprasząco.

- Sory, człowieku - mruknął Noah.

Wybiegłby za nimi, gdyby Scott nie zagroził mu drogi.

- Nie możesz mnie tu zatrzymać siłą.

- Ależ mogę.

- Pobijesz mnie? Strasznie się boję.

- Na początek zadzwonię do twojego ojca.

- Życzę powodzenia - parsknął Chase. - Jak wychodziłem z domu, leżał pijany na podłodze w kuchni.

- I dlatego ukradłeś mu samochód?

- Nie ukradłem.

- Wziąłeś bez pozwolenia. Nawet nie masz jeszcze prawa jazdy.

- W domu nie było nic do jedzenia, więc pojechałem do sklepu. Miałem głodować?

- To mi nie wygląda na sklep.

- W Dairy Queen spotkałem Matta i Austina. Zadzwoniliśmy po dziewczyny, a potem podjechaliśmy po Noah.

- Skąd Austin miał trawę? Chase wzruszył ramionami.

- Kto kupił piwo?

79

Kolejne wzruszenie ramion i Scott znów odpuścił. Naprawdę nie zależało mu na przyskrzynieniu połowy nastolatków z okręgu.

- Skąd wiedziałeś, że nikogo nie ma w domu?

- Dziadek zadzwonił do taty, żeby go wyciągnął z aresztu, bo ty jesteś nadętym dupkiem i nie chcesz mu pomóc - powiedział z uciechą Chase. - Ojciec był już zalany w trupa, więc także nic nie zrobił. Pewnie nawet gdyby był trzeźwy, nic by to nie zmieniło. Dziadek wpadł w szal.

- Podśłuchiwałeś z drugiego aparatu?

- Przytrzymałem tacie słuchawkę przy uchu. Ciągle mu wypadła z ręki.

Scott stłumił ciężkie westchnienie. Nie miał dzieci, ponieważ na samą myśl o zostaniu rodzicem ciarki przechodziły mu po plecach. Tymczasem widział przed sobą piętnastolatka, który już wpakował się w kłopoty, w dodatku obciążonego ojcem i dziadkiem alkoholikiem. Powinien przynajmniej spróbować mu pomóc, nawet jeśli chłopak uważa go za swojego największego wroga.

- Marihuana jest nielegalna. Trzymaj się od niej z daleka i kropka. Wiesz, że alkoholizm jest dziedziczny, prawda?

- Ta - prychnął Chase.

- To oznacza, że łatwo możesz się uzależnić, wystarczy kilka piwek tu i tam. Od czasu do czasu. Brzmi niegroźnie, co? A jednak. Ludzie tacy jak my zawsze chcą więcej, aż w końcu lądujemy w areszcie jak mój ojciec albo nieprzytomni na podłodze jak twój.

- Mówisz, jakbyś nigdy nie wypił piwa.

- Bo nie wypilem. - Zarówno Scott, jak i Ryan byli typowymi dziećmi alkoholika. Scott, który napatrzył się na zniszczenia, jakie powoduje alkohol, nigdy go nawet nie tknął. Ryan wybrał inną ścieżkę: zaczął się upijać już jako chłopiec i znajdował się na dobrej drodze, żeby prześcignąć w pijaństwie własnego ojca.

Scott miał tylko nadzieję, że nie

jest równie agresywny jak staruszek. - Twój tato jest dobrym człowiekiem, który podjął w życiu wiele złych decyzji. On pierwszy to przyzna. A prawie każda z tych złych decyzji została podjęta pod wpływem alkoholu.

- Jak strata pracy.

Przed trzema laty ojciec Chase'a pracował jako kierownik lokalnej sieci stacji wymiany oleju Jiffy Lubes. Dobra pensja, ubezpieczenie, pięć dni w tygodniu od dziewiątej do piątej. Stałe zajęcie. Potem nastąpił kryzys w małżeństwie i Ryan coraz częściej zaglądał do kieliszka, co doprowadziło do jego zwolnienia. Niewątpliwie dzieciak bardzo to przeżył.

-Tak.

- Jak rozwód?

Scott wolał o tym nie rozmawiać. Nie znał wszystkich szczegółów i nie chciał ich znać. Nie miał jednak wątpliwości, że alkoholizm Ryana odgrywał tutaj pewną rolę.

- Prawdopodobnie.

- Jak moje narodziny?

O, niech to szlag. Sytuacja go przerosła, mierzył się właśnie z delikatnym psychologicznym tematem.

- Tego nie wiem. - Chyba nie wyszło najlepiej. Spróbował się poprawić: - Ale wiem, że rodzice bardzo cię kochają.

Chase sprawiał wrażenie zde gustowanego. Scott wcale mu się nie dziwił. Oto prawie go nieznający wujek opowiada sentymentalne bzdury na temat rodziców, którzy się nim nie interesują.

- Obiecuję, że już nigdy nie będę pić ani palić. Mogę iść?

Scott nie wierzył w jego obietnicę, ale uznał, iż nie ma sensu drażnić tematu w nieskończoność. Po prostu porozmawia z Ryanem, kiedy ten wytrzeźwieje. Ale co ma do tego czasu zrobić z jego synem?

- Skoro twój tata leży pijany w kuchni, to nie mogę cię do niego zawieźć. Gdzie mama?
 - Nie wiesz? Na miesiącu miodowym. W zeszłym tygodniu wyszła za mąż - odpowiedział Chase z pogardą.
 - Po powrocie przeprowadza się z nowym mężem do Cincinnati. Ja zostaję z tatą.
- Cóż, to wyjaśniało stan Ryana. Nigdy nie stracił nadziei, że Gayle do niego wróci. Brawo, braciszku.
- Hmm... - Scott nie miał pojęcia co dalej.
 - Zresztą o co ci chodzi z tym zawożeniem - obruszył się Scott. - Sam przyjechałem, sam odjadę.
 - Jeszcze czego. Żadnego jeżdżenia bez papierów, jasne? Jeszcze drogówka by cię zatrzymała i nieszczęście gotowe. Nie dostałbyś prawa jazdy do osiemnastego roku życia. Za kilka miesięcy będziesz mógł jeździć, ile zapragniesz.
 - Scott nie czekał na reakcję. - Przenocujesz tu, a rano zawiozę cię do ojca.
 - Muszę zwrócić auto, zanim tata się obudzi. Chase bał się Ryana. Kolejny temat, który będzie trzeba poruszyć w rozmowie z bratem.
- Cholera jasna, co go podkusiło, żeby się zatrzymać?
- Mamy tu dwa samochody i tylko jednego kierowcę.
- Teoretycznie mógłby pojechać razem z Chase'em furgonetką do swojego mieszkania, przenocować chłopaka u siebie, a wcześniej rano odstawić razem z samochodem pod dom Ryana. Do pracy dotarłby taksówką. Mnóstwo zamieszania, ale dałoby się to zrobić. Tylko że wtedy zostałyby bez środka lokomocji przez cały wypełniony spotkaniami dzień.
- Nie mogę wrócić do domu bez furgonetki. - W głosie Chase'a po raz pierwszy zabrzmiały wyraźne nuty paniki.
 - Boisz się ojca? - Scott zmarszczył brwi.
 - Jeśli odkryje, że nie ma samochodu, to jak najbardziej.

- Co ci zrobi?

- Skopie mi tyłek - odparł Chase, krzyżując ręce na piersi. - A co myślałeś?

Świetnie, będzie mnóstwo tematów do omówienia z bratem. Więcej niż mieli przez kilka lat. Nie mogę się już doczekać, pomyślał Scott posępnie.

- Pojadę z tobą i wszystko mu wyjaśnię - zaproponował.

- Chyba mu o tym nie powiesz! - Bratanek przeraził się nie na żarty. - Obiecałeś nie mówić nikomu z rodziców.

Tak się składa, że twój ojciec jest moim bratem, chciał powiedzieć, lecz nie zrobił tego.

Nagle nasunęło mu się rozwiązanie problemów z transportem. Lisa została bez samochodu. Przenocują z Chase'em na farmie, a rano Lisa pojedzie za nimi dżipem. Zostawią pod domem Ryana furgonetkę, Scott pożegna się z chłopakiem, a potem podwiezie Lisę do pracy. Spędzi z nią więcej czasu, niżby chciał, ale każdy coś na tym zyska. Niewątpliwie bratanek nie uniknie kłopotów, jeśli Ryan obudzi się rano i odkryje brak samochodu. Było to jednak mało prawdopodobne. Jeśli upił się do nieprzytomności, powinien spać jak zabity do późna.

- No, dobrze. Mam pomysł. Przenocujemy u dziadka. Poproszę sąsiadkę, żeby z samego rana pojechała za nami moim samochodem. Podrzucę cię do domu, a sam przesiądę się do swojego wozu. - Zerknął na zegarek. Było prawie wpół do dwunastej, za późno, żeby zadzwonić do Lisy. Skontaktuje się z nią rano. Nie miała powodu, żeby odmówić, chyba żeby bardzo chciała zrobić mu na złość.

- I nie powiesz nic tacie? - spytał Chase, ukrywając strach pod maską wojowniczości.

- Zastanowię się - westchnął Scott, który umierał z głodu i zmęczenia. Poszedł do kuchni, tonącej w mroku rozjaśnionym nieco promieniami księżyca. Którys

z dzieciaków musiał wyłączyć światło. Scott przycisnął włącznik, rozległ się dźwięk przypominający bzyczenie wścieklej osy i zapłonęły jarzeniówki.

- Jesteś głodny? - spytał chłopca.

- Obiecaj, że nie powiesz - nalegał Chase, podążając za nim.

Małe pomieszczenie jak zawsze porażało swoją brzydotą. Te same poniszczone zielone blaty, żółtawe szafki pasujące do musztardowego koloru ścian, stara kuchenka na gaz, popękany biały zlew i składany stolik do gry w karty zastępujący stół kuchenny. Nowa była jedynie lodówka z nierdzewnej stali z dozownikiem na lód i wodę. Prezent od Scotta. Stara, która przetrwała całe jego dzieciństwo, w końcu się popsowała. Miał nadzieję, że znajdzie coś do jedzenia.

- Twój tato jest moim bratem. Nie chciałbym niczego przed nim ukrywać - odpowiedział, otwierając chromowane drzwiczki.

Chase wygłosił przemówienie na temat niesprawiedliwości, którego Scott nie słuchał. Zgodnie z jego obawami lodówka była wypełniona piwem, zobaczył także dwa wina, butelkę wódki i dzinu. Oprócz tego znalazł jeszcze tylko stary kawałek pizzy, resztki nieświeżej sałatki, kilka plasterków bekonu i parę jajek.

Mogło być gorzej, uznał, sięgając po jajka i bekon,

- Lubisz jajecznicę? - spytał, rozgrzewając patelnię.

- Nie możesz mu powiedzieć! Zwłaszcza o samochodzie.

- Bo to go najbardziej zdenerwuje? - Ryan powinien przemyśleć swoje priorytety. - Nie piwo, nie trawka?

Nie fakt, że postanowiłeś urządzić popijawę w domu dziadka? Włamując się?

- Nie włamaliśmy się. Przy kluczykach do furgonetki są klucze do domu.

- Jeden zarzut mniej. Brawo. - Zapach smażonego

bekonu sprawił, że Scottowi zaczęła cieknąć ślinka. Nie jadł obiadu.

- Czego ty ode mnie chcesz?

Popatrzył na bratanka. Chłopak był blady i spięty.

- Chciałbym, żebyś troszkę zmądrzał. - Sam się zdziwił swoją szczerą odpowiedzią. - Życzyłbym sobie, żebyś uważniej przyjrzał się ścieżce, na którą wchodzisz i zastanowił się, dokąd ona prowadzi. Chcę, żebyś skończył szkołę, zdobył wymarzony zawód, wyrósł na zdrowego szczęśliwego człowieka.

- Jak ty? - uśmiechnął się szyderczo Chase. - Tata mówi, że jesteś świętoszkowatym palantem.

- Nie będę ci mówił, jak ja go nazywam - uśmiechnął się półgębkiem Scott.

Zdjął z patelni usmażony bekon i przełożył go na dwa papierowe talerze. Wbił na gorący tłuszcz cztery jajka. Jeszcze tylko trochę soli, odrobina pieprzu, cztery kawałki chleba do tosterka i gotowe.

- Proszę, nie mów mu. - Chase po raz pierwszy odezwał się pokornym tonem.

- Boisz się lania? - spytał ostrożnie Scott, nie przerywając przygotowywania kolacji. Wolałby nie wiedzieć, jeśli odpowiedź była twierdząca, ale nie mógł chować głowy w piasek ze względu na dobro chłopca.

- N-nie - odparł ten niepewnie. - Ostatnio, kiedy się na mnie rozzłościł, dostałem w twarz. Ale przedtem nazwałem go burakiem i oplułem.

- Zdecydowanie okoliczność łagodząca. - Poczul ulgę, dowiedziawszy się, że jego brat nie stoczył się jeszcze do poziomu własnego ojca. Postawił jedzenie na stoliku i nalał wody do szklanek. - Siadaj i jedz.

- Nie jestem głodny. - Chase zsunął się z blatu, na którym siedział, i podszedł bliżej. Scott już się zabrał do jedzenia.

- To zjedz z rozsądku.
- Zawrzyjmy umowę - zaproponował z przejściem nastolatek, zajmując miejsce naprzeciwko. - Ty nie powiesz o niczym ojcu, a ja dopilnuję, żeby wszyscy stawili się jutro w twoim gabinecie i wykonali polecenia.
- Podejrzewasz, że bez twojej interwencji nie przyjdą?
- Nie wiem. - Chase z roztargnieniem zaczął jeść plasterki bekonu. - Austin prawdopodobnie nie. Matt też może nie przyjść. Powinieneś być zagrozić, że zadzwonisz do jego trenera. A Noah podał fałszywy numer telefonu.
- Naprawdę? - uśmiechnął się Scott. - Nie sądzę, żebym miał jakiegokolwiek trudności ze zdobyciem właściwego.
- Dopilnuję, żeby wszyscy przyszli. I nie będę pił ani palił, ani...
- Kradł samochodów. I jeździł bez prawa jazdy.
- Dobrze. Wszystko obiecuję. Tylko zawieź mnie do domu, zanim tata się obudzi i o niczym mu nie mów.
- Mogę ci ufać?
- Tak - zapewnił Chase, oblewając się rumieńcem.
- Zatem umowa stoi. Jedz. Trzeba iść spać, jutro musimy wcześniej wyjechać. - Ciekawe jak zareaguje Lisa na pobudkę o szóstej rano, pomyślał. Pewnie niezbyt przyjaźnie, zważywszy na osobę budzącego. Ale przecież dzięki niemu będzie miała czym pojechać do pracy.
- Budzik jest nastawiony na ósmą. Tata pewnie się nie obudzi, ale...
- Będziesz w domu, zanim zadzwoni. Ja o ósmej zaczynam pracę. - Scott skończył jeść, zaczekał na Chase'a i sprzątnął ze stołu. Przygotował śmieci do wyniesienia, wiedząc, że przez jakiś czas nikogo nie będzie w domu. Chase tymczasem zabrał się do zmywania patelni oraz sztućców. Dzieciak, który z własnej inicjatywy myje naczynia, nie może być zły, uśmiechnął się do siebie Scott.

- Hej, Scott. Tam się coś dzieje. - Chase spojrział w okno, marszcząc czoło.

Scott podszedł, żeby to zobaczyć. Chase nie musiał nic więcej mówić. Jego wujek przez chwilę przyglądał się czerwonej poświacie, nie wiedząc na co patrzy.

- Cholera! - zawołał z przerażeniem, kiedy wreszcie to do niego dotarło. Ruszył do drzwi.

- Co?! - zawołał zdezorientowany chłopak, biegnąc za nim.

Scott pędził do samochodu, jednocześnie wyjmując z kieszeni telefon komórkowy.

- Pożar w Grayson Springs - rzucił przez ramię, wybierając numer straży. W centrali nikt nie odbierał.

Usiadł za kierownicą dżipa, a Chase obok na miejscu pasażera.

9

Straż pożarna, słucham - odezwała się operatorka denerwująco spokojnym tonem. Scott gnał jak wariat. - Pali się. Proszę przyjechać. W budynku mogą być ludzie. - Z trudem panował nad głosem, miał ochotę krzyczeć. - Grayson Springs. - Wszyscy w okolicy znali słynną stadninę, ale pani z centrali zażyczyła sobie dokładnego adresu. Podał go jej. Dwa razy. Udało mu się nie stracić panowania nad sobą. Przez chwilę między drzewami dojrzał białą fasadę domu. Prezentowała się nieco upiornie w świetle księżyca. Okna lśniły pomarańczowym blaskiem, z dachu unosił się dym. Południowe skrzydło. Tam spała Lisa.

Wstrzymał oddech.

- Cholera - szepnął Chase.

Podjeżdżając bliżej, Scott z ulgą zarejestrował obecność ludzi na trawniku. Widział ich niewyraźne sylwetki. Musiała być wśród nich.

Tak sobie powtarzał, ale strasznie się martwił. Czym prędzej wyskoczył z samochodu i pobiegł ku gromadce zebranej na trawniku obok rezydencji. Zobaczył panią Marthę. Leżała na plecach na trawie, była bardzo blada i miała zamknięte oczy. Gdyby nie zajmująca się nią pielęgniarzka, pomyślałby, że pani Grant już nie żyje. Pan

94

Frye klęczał obok niej, zanosząc się kaszlem. Pani Baker pochylała się nad nim z troską.

Scott poczuł zimny dreszcz na plecach, nie widząc nigdzie Lisy.

- Gdzie Lisa? - zawołał, podbiegając do nich. W powietrzu unosił się ostry zapach dymu, głośny huk płomieni chyba zagłuszył jego pytanie, ponieważ nikt nie odpowiadał. Ogień rzucał upiorne światło. Jezu, szybko się rozprzestrzenia, zauważył. Serce podeszło mu do gardła.

- Gdzie Lisa? - powtórzył z naciskiem, łapiąc panią Baker za rękę. Podskoczyła zaskoczona, popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem i wskazała na dom.

- Chyba w środku! Była w swojej sypialni, Andy nie mógł tam się dostać.

Świat na chwilę się zatrzymał, a potem Scott poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny.

- Idź... od tyłu - poradził pan Frye, nie przestając się krztusić. - Drzwi frontowe są zablokowane.

- Zostań tu - nakazał Chase'owi. Przeklęty dzieciak nie posłuchał i za nim pobiegł. A on nie mógł tracić czasu na kłótnię z chłopakiem. Syreny straży pożarnej jeszcze nie było słychać. Przeskoczył niski kamienny murek. Gdzie, do cholery, podziewa się oddział ratunkowy? Ile można czekać?

Najbliższa komenda straży pożarnej mieściła się niestety w Versailles. W najlepszym razie dojazd stamtąd zajmował piętnaście minut.

Ogień tymczasem przybierał na sile. Ogród przypominał przedsionek piekła. Scott czuł na skórze ciepło i słyszał huczenie szalejących płomieni. Poczuł zimny dreszcz na myśl, że Lisa jest tam w środku.

Boże, żeby jej się tylko nic nie stało, modlił się.

- Ani mi się waż albo powiem o wszystkim ojcu - warknął do Chase'a.

Złapał za klamkę. Tak jak się obawiał: zamknięte. Przestał się łudzić, że Lisa uciekła tędy. Nie zamykałaby przecież za sobą drzwi na klucz. Oparł się pokusie wyważenia ich kopniakiem. Wyjął portfel, sięgnął kartę kredytową, a resztę upuścił na ziemię. Znał dobrze ten zamek i te drzwi. Były solidne, stare, drewniane, wyważenie ich to nie taka prosta sprawa. Ale nowoczesny zamek można z łatwością otworzyć kartą kredytową.

Zacisnął zęby i spróbował, pot ściekał z niego strumieniami.

- A nie uciekła jakąś inną drogą? - wysapał Chase. Może. Ale nie zamierzał przeczesywać ogrodu, żeby sprawdzić. W tym czasie uwięziona w środku Lisa mogła zginąć. Udało mu się wreszcie otworzyć drzwi.

- Zostań tu - rozkazał groźnie Chase'owi. - Nie żartuję. Jeśli nie wrócę do czasu przyjazdu strażaków, powiedz im, gdzie jestem.

Wszedł do środka; minęło kilka sekund, nim zorientował się w układzie pokoi. Nie był w tej części domu od dziesięciu lat. Korytarz miał kształt drukowanej litery T. Po prawej stronie mieściła się łazienka, po lewej schody, których szukał. Przypomniawszy sobie to wszystko błyskawicznie i pobiegł ku wąskim schodom. Kiedy otworzył drzwi, buchnęły zza nich kłęby dymu. W nozdrza uderzył go ostry zapach spalenizny, uszy zaatakował huk ognia.

- Lisa! - krzyknął. Skulił się i podniósł ramię, by choć trochę osłonić oczy przed piekącym dymem.

Przeskakiwał po dwa schodki naraz.

Wydawało mu się, że słyszy jej cichy głos.

- Pomocy! - powtórzyła Lisa ostatkiem siły, nim chwycił ją atak kaszlu rozrywającego płuca. Walczyła o każdy oddech, głowa ciążyła jej niemiłosiernie, pulsowało

w skroniach. Miała mdłości i zawroty głowy. W ustach czuła obrzydliwy metaliczny posmak.

Położyła się chociaż na chwilę...

Nie powinna marnować energii na krzyk. I tak z zachrypniętego gardła wydobywały się ledwie słyszalne dźwięki. Skoro nie usłyszeli jej pierwszych przeraźliwych wrzasków, to teraz także nikt nic nie usłyszy.

Gdzie mama, Robin i Andy? Udało im się wydostać? A może im także ogień odciął drogę ucieczki?

Poczuła przerażenie na samą myśl. Nie potrafiła im pomóc. Zaczynała wątpić, czy zdoła uratować samą siebie.

Trzeba próbować.

Zagryzła wargi, próbując się skupić. Pełzła na czworakach w stronę schodów. Kaleczyła sobie kolana o drewnianą podłogę, rozgrzane deski parzyły ręce. Na górze dym zalegał wszędzie grubą warstwą. Po wyjściu z pokoju Lisa próbowała biec, ale gęste kłęby wdarły jej się do płuc, paliły gardło. Przypomniała sobie, że powinna się trzymać blisko podłogi. Zgięta wpół dobiegła do głównych schodów, które zapadły się na jej oczach. Ledwie zdążyła odskoczyć z krzykiem. Poleciał na nią grad iskier, ogień buchnął przez otwór w dachu.

Wpadła w panikę, kiedy tuż przed nią wyrosła ściana płomieni. Dym stawał się coraz gęstszy, czuła na skórze jego oleisty dotyk, wdychała w płuca ciężkie powietrze. Cały czas kasłała, walcząc o oddech, nie mogła się skupić. Przypomniała sobie, że należy się pochylić, więc upadła na kolana i gorączkowo parła do przodu na czworakach. Blżej podłogi nieco łatwiej było oddychać. Lisa trzymała się lewej strony korytarza, ponieważ ogień atakował z prawej i obawiała się, że lada chwila ściana upadnie pod jego naporem. Łoskot płomieni pochłaniających wszystko na swojej drodze napełniał ją panicznym strachem;

były

tuż za nią, niemal lizały ją po piętach, ścigały. Zginie, jeśli ją dogonią. Boczne schody, oddalone o kilka metrów, wydawały się nieosiągalne.

Dach w każdej chwili mógł się zawalić. Podłoga także.

Lisę ogarnęła kolejna fala przerażenia. Zmobilizowała całą siłę woli, aby się przeciwstawić panice i iść naprzód. Jej mięśnie stawały się coraz słabsze, mózg spowijała senna mgła.

Marzyła o tym, żeby się położyć.

Jestem taka zmęczona, myślała.

Jeszcze się na dobre nie otrząsnęła z resztek snu. Obudził ją głośny huk. Przez chwilę leżała w ciemnościach, próbując odgadnąć, co to za hałas. Właśnie wtedy miała największe szanse na ucieczkę. A ona nawet przez chwilę próbowała ponownie zasnąć. Nagle wyczuła w sypialni swąd dymu. Dopiero wtedy się zorientowała, że coś się dzieje.

Kiedy wreszcie zrozumiała, ogarnęło ją przerażenie. Dom stał w płomieniach.

Jeśli coś mi się stanie, mama tego nie przeżyje, upominała się surowo. To jej dawało siłę, żeby posuwać się naprzód mimo osłabienia i bólu.

Już niedaleko, mówiła sobie.

Oczy ją piekły, dusiła się dymem, serce usiłowało wyskoczyć z piersi. Lisa rozpaczliwie parła dalej, ku końcowi korytarza, gdzie jeszcze panowała ciemność. Były tam drzwi, a za nimi wąskie drewniane schody, niegdyś przeznaczone dla służby. Od tego miejsca dzieliło ją parę metrów.

Nie dam rady, zdała sobie sprawę z zatrwającą pewnością.

Nagle drzwi stanęły otworem i ukazał się w nich mężczyzna na tle pomarańczowych płomieni. Ogień za jej plecami

ryknął jakby z gniewu. Poczula uderzenie gorąca, kiedy dopływ powietrza wzmocnił szalejący za nią żywioł.

- Lisa! - zawołał tamten, zobaczywszy ją. Z trudem rozpoznała jego zduszony głos.

- Scott! - załkała cicho i po raz kolejny zaniosła się kaszlem.

On nie pozwoli, żeby umarła!

Podbiegł do niej nisko pochylony, zakrywając dłonią nos i usta. Lisa próbowała wstać, opierając się o ścianę. Gdyby udało jej się do niego dobiec, wydostaliby się razem.

Ale nie miała siły. Zanim zdołała się podnieść, już był przy niej. Chwycił ją na ręce i ruszył z powrotem ku schodom. Ponad jego ramieniem obserwowała gwałtowny atak płomieni. Podążały za nimi, pochłaniając wszystko na swojej drodze, wypełniły miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowała. Jeszcze chwila i byłoby po mnie, uświadomiła sobie ze zgrozą.

- Obejmij mnie za szyję - powiedział Scott prosto do ucha Lisy. Dotarli już do szczytu schodów i zamknął drzwi przed ogniem. Spełniła polecenie, mobilizując wszystkie siły. W jego silnych ramionach czuła się jak szmaciana lalka; wtuliła twarz w pierś swego wybawcy, żeby zasłonić usta i nos przed dymem.

Wreszcie wypadli na zewnątrz i poczuła na skórze chłodny, rześki powiew. Uniosła głowę i zamrugła.

Oczy wciąż ją bolały, z ulgą wciągnęła w płuca świeże powietrze. Natychmiast zaczęła kasłać, ale to nic.

Udało się. Przeżyli. Lisa popatrzyła na znajomy ogród.

Dzięki Ci, Boże.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że drży.

- Idź i powiedz wszystkim, że jesteśmy bezpieczni, dobrze? - odezwał się Scott nieswoim, ochrypłym głosem. Mówił do nieznanego jej chłopca, który tylko skinął głową i błyskawicznie pognął spełnić jego prośbę.

Scott już nie biegł, tylko szedł spokojnie, a wstrząśnięta Lisa co chwila oglądała się na płonący budynek. Widziała jedynie dach, kamienne ściany i czarne dziury okien. I ogień. Jasny i groźny, biegł już wzdłuż krawędzi dachu. Szybko odwróciła wzrok. Była taka słaba, kręciło jej się w głowie, kasłała gwałtownie i tuliła się do Scotta. On także kasłał. Lisa cieszyła się, że żyje. Zaciśnęła zęby, aby powstrzymać spazmatyczne drżenie. Kaszel wcale jej nie pomagał. Scott niósł ją w kierunku altanki na uboczu. Nie widać było z niej płomieni, lecz wszechobecne trzaski: pomarańczowa poświata i swąd dymu nie pozwalały się ludzić, że obudziła się właśnie z okropnego koszmaru. Grayson Springs niszczył ogień. Lisa zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy, które wezbrały jej pod powiekami.

Chryste! - Scott zatrzymał się gwałtownie i opadł na jedno z krzeseł.

Zapłakana Lisa nadal spoczywała w jego ramionach, nie mając siły wstać. Siedzieli pogrążeni w mroku. W powietrzu unosił się zapach dymu. Skóra Lisy była lekko wilgotna od potu, Scott dyszał jak po przebiegnięciu maratonu. Powoli uspokajali się oboje. Czuła się tak bezpiecznie w jego silnym znajomym uścisku. Dreszcze powoli przestawały wstrząsać jej ciałem, przywarła ciaśniej do niego. Scott gładził jej rozpuszczone włosy i zakładał niesforne kosmyki za uszy.

- Lisa, odezwij się do mnie. Jesteś ranna? - Jego ochryply głos zaczął odzyskiwać normalne brzmienie.

Z wysiłkiem pokręciła głową.

- Mama? - zdołała wykrztusić, nim dopadł ją kolejny atak kaszlu.

- Przed domem. Wszyscy się wydostali. Masz trudności z oddychaniem?

Ogarnęła ją taka ulga, że aż zrobiło jej się słabo. Otworzyła oczy, jego ukryta w półmroku twarz sprawiała wrażenie zatroskanej. Mogła na niego liczyć, uświadomiła sobie i pozwoliła na chwilę odpoczynku. On się wszystkim zajmie. Już jako nastolatek był bardzo odpowiedzialny. Okropna wizja matki pochłanianej przez płomień,

niezdolnej do wykonania samodzielnego ruchu, opuściła Lisę. Tymczasem ogień wciąż przypominał o sobie.

Nie zdołała powstrzymać kolejnej łzy spływającej po policzku. Wzięła głęboki oddech i rozkasłała się na nowo.

- Odpowiedz, do diabła. Nie możesz oddychać? - powtórzył nagłym tonem. Gdyby mu nie odpowiedziała, z pewnością rozpoczęłyby reanimację.

- Nic mi nie będzie. Tylko... nawdychałam się dymu.

- Jesteś pewna? - Zakasłał. - Nie poparzyłaś się?

Mówiąc to, gładził ją po plecach. Nagle Lisa przypomniała sobie, że ma na sobie tylko satynowy komplet, w którym położyła się spać, kusą srebrzystą koszulkę na ramiączka z przezroczystym paskiem koronki między piersiami oraz małe szorty. Nieważne, pomyślała. O Scotcie można by powiedzieć wiele, ale z pewnością nie to, że jest świnią.

- Chyba nie - zamrugła powiekami, usiłując powstrzymać kolejną łzę cisnącą się do oka.

- Pozwól, że sprawdzę - powiedział, sadzając ją prosto. Popatrzył na nią uważnie. - Płaczesz?

-Nie.

- Właśnie że tak. To zresztą zupełnie zrozumiałe. - Zacisnął usta w cieką kreskę, jakby z trudem powstrzymywał się przed dodaniem czegoś więcej. Zlustrował ją bacznie od stóp do głów. - Nie widzę żadnych obrażeń. Możesz się normalnie ruszać?

- Tak. Sam zobacz. - Pomachała nogami. - i wcale nie płaczę, tylko oczy mi łzawią od dymu.

- Czyżby?

- Tak. - Oparła się bezwładnie o jego tors, gdy po raz kolejny chwycił ją atak kaszlu. Scott objął ją, a Lisa zamknęła oczy, napawając się poczuciem bezpieczeństwa.

- Mogłaś zginąć - powiedział z nagłą surowością. - Byłaś cholernie bliska śmierci.

- Chyba uratowałeś mi życie - odrzekła z drzeniem.
- Zgadzam się.
- Jak zwykle skromny - stwierdziła z uśmiechem, otwierając oczy.
- Czy to znaczy: „dziękuję”? Zresztą skromność jest przereklamowana.
- To twoje zdanie. Ale tak, to znaczy dziękuję.
- Proszę, nic już nie mów. - Oddychał głęboko.

Lisa umilkła, idąc za jego radą. Po chwili rozległ się zduszony stukot, któremu towarzyszył rozbłysk pomarańczowych płomieni. Zawaliła się kolejna część domu.

- Nie myśl o tym - szepnął Scott, widząc na jej twarzy cierpienie. - Oddychaj.

Posłusznie wzięła głęboki oddech i odwróciła wzrok od płonącego budynku, który spowijały kłęby czarnego dymu. Zostały tam wspomnienia i wszystko, co miała. Nie umiała powstrzymać łez spływających po policzkach.

- Och, Scott, mój dom... - Głos jej się załamał.
- Wszystko jakoś się ułoży - zapewnił, obejmując ją mocniej i kołysząc delikatnie w przód i w tył.
- Zawaliła się część dachu.
- To tylko budynek. Kamienie, drewno i farba. Da się odbudować.

-Wiem, ale...

- Kochasz ten dom. Wiem, że to trudne.
- Co się mogło stać? - załkała, ocierając niecierpliwie załzawione oczy.
- Nie wiem.
- Mugzę iść do mamy.
- Tak. Leżała na trawie, kiedy przyjechałem. Nie ruszała się, a pielęgniarka... Wynajęliście dla niej na noc pielęgniarkę? Udzielała jej pierwszej pomocy.
- O, nie!

Poruszyła się, jakby miała zamiar natychmiast wstać, ale powstrzymał ją i podniósł. Ruszył przed siebie, jakby nic nie ważyła. Był bardzo silny.

- Nie musisz mnie nieść. Czuję się zupełnie dobrze.

- Wolę poczekać na opinię fachowca.

Przed odpowiedzią powstrzymał ją kolejny atak duszności.

- Mówiłaś coś? - spytał sarkastycznie Scott.

- Nie żartuję, puść mnie - zażądała, kiedy zbliżyli się do zakrętu. W jego ramionach czuła się dziwnie i wspaniale. Budził w niej uczucia, z którymi nie miała siły walczyć, kiedy w głowie jej huczało, piersi ścisnęło żelazne imadło, a serce rozdzierała rozpacz po stracie dorobku całego życia. Nie chciała, żeby Andy i Robin zobaczyli ich razem w takiej sytuacji. - Proszę, Scott...

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami i postawił ją na ziemi.

Poczuła miękki trawnik pod bosymi stopami, owiał ją chłodny wiatr. Nogi się pod nią ugięły i bała się, że zaraz upadnie. Z pewnością tak by się stało, gdyby jej nie podtrzymał. Oparła się z wdzięcznością o jego ramię.

- Musi cię obejrzeć... - przerwał, usłyszawszy wycie syren strażackich.

- Boże, najwyższy czas - westchnęła Lisa. Swąd dymu wydawał się coraz silniejszy.

- Tak - potwierdził ponuro. Gdyby miała liczyć wyłącznie na strażaków, już by nie żyła.

Syreny zagłuszyły ryk ognia. Najwyraźniej wozy podjechały już bardzo blisko, może nawet stały na podjeździe, ale jeszcze go nie mieli w zasięgu wzroku.

- Tędy, prędko. - Zbliżał się ku nim nastolatek, którego Lisa widziała tuż po wyjściu z domu. Prowadził mężczyznę w czarnym uniformie niosącego jakąś torbę.

Najwyraźniej wreszcie dojechała pomoc. To musiał być ratownik medyczny.

- Chase, tu jesteśmy! - zawołał Scott, machając do chłopca. - Mój bratanek - wyjaśnił.

Lisa wiedziała o małżeństwie Ryana i kojarzyła, że miał syna, lecz nigdy wcześniej go nie widziała.

Mężczyzna i chłopiec zmienili kierunek. Lisa nagle poczuła się niezręcznie w swoim skąnym stroju.

- Potrzebny mi szlafrok - mruknęła bardziej do siebie niż do Scotta.

- Przeprowadziłem ratownika - wysapał Chase, kiedy już do nich dobiegł. Zerknął przelotnie na Lisę, wyraźnie się zmieszał i utkwił spojrzenie w twarzy wuja. - Długo was nie było widać, pomyślałem, że może potrzebujecie pomocy.

- Słusznie, dzięki - pochwalił go Scott.

- Czy ktoś jest ranny? - Ratownik był mniej więcej w wieku Lisy, coraz bardziej zawstydzonej skąnym strojem.

- Nie - odpowiedziała, odsuwając się od Scotta i tłumiąc kaszel.

- Niech pan ją przebada, czy nie doszło do zaccadzenia - powiedział w tym samym momencie Scott.

- Oślucham panią - zdecydował sanitariusz, sięgając do torby.

- Nie mam czasu. Muszę iść do mamy - powiedziała Lisa stanowczo, odchodząc.

Gardło ją bolało, jakby było pokaleczone, płuca dawały

o sobie znać bardzo dotkliwie, kręciło jej się w głowie

i słaniała się na nogach. Nic się nie liczyło. Gdyby tylko mogła, zaczęłaby biec.

- Zostanie przebadana w szpitalu. - Usłyszała za sobą głos sanitariusza, który prawdopodobnie zwracał się do Scotta. Zrozumiała, że idą za nią razem z Chase'em.

- Moim zdaniem nic jej się nie stało, skoro jest w stanie normalnie mówić i chodzić.

Dostrzegła w oddali trzy wozy strażackie i dwie karetki na sygnale. Kilkunastu strażaków w pełnym rynsztunku biegło w kierunku domu. Ratownicy z pogotowia zebrali się wokół sylwetek na trawniku. Robin, Andy i Lynn pochyłali się nad nieprzytomną mamą. Przełożono ją na nosze i zabrano do karetki.

- Proszę zaczekać! - zawołała Lisa, zrywając się do biegu.

Scott momentalnie znalazł się obok niej, żeby ją podtrzymać. Robin obejrzała się, słysząc krzyk. Lisa pomachała. Robin powiedziała coś do pozostałych, ale na nią nie poczekała. Dobiegła w momencie, kiedy nosze mocowano już w ambulansie. Mama była bardzo blada, miała uchylone usta i zamknięte oczy. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej. A nawet martwej.

- Mamo! - zawołała z przerażeniem Lisa. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Usiłując przecisnąć się do karetki między sanitariuszami, napotkała przestraszony wzrok Andy'ego.

- Co jej się stało? To przez ogień?

- W naszej części domu nie było ognia, tylko trochę dymu. Kiedy wyszliśmy, wszystko wydawało się w porządku. A potem zemdląca - wyjaśnił.

Andy miał na sobie niebieską bawełnianą piżamę. Stojąca za nim Robin, w kwiecistej koszuli do kolan, sprawiała wrażenie równie przerażonej jak brat. Jedynie Lynn, w swoim białym uniformie, zachowywała spokój.

- Może to z nerwów? - Robin załamała rękę. - Zorientowała się, gdzie jest największy ogień, wypowiedziała twoje imię, a potem...

100

- Zaczęła się trząść. - Andy też sprawiał wrażenie roztrzęsionego. - Wywróciła oczami i... straciła przytomność.
- To mógł być udar - dodała Lynn.
- Gdzie ją zabierają? - Lisa poczuła na sercu zimny dotyk grozy.
- Do szpitala uniwersyteckiego. - Czyli Lexington, pomyślała. Głos Lynn nie brzmiał zbyt pewnie, co jeszcze bardziej podsycalo jej lęk. - Oni mają najlepsze warunki do leczenia tego typu przypadków.
- O Boże. - Zrobiło jej się słabo ze strachu o matkę, ale musiała być silna. Martha Grant nie miała nikogo innego.
- Jadę z nią. Jestem córką - powiedziała sanitariuszom. Jeden z nich, korpulentny białowłosy okularnik, zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, po czym popatrzył na resztę zgromadzonych.
- Tylko jedna osoba z rodziny może jechać - poinformował, wracając do pracy.
- Czyli ja. - Lisa przytrzymała otwarte drzwi i zaczęła się wdrapywać do środka.
- Masz, weź to - odezwał się Scott; podając jej swoją koszulę, którą z wdzięcznością przyjęła.
- Dzięki.
- Spotkamy się w szpitalu. Weź także to. - Robin rzuciła jej kapcie. Po chwili drzwi zamknęły się z metalicznym szczękiem. Lisa usiadła na ławeczce i wsunęła stopy w niebieskie klapki. Pasowały. Zapięła koszulę, która wciąż pachniała Scottem. Nawet się nie zdziwiła, że ten zapach nodnosi ją na duchu. Sanitariusze nie zwracali uwagi na Lisę, zajęci zakładaniem chorej maski tlenowej i podłączaniem kroplówki.
- Co z nią? - spytała z niepokojem.

- Jej stan jest stabilny - powiedział siwowłosy ratownik, siadając obok niej. Słowa młodej sanitariuszki zagłuszyło wycie syren.

Lisa chwyciła matkę za rękę, chłodną teraz i bezwładną.

- Jestem przy tobie, mamó - szepnęła z nadzieją, że chora ją usłyszy.

11

O dziewiątej następnego ranka, po przeprowadzeniu niezbędnych badań Martha Grant została wreszcie przewieziona na szpitalny oddział. Leżała z zamkniętymi oczami podłączona do aparatu tlenowego. Jej klatka piersiowa przykryta niebieskim kocem prawie się nie poruszała. Lisa dla uspokojenia zerkała co jakiś czas na monitor. Mama spała, dziewczyna z trudem uniosła opadające powieki, bo sama również padała z wyczerpania. Lekarze opatrzyli jej niewielkie oparzenia na nogach i przebadali płuca. Bolały ją gardło, brzuch i głowa, lecz nie stwierdzono żadnych poważnych obrażeń. Była ubrana w dżinsy i żółtą bluzkę z wizerunkiem Sponge Boba, na nogach miała klapki. Strój daleki od eleganckiego, jednakże bardziej stosowny od ubioru, w którym przyjechała do szpitala. Robin kupiła cały komplet, wraz z bielizną, w najbliższym hipermarkecie, gdyż Lisa nie mogła już znieść zdziwionych spojrzeń, kiedy przechadzała się po korytarzu w koszuli Scotta. Starła się nie myśleć o tym, że straciła w pożarze wszystkie własne ubrania. Wciąż trudno jej było się pogodzić z katastrofą. W sypialni została między innymi teczka z dokumentami. Akta sprawy Garcia. I Katrina, wyglądająca jak plastikowa kopia dziewczynki ze zdjęcia.

Czyżby ktoś podłożył ogień specjalnie po to, żeby pozbyć się akt? To pytanie wciąż ją prześladowało.

103

Wydawało się to niemal niemożliwe i Lisa pomyślała, że popada w paranoję. To musiał być przypadek, że w pożarze spłonęły dowody sprawy, która zachwiała jej wiarą w fundamenty własnego życia.

Konieczność przyznania się Scottowi do własnego lekkomyślnego postępku, jakim było wyniesienie dokumentów z biura prokuratora, spędzała jej sen z powiek.

Naraził na szwank życie, żeby ją ratować. Pocieszał ją i oddał jej koszulę. Ich wzajemna wrogość, trwająca od lat, nagle się ulotniła. Lisa poczuła się bezpieczna w jego ramionach. A Scott nie wydawał się, jak zwykle, zde gustowany samą jej obecnością.

W jego rozdrażnieniu Lisa rozpoznawała element pożądania. Nie była już dziewczynką, lecz dojrzałą kobietą, która potrafiła wyczuć nastroje mężczyzny. Scott zdecydowanie jej pragnął. Tak naprawdę nigdy w to nie wątpiła, choć nie uczynił najmniejszego gestu, by ją zdobyć.

Od lat łączyło ich wzajemne przyciąganie. Zazwyczaj jednak to Lisa próbowała go uwieść, a on traktował ją jak nieznośną rozpieszczoną pannicę.

Wczorajszej nocy coś się zmieniło. W murze, którym odgradzał się od niej przez lata, pojawiła się szczelina i Lisa zobaczyła prawdziwe uczucia Scotta.

A więc otwarcie jej pragnął, a ona była tym zachwycona. Jako nastolatka bez przerwy o nim fantazjowała. Jako dorosła kobieta zdała sobie sprawę, że bez wielkiego wysiłku może spełnić swoje fantazje.

Ale widziała w jego oczach więcej niż fizyczne pragnienie. Nie potrafiła tego nazwać, ale doznała osobliwego poczucia przynależności, kiedy tak siedziała wtulona w jego ramiona.

Pożądanie, poczucie przynależności, uczucie. Żadne z nich jednak nie uchroni jej przed gniewem Scotta,

kiedy dowie się o spłonięciu akt. Znała go na tyle dobrze, by to wiedzieć.

Nie była nawet pewna, czy nie zwolni jej z pracy.

Postanowiła odłożyć tego rodzaju zmartwienia na później, gdyż mama po raz pierwszy od kilku godzin otworzyła oczy. Zagłówek szpitalnego łóżka był uniesiony, tak by Martha znajdowała się w pozycji na wpół siedzącej. To ułatwiało chorej oddychanie.

- Cześć - powiedziała łagodnie Lisa, biorąc ją delikatnie za rękę.

Mama przez sekundę patrzyła, jakby jej nie rozpoznawała.

- Lisa - odezwała się wreszcie z uśmiechem.

- Jak się czujesz?

- Bywało... lepiej - odrzekła z humorem, który napełnił serce Lisy nadzieją. Mama była sobą. - Gdzie... jestem? - spytała, ze zmarszczonym czołem rozglądając się po sali.

Lisa zamarła. Mama już trzeci raz zadawała to samo pytanie.

- W szpitalu uniwersyteckim.

- Aha. - Martha przyjęła wiadomość z nietypowym dla siebie brakiem zainteresowania i ponownie zamknęła oczy.

Lisa czekała w milczeniu.

Poranne promienie słońca przeświecały przez szpary w żaluzjach. Aromat kawy z kubka na stoliku był jedynym przyjemnym zapachem pośród szpitalnych woni. Kawę przyniósł Andy, zanim pojechał razem z Robin do Gray-son Sprirjgs oszacować straty. Zarówno oni, jak i Lisa, Scott oraz Lynn czuwali przy szpitalnym łóżku Marthy, kiedy o drugiej w nocy nadeszła informacja o ugaszeniu pożaru. Wszczęto śledztwo, by ustalić jego przyczyny, powiedziano im.

Lisa bała się poznać przyczynę, choć powtarzała sobie, iż to z pewnością zwykły wypadek, który nie miał nic wspólnego ze sprawą rodziny Garcia.

Gdyby się okazało, że ogień podłożono w celu zniszczenia akt... To by mogło znaczyć, że ta sprawa ma coś wspólnego ze mną, z trudem dokończyła tę myśl.

- Powinnaś... pojechać do domu... odpocząć... - Martha ponownie otworzyła oczy i popatrzyła na córkę. Odzyskała przytomność niedługo po przybyciu do szpitala. Zasypiała i budziła się jeszcze kilkakrotnie, ale nie zawsze pamiętała, że dom spłonął. Lisa przypisywała jej oszołomienie działaniu leków i modliła się, aby tak było. Jednocześnie uważała, iż to dobrze, że mama nie pamięta o tragedii. Strata domu mogła się okazać ciosem, którego jej osłabiony organizm nie zdołałby udźwignąć.

- Później. - Ścisnęła mamę za rękę. Była zimna, zbyt zimna. O dziewiętnastej czekało ją spotkanie z agentem ubezpieczeniowym, ale pozostały czas zamierzała spędzić tutaj.

-Wydajesz się... zmęczona. Ja... dam sobie... radę. Naprawdę.

Jej białe włosy rozłożone na poduszce przypominały ptasie pióra. Na twarzy przez tę jedną noc przybyło zmarszczek. Oczy, podkrążone i opuchnięte, spoglądały z oszołomieniem, które niepokoiło Lisę.

- Przecież wiesz, że i tak cię nie zostawię.

- Annaliso. - Martha zdobyła się na wątry uśmiech. - Tak... się cieszę... że wróciłaś... do domu. Bardzo... tęskniłam.

- Ja też za tobą tęskniłam - odparła cicho przez ściśnięte gardło. Była taka młoda i skupiona na sobie, kiedy wyjeżdżała na studia... Nie zastanawiała się nawet, ile to rozstanie musiało kosztować matkę.

Gdyby mogła cofnąć czas, częściej by dzwoniła i przyjeżdżała do domu,

prędzej by wróciła. Ale nie mogła zmienić przeszłości, mogła jedynie być przy mamie tu i teraz. Rozległo się krótkie pukanie do drzwi; do sali wszedł łysiejący około czterdziestoletni mężczyzna w fartuchu lekarskim. Skinął głową w stronę Lisy i zbliżył się do łóżka chorej.

- Witam, pani Grant. Nazywam się doktor Metz, współpracuję z doktorem Spencerem. Przyszedłem panią zbadać.

- Gdzie jest doktor Spencer? - spytała Lisa.

- Na urlopie do poniedziałku.

Natychmiast po badaniu mama zasnęła, a zaniepokojona Lisa wyszła na korytarz za lekarzem.

- Jak ona się czuje?

- Jeszcze nie mamy wszystkich wyników.

- Ona ma chyba zaburzenia świadomości. Nie wie, gdzie jest, i nie pamięta pożaru.

- Częściowo można to złożyć na karb szoku pourazowego, jej choroba dodatkowo komplikuje diagnozę. Gdybym miał zgadywać na podstawie tego, co już wiemy, podejrzewałbym lekki udar. Trzeba poczekać na wyniki.

- Ile czasu?

- Niektóre będą już dziś po południu, na resztę poczekamy nieco dłużej.

Skinął głową i skorzystał ze sposobności, żeby odejść, kiedy w kieszeni Lisy zadzwonił telefon komórkowy. Rozumiała, że lekarz ma wielu pacjentów i ograniczony czas, lecz była rozczarowana tym, jak niewiele jej powiedział.

- Mówi Rink - przedstawił się jej rozmówca. - Ehm, mam pyjanie... Zabrałaś akta, które wczoraj przeglądaliśmy? Wiesz, te dotyczące twojego sobowtóra.

- Tak - przyznała Lisa.

- Uff. Już się przestraszyłem, że przepadły. Przyniesiesz je z powrotem?

- No właśnie - westchnęła. - Spaliły się wczoraj razem z całym moim domem.

- O Jezu - zamilkł na chwilę. - Przykro mi.

- Dzięki.

Uniosła wzrok i zobaczyła idącego ku niej korytarzem Scotta. Wysoki, o szerokich ramionach, przystojny, w swoim granatowym garniturze i białej koszuli z czerwonym krawatem budził szacunek. Opuścił szpital dopiero o trzeciej w nocy, kiedy lekarz z całą pewnością stwierdził, że Lisa jest zdrowa. Przed wyjściem powiedział, żeby wzięła tyle wolnego z pracy, ile potrzebuje. Nie wiedziała, czemu wrócił, ale jego widok sprawił jej przyjemność.

Po chwili się zorientowała, że nie przyszedł sam. Towarzyszyła mu Kane w pełnym rynsztunku: czarna garsonka i buty na obcasie, jasne włosy ściągnięte do tyłu, aktówka w dłoni. Mówiła coś do niego z przejęciem. Był z nimi także Hendricks, również prawnik, szczupły mężczyzna w okularach. Scott dał swoim współpracownikom znak, aby na niego poczekali.

Patrzyła, jak się zbliżał, i wyobrażała go sobie bez koszuli. Zeszłej nocy po raz pierwszy widziała go niekompletnie ubranego, odkąd wyrósł z wieku młodzieńczego. Wtedy nie skupiała się na jego nagim torsie, lecz jej podświadomość zarejestrowała każdy szczegół.

Popatrzyli na siebie.

No tak, pomyślała. Szara rzeczywistość.

Nie zobaczyła bowiem w jego oczach żadnego z uczuć, które mu wczoraj przypisywała. Był bardzo oficjalny. Jeżeli jej pragnął, tak jak chciała wierzyć, to świetnie się maskował.

Przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha.

- Buchanan przyszedł - szepnęła do kolegi. - Muszę kończyć.

- O cholera. Dla złagodzenia sytuacji możesz mu

powiedzieć, że wszystkie dane zostały już wprowadzone do systemu. Przepadły tylko...

- Oryginalne dokumenty - dokończyła cicho i dodała głośnie: - Dzięki. Jesteś kochany.

- Kto jest kochany? - zainteresował się Scott, przyglądając się jej z rozbawieniem. - Fajna bluzka.

Poczuła się naga bez makijażu i w niedbałej fryzurze. Nie przejmowała się Scottem, który widywał ją już w różnych sytuacjach. Denerwowało ją nienawistne spojrzenie nieskazitelnej Kane. Nagle coś sobie uświadomiła. Tamta jest zazdrosna o Scotta! Najwyraźniej jej się spodobał, a Lisę uznała za rywalkę. Interesujące. Tylko skąd u niej ta niechęć do Kane? Postanowiła nie odpowiadać sobie na to pytanie. Świadoma wzroku tamtej przywołała na twarz ciepły uśmiech i zwróciła się do szefa:

- Dzięki. Alan Rinko jest kochany. Student prawa, który pracuje u ciebie od maja. Na Syberii.

- Na Syberii? - zdziwił się.

- Wczoraj mnie tam zesłałeś. Do piwnicy, żebym porządkowała stare akta. Twój ludzie z biura tak określają archiwum, bo wysyłasz tam ludzi, kiedy ci podpadną.

- Pierwsze słyszę.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wszyscy boją się powiedzieć ci to w twarz.

- Boją się? Co ty opowiadasz.

- Chcesz się założyć, panie szefie? Całe biuro chodzi wokół ciebie na paluszkach, kiedy masz kiepski nastrój. Co podobno ostatnio zdarza się coraz częściej.

- Ktotek mówi? - Scott przyjął postawę obronną.

- Może jeszcze podać nazwiska? Wykluczone.

- Bo zmyślasz, księżniczko.

- Wierz, w co tam ci wygodnie, ale nie nazywaj mnie księżniczką - rzuciła mu surowe spojrzenie, po czym

pokręciła głową w geście kapitulacji. - A co z twoim tatą? Wyszedł już z więzienia?

- Wynająłem mu adwokata i trzymam się z daleka od sprawy. Nie mam czasu na pogaduchy, jestem w drodze na spotkanie. Znaleźliśmy świadka gotowego zeznawać w sprawie McDonnella i Coleya.

Wszyscy w biurze słyszeli o McDonnellu. Był miejscowym bogatym przedsiębiorcą, który został postawiony w stan oskarżenia za przekupienie sędziego Arthura Coleya, aby ten wydał wyrok na jego korzyść w orzeczeniu rozwodowym. Sprawa pachniała skandalem na szeroką skalę.

- Mam ci coś do powiedzenia - dodał Scott.

- Co takiego? Czekaj, najpierw ja muszę ci się do czegoś przyznać. - Chciała już mieć to za sobą. - Wczoraj trafiłam na dokumenty, które wzbudziły moją ciekawość. Zabrałam je do domu. Obawiam się, że spłonęły.

- Nie wolno wynosić z biura żadnych akt - powiedział. Wyglądał jak człowiek ogarnięty zimną furią.

- Wiem.

- Ale to cię nie powstrzymało. -Nie.

- Poprosiłaś kogokolwiek o pozwolenie? Podpisałaś coś?

-Nie.

- Zdajesz sobie sprawę, że to solidna podstawa do zwolnienia z pracy?

- Jestem zwolniona?

- Drugi raz w ciągu dwóch dni? - Zawahał się z niesmakiem. - Chcesz pobić rekord?

- Scott...

- Prawdziwy z ciebie wrzód na tyłku, wiesz? Dlaczego zabrałaś te akta?

- Ta kobieta wyglądała jak ja.

-Co?

- Jakieś trzydzieści lat temu w okolicy zaginęła cała rodzina. Małżeństwo z dwójką dzieci. W aktach znalazła się ich fotografia. Ta kobieta wyglądała identycznie jak ja, podobieństwo było niesamowite. Szkoda, że tego nie widziałeś. - Uśmiechnęła się niepewnie.

-I nigdy nie zobaczę, prawda? Ponieważ dokumenty spłonęły.

- Zostały wcześniej skopiowane - odparła z godnością. - Rinko właśnie mnie zawiadomił. Wszystko jest w systemie, łącznie ze zdjęciem.

Była niemal pewna.

- Cudownie. W istocie wszystko byłoby świetnie, gdyby nie fakt, że złamałaś kategoryczny zakaz. Jeżeli kiedykolwiek uda się znaleźć sprawcę, nie będziemy w stanie postawić go przed sądem, ponieważ same kopie dowodów nie wystarczą.

- Wiem. Przepraszam. Mam rozumieć, że mnie nie zwolnisz?

- Powiedzmy, że do trzech razy sztuka.

- To znaczy, że wylecę kiedy indziej? - spytała, uśmiechając się szeroko.

- Bezapelacyjnie. Dlatego uważaj. A jak się czuje twoja mama?

- Lekarze podejrzewają udar. Nie pamięta wczorajszego pożaru.

- Co mi przypomina... - przerwał, żeby odebrać telefon. - Dobrze, zupełnie o nich zapomniałem - powiedział do słuchawki. - Zaraz coś wymyślę i oddzwonię do ciebie - odparł? kończąc rozmowę.

Popatrzył na Lisę, marszcząc brwi: - Masz jakiś pomysł, co mógłbym zrobić z bandą nastolatków z moim stukniętym bratankiem na czele, których nakryłem wczoraj na imprezowaniu u taty w domu?

Postanowiłem ich nie wydawać, tylko zlecić im jakieś prace

społeczne. Tymczasem zupełnie o nich zapomniałem.

- Lisa pomyślała, że nic dziwnego. Uratował ją z płonącego budynku i spędził pół nocy w szpitalu. - Teraz muszę iść na spotkanie i nie mam pomysłu, co z nimi zrobić.

- Czekaj. Żeby cię dobrze zrozumiała... Przyłapałeś bandę nastolatków? Przed pożarem czy po nim?

- Przed. Po naszej rozmowie na huśtawce. To dlatego wciąż byłem w pobliżu, kiedy wybuchł pożar.

- Och. - Zupełnie się nad tym nie zastanawiała. Pojawienie się Scotta w chwili, kiedy najbardziej go potrzebowała, przyjęła jako rzecz oczywistą. - Co masz na myśli pod pojęciem „imprezowanie”?

- A jak ci się wydaje? Picie piwa i palenie trawki. Było ich sześćoro łącznie z Chase'em. Piętnasto- i szesnastolatki.

- Nie zadzwoniłeś na policję - stwierdziła nieco zaskoczona. Sama należała kiedyś do balujących nastolatek i pamiętała nastawienie Scotta do tego rodzaju rozrywek.

-Nie.

- Dobry z pana człowiek, panie Buchanan - uśmiechnęła się ciepło. - Cóż, czasami - dodała, przypominając sobie kilka niemiłych sytuacji z jego udziałem.

- Uważaj, nie przedawaj komplementów - skrzywił się, ze zniecierpliwieniem zerkając na telefon. - Masz jakiś pomysł czy nie? Spieszę się.

- Wyślij ich do Rinko, na Syberię. Niech pomogą katalogować akta. Są tam tysiące teczek. Rinko potrzebuje większej pomocy niż okazjonalni zesłańcy. Inaczej będzie siedział w piwnicy do końca swoich dni.

- Całkiem niezła myśl - uznał z zaskoczeniem Scott.

- Mogliby się na coś naprawdę przy...

Kane podeszła od tyłu i położyła mu rękę na ramieniu. Wbiła w Lisę zimny wzrok.

- Cześć, Grant. - Jej uśmiech był równie przyjazny jak

spojrzenie. - Przykro mi, że twój dom się spalił. - Po tym stwierdzeniu przeniosła uwagę na Scotta. -
Przepraszam, że ci przeszkadzam. Dzwonił Gamboli. Facet robi się nerwowy.
O ile Lisa mogła się zorientować na podstawie zachowania Scotta, zauroczenie tamtej było jednostronne.
Z niesmakiem zauważyła jednak, iż to stwierdzenie poprawiło jej nastrój.
- Już idę - mruknął, spoglądając na Lisę, która po raz kolejny uśmiechnęła się doń z sympatią tylko po to,
żeby zdenerwować Kane. Zmrużył podejrzliwie oczy, lecz nic nie powiedział.
- Mogę się zająć twoimi zbłąkanymi owieczkami - zaproponowała. - Ustalę wszystko z Rinko. Da się to
załatwić przez telefon.
- No to świetnie, będę wdzięczny, cokolwiek uda ci się zrobić. - Popatrzył na Kane. - Ty i Hendricks
możecie już iść, dogonię was. Chcę się jeszcze tylko przywitać z panią Grant.
- Oczywiście. - Asystentka sprawiała wrażenie niezadowolonej, ale skinęła głową i odeszła.
- Mama chyba śpi - odezwała się przeproszająco Lisa.
- W takim razie przekaż jej ode mnie pozdrowienia, kiedy się obudzi. Tak jak mówiłem, mam dla ciebie
pewne informacje. Z samego rana kontaktowałem się z prowadzącymi śledztwo w sprawie pożaru. Pół
godziny temu oddzwonił do mnie Greg Watson. Na razie wszystko wskazuje na podpalenie. Chciałem,
żebyś się dowiedziała ode mnie.

Znajdują się panie w trudnej sytuacji finansowej - stwierdził detektyw Greg Watson z biura szeryfa okręgu Woodford. - Posiadłość jest zadłużona.

Lisa nie mogła uwierzyć własnym uszom. Odwróciła wzrok od wypalonych murów rezydencji i spojrzała z urazą na detektywa. I bez tego miała ciężki dzień. Po wyjściu Scotta ze szpitala zaskoczył ją tłum reporterów, którym powiedziała zbyt wiele, zanim się opamiętała. Materiał, w którym mówiła, że pożar zaskoczył ją we śnie, ukazał się we wszystkich lokalnych wiadomościach razem z obrazami spalonego domu. Od tamtej pory bez przerwy do niej wydzwaniano. Do szpitala przychodziły tabuny odwiedzających, mile i niemile widzianych. Gościom, którzy nie należeli do najbliższego otoczenia mamy, musiała kłamać, że chora śpi. Ojciec dzwonił, usprawiedliwiając się po raz kolejny i tłumacząc, dlaczego nie może przyjechać. Przerwała mu sucho, zapewniając, iż nikt tego nie oczekuje. Musiała się zmagać z agentami ubezpieczeniowymi, policją i lekarzami. Na widok spalonego domu z trudem powstrzymywała łzy, wiedząc, że nic już nie przywróci Grayson Springs jego dawnej wspaniałości. - Tak, wzięliśmy kredyt hipoteczny - przyznała, z trudem przełykając ślinę.

Wykąpana, umalowana, w ubraniach pożyczonych od Noli wyglądała lepiej, niż się czuła. Chociaż przyjaciółka sama uwielbiała falbaniaste różowości, pamiętając o upodobaniach Lisy, przyniosła jej do szpitala klasyczną granatową spódnicę, białą bluzkę oraz sportowe buty.

- Problemy, jak związać koniec z końcem?

- Przestałby pan wreszcie Owijać w bawełnę - zdenerwowała się. - Proszę od razu spytać, czy to ja podłożyłam ogień. - Mówiła spokojnie, ale nie ukrywała irytacji. Detektyw Watson, jasnowłosy szczupły czterdziestoparolatek średniego wzrostu, o przeciętnej urodzie i - jak zaczynała podejrzewać - intelekcie poniżej średniego poziomu zamrugał powoli powiekami niczym senny żółw. - Odpowiedź brzmi: nie. Nie podpaliłam domu, w którym się wychowałam. Moja rodzina mieszkała w nim od pokoleń, a śmiertelnie chora matka pragnęła tu spędzić ostatnie dni. Ona kocha tę posiadłość. Teraz czeka nas mozolna odbudowa. Boli mnie sama myśl o sprzedaży Grayson Springs po odejściu mamy. Miałabym podpalić dom dla marnych paru groszy z ubezpieczenia?

- To całkiem spore ubezpieczenie.

- Nie wiem dokładnie, lecz z pewnością nie pokryje wszystkich strat - odparła, wskazując na budynek. Ekipa budowlana przypuszczalnie wezwana przez firmę asekuracyjną zabezpieczała go właśnie przed zalaniem za pomocą folii. Na wieczór zapowiadano deszcz. Robin nadzorowała prace porządkowe, przy szpitalnym łóżku Marthy czuwała Lynn.

Lisa i Watson rozmawiali na trawniku w ogrodzie. Zbliżała się dwudziesta, upał nie dawał się już tak bardzo we znaki jak za dnia. Swąd spalenizny niemal całkowicie zdominował słodki zapach róż. Stojąc tyłem do fontanny, Lisa słyszała kojący szum wody pośród hałasu dźwigów i pokrzykiwania robotników. Najbardziej ucierpiało boczne

skrzydło domu. Ogród oraz południowa część rezydencji pozostały nietknięte. W środkowej części uszkodzenia były niewielkie, do naprawienia w kilka dni, żadne z pomieszczeń nie zostało zniszczone przez ogień, a tylko zabrudzone dymem. Spłonęło jedynie północne skrzydło, w którym mieściła się sypialnia Lisy. Ściany zewnętrzne nadal stały, zachował się również komin, lecz większa część dachu spaliła się doszczętnie, ukazując zasmoloną otchłań. Wszystko spłonęło, a to, czego nie dosięgły płomienie, zostało zalane wodą. Lisa straciła wszystko, co znajdowało się w sypialni: torebkę z dokumentami, służbową teczkę, meble, większość ubrań, pamiątki, w tym ceramiczną żabę podarowaną jej przez matkę, kiedy zerwał z nią pierwszy chłopak. Miała wtedy czternaście lat i głębokie przeświadczenie, iż jej życie dobiegło końca. Żaba była zapakowana w niebieskie pudełeczko przewiązane białą wstążką. W środku znalazła jeszcze czekoladowe ciastko, jej ulubione, i karteczkę z napisem: „Będziesz musiała pocałować wiele żab, nim znajdziesz swojego księcia”. Spłonęły również dziecięce baletki... I wszystkie lalki, łącznie z Katriną. Usiłowała skupić się na rozmowie z detektywem Watsonem.

- To rutynowe pytania w śledztwie o domniemane podpalenie - wyjaśnił flegmatycznie. - Nikt pani o nic nie oskarża.

Jeszcze, dodała w myślach Lisa.

- Skąd ta myśl o podpaleniu? - spytała przez ściśnięte gardło.

Watson zacisnął usta i pokręcił głową, starając się wyglądać tajemniczo, ale zamierzony efekt zakłócało nieco jego podobieństwo do żółwia. Tracy McCoy, ekspert z firmy ubezpieczeniowej, czarnoskóra energiczna pięćdziesięcio-latką, nadeszła w chwili, kiedy padło to pytanie. Skończyła właśnie obchód domu.

- Znalaziono ślady łatwopalnej substancji - wyjaśniła.
- Możemy się zabrać do oszacowania strat, panno Grant.
- Jakiej substancji? - Czują pulsowanie w skroniach. Miała za sobą nieprzespaną noc, szybki obiad w szpitalnej stołówce i zbyt wiele przeżyć jak na jedną osobę w jeden dzień. Odniosła wrażenie, że wszystko wymyka jej się spod kontroli.
- Rozpuszczalnika. Tak, detektywie Watson?
- Zgadza się - przyznał nie bez oporu.
- Ale to nic nie znaczy - odrzekła z ulgą Lisa. - Przecież tam trwał remont. Nic dziwnego, że był i rozpuszczalnik.
- Tak, ale... - zaczął Watson.
- Było go dużo. Polano nim ściany, podłogi i... - McCoy przerwała, czując na sobie groźne spojrzenie detektywa.
- W porządku - skapitulowała. - Ale to nie ona jest pod-palaczką. Pracuję w tej branży od lat i z daleka potrafię wyczuć oszusta.
Na Watsonie nie zrobiło to wrażenia. Nie zaszczycił jej odpowiedzią, lecz wrócił do przerwanej rozmowy z Lisą.
- Kto mógł życzyć źle pani lub bliskim? Odpowiedź, która przysła jej do głowy, zaskoczyła ją samą.
Gdyby jednak wspomniała o aktach sprawy Garcíów, mogłaby zapoczątkować łańcuch wydarzeń, którego nie chciała i nie była w stanie kontrolować. A gdyby się okazało, że jakimś cudem - wołała nie myśleć o szczegółach - łączy ją z tą zagadką coś więcej? Osoba, która podłożyła ogień, chciała utrzymać w tajemnicy coś, co dotyczyło tej rodziny Łub jej zniknięcia. Kto to był i czego się bał?
To oczywiste, pomyślała. Podpalacz musiał wiedzieć, że dokumenty są w domu.
Lista podejrzanych była przerażająco krótka. Lisa wołała już zganić się w myślach za zbyt bujną wyobraźnię.

Barty często powtarzał, że ją ponosi. Pożar z pewnością nie ma żadnego związku z tamtymi aktami. Zresztą jeszcze nawet nie potwierdzono podpalenia. Obecność rozpuszczalnika w północnym skrzydle była wszak w pełni uzasadniona. To mógł być wypadek.

- Panno Grant? - Watson bacznie jej się przyglądał.

- Nie wiem, chyba nikt.

Zanim cokolwiek im powie, najpierw przyjrzy się sama okolicznościom tej sprawy, postanowiła. Jeżeli w jej szafie krył się jakiś szkielet, chciała go znaleźć pierwsza.

Gdyby ogień został podłożony z powodu tych akt, rozwiązanie zagadki może wywrócić całe moje życie do góry nogami, myślała z przerażeniem, wbijając paznokcie w dłonie. Nie bądź śmieszna, powtarzała sobie w duchu.

- Konkurencja? Inni hodowcy? - dopytywał się Watson, nie spuszczać oka z twarzy Lisy. - Odrzucony adorator? Ktoś, komu jest pani winna pieniądze?

- Nie - odparła, usiłując się rozluźnić. - Zdecydowanie nie adorator. Ani ktoś, komu jestem winna pieniądze. Nie widzę też powodu, aby którykolwiek z okolicznych hodowców miałby podpalać nam dom. Nie hodujemy już koni i wszyscy się domyślają, że Grayson Springs prędzej czy później zostanie sprzedane.

- Hmm - mruknął Watson z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Pani Baker wspominała, że mieszkający po sąsiedzku pijak awanturował się wczoraj. - Pani McCoy uniosła wzrok znad swojego notesu. - Podobno was nie lubi.

- Nie mógł tego zrobić, bo akurat wylądował w areszcie. Zresztą on by nas raczej wystrzelał, niż podpalił. W tym momencie Lisa przypomniała sobie o nastolatkach, o których mówił Scott. Czy dopuściliby się czegoś takiego ze zwykłej szczenięcej głupoty? Nie, to nie ten

kaliber. Wolą nie rzucać bezpodstawnych oskarżeń. Niech detektyw Watson sam prowadzi swoje śledztwo.

- Mam dla pani pewną sumę na pokrycie bieżących wydatków. - Pani McCoy podała jej niebieską kartkę. Czek był wystawiony na kwotę dwóch i pół tysiąca dolarów. Na szczęście Grantowie od lat korzystali z usług tej firmy, cieszyli się więc dużym zaufaniem. - Tymczasowe zakwaterowanie, wyżywienie, odzież i inne niezbędne rzeczy. Proszę zachować rachunki i skontaktować się ze mną, kiedy zabraknie pieniędzy. Mój numer znajdzie pani na wizytówce. - Lisa podziękowała. - Wieczorem mogę podać pani namiary na firmy budowlane, które regularnie z nami współpracują. Chociaż, oczywiście, może pani się zdecydować na inną.

- Gdzie się pani zatrzymała? - spytał Watson po odejściu McCoy. - W razie gdybym musiał się z panią skontaktować?

- Na razie jestem w szpitalu, przy mamie. - Robin zamierzała się tymczasowo wprowadzić do Andy'ego. Lisa wkrótce będzie się musiała rozejrzeć za tymczasowym lokum dla siebie. Na razie nie miała na to czasu. - Proszę dzwonić na mój numer komórkowy.

Ktoś zawołał Watsona z wnętrza domu.

- Przepraszam - mruknął i poszedł.

Widząc, że spotkanie dobiegło końca, Lisa skierowała się w stronę swojego samochodu, który pracownik warsztatu podstawił jej rano pod sam szpital, przepaszając za wszelkie niedogodności i zapewniając, że auto jest już jak nowe. Wątpiła w niezawodność jaguara, ale udało jej się dojechać do Grayson Springs.

Miała nadzieję, że bez przygód dągnie z powrotem do szpitala.

Najpierw jednak zamierzała odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Przed piątą zadzwoniła do Rinko z pytaniem, jak sprawują się zbłąkane owieczki na Syberii. Kolega nie krył

zachwytu. Lisa podejrzewała, że przyczyniła się do tego obecność Jantzen, którą poprosiła o nadzór nad „Operacją Małolat”. Teraz starała się, by pytanie o adres rodziny Garcia zabrzmiało całkiem niewinnie.

- Chcesz tam pojechać? - Rinko nie był idiotą.

- Może. - Lisa westchnęła, widząc, że nie zdoła utrzymać tajemnicy. - Mam spotkanie z agentką ubezpieczeniową w Grayson Springs o dziewiętnastej. Mogłabym przy okazji zajrzeć tam później, bo wydaje mi się, że to po drodze. Chyba że mi się pomyliło i... Cóż, mam ochotę tam zajrzeć. Zaciekawiała mnie ta sprawa - zakończyła obronnym tonem.

- Rzeczywiście jest interesująca - przyznał. - Rozumiem cię, na twoim miejscu też bym nie popuścił. Gdybym wyglądał jak kobitka, która zniknęła przed trzydziestu laty... - Zadumał się, aczkolwiek Lisa nadal słyszała stukanie w klawiaturę. - Właściwie, gdybym wyglądał jak jakaś laska, to miałbym większe problemy niż fakt, że zniknęła. Na przykład biust. - Zakrztusił się ze śmiechu wielce rozbawiony własnym dowcipem, po czym podał informacje, o które prosiła, i rozmowa dobiegła końca.

Dom znajdował się na obrzeżach okręgu, tak jak to zapamiętała z pobieżnej lektury dokumentacji. W pewnym sensie po drodze z Grayson Springs do miasta. Po jakimś czasie okolica zaczęła jej się wydawać niepokojąco znajoma.

Deja vu, pomyślała, spoglądając na rzędy domków i przyczep. Byłam tu już kiedyś.

Oczywiście, uświadomiła sobie, odrzucając upiorne przypuszczenia. Niejeden raz, w szkole średniej.

Droga prowadziła do Carmody Landing, baru, do którego zjeżdżali się wszyscy nieletni z okolicy.

Odetchnęła z ulgą, wymyślając sobie od idiotek.

Miała zamiar jedynie przejechać obok i zerknąć na dom. I pewnie tak by zrobiła, gdyby nie zauważyła tabliczki

z napisem: „Na sprzedaż”. Skoro nikt tu nie mieszkał, nie mogła sobie odmówić obejrzenia nieruchomości. Z zewnątrz budynek wyglądał dokładnie tak samo jak na zdjęciu: fasada z czerwonej cegły, czarne dachówki z kilkoma ubytkami i maleńki ganek.

Zaparkowała pod schodami, obok garażu na dwa samochody. Białe drzwi prowadzące do domu były zamknięte, zasłony w salonie zaciągnięte, podobnie jak w sypialniach.

Nigdzie ani śladu żywej istoty. Lisa wysiadła z klimatyzowanego samochodu. Przyjemnie było poczuć na ramionach gorące powietrze. Drzewa z pobliskiego lasu ocieniały podwórze, zasłaniając widok zachodzącego słońca. Jedynie pojedyncze promienie przeświecały przez gęste listowie. Te drzewa z pewnością miały więcej niż trzydzieści lat, pamiętały więc czasy Garcíów. Dom stał na uboczu, dodatkowo z dwóch stron osłaniały go drzewa. Nic dziwnego, że nie było żadnych świadków tego, co się stało z mieszkającą tu rodziną.

Powietrze stało w miejscu, ani śladu wiatru. Nie poruszył się ani jeden liść. Gdy Lisa szła ku drzwiom wejściowym, towarzyszył jej jedynie śpiew cykad i stukot własnych kroków na betonie. Poczucie odizolowania od reszty świata było obezwładniające. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdyż wydawało jej się, że od strony lasu czuje na sobie czyjś wzrok.

To tylko wyobraźnia, usłyszała w głowie głos Barty'ego. Nie zauważyła nikogo między drzewami.

Nie bądź głupia, powiedziała sobie. Jednak wrażenie, że jest obserwowana, nie ustępowało.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu po prostu nie odjechała. Nie spodziewała się przecież znaleźć żadnych nowych dowodów czy poszlak w sprawie zniknięcia Garcíów. Minęło tak wiele czasu, przez dom przewinęło się wielu ludzi żyjących w błogiej nieświadomości wydarzeń sprzed

lat. Szansa, że zachował się tu jakikolwiek ślad zaginionej rodziny, była niewielka. Tymczasem Lisa czuła wręcz nieodpartą potrzebę, aby wejść do środka. Niemal przymus. Jednocześnie bardzo się bała.

Daj spokój, tłumaczyła sobie. To tylko opuszczony dom.

Wpatrywała się uważnie w każdy stopień, przywołując w myślach kompozycję zdjęcia. Angela siedziała tutaj, jej mąż obok, nie pamiętała jego imienia, Tony tu, a Marisa tam. I jeszcze pies. Lucy.

Skąd znam imię psa?, pomyślała, zamierając w bezruchu. Oczywiście, jedyne wyjaśnienie było takie, że musiała je znaleźć w aktach.

Zaniedbane krzewy wokół schodów wyglądały na zasadzone niedawno i Lisa ledwie rzuciła na nie oknem. Pociągnęła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Nie zamierzała się włamywać. Poczuła pewnego rodzaju ulgę, że coś ją powstrzymało przed wejściem do środka, a jednocześnie nadal odczuwała ów dziwny przymus. Rzuciła tęskne spojrzenie w stronę samochodu. Czekał, znajomy i bezpieczny. Zamiast wrócić do auta, postanowiła sprawdzić jeszcze kuchenne wejście. Zadrżała, wchodząc w smugę ciemności na tyłach domostwa.

Zadzwoń do pośrednika handlu nieruchomości, umów się z nim i wróć tu kiedy indziej - rozsądek podsunął jej dobrą radę, z której zamierzała skorzystać, jak tylko skończy obchód. Najpierw chciała jednak poczuć atmosferę tego miejsca, niezakłóconą niczyją obecnością. Coś przyciągało ją do tego domu niczym magnes. Zerknęła w okna. Jedno podwójne z każdej strony, a pośrodku mały lufcik. Dwie sypialnie i łazienka. Prawdopodobnie to typowy czteropokojowy dom.

Podwórko nie było ogrodzone od tyłu, ale przechodziło w pole kukurydzy. Las z każdej strony i łąn wysokich

kukurydzianych łodyg. Klaustrofobiczne, upiorne wrażenie.

Lisa postanowiła natychmiast stąd odjechać. Obrzuciła jeszcze spojrzeniem tylną fasadę domu i mały drewniany taras, z pewnością dobudowany już po zniknięciu Garcíów.

Wtedy dostrzegła kątem oka jakieś poruszenie w lesie, dokładnie w miejscu, skąd czuła na sobie wcześniej czyjś wzrok.

Ktoś jest w lesie? Wstrzymała oddech, czując na karku zimny pot.

Nie dostrzegła jednak niczego niepokojącego, żadnej bladej twarzy na tle ciemnych drzew. Żadnych błyszczących oczu wśród gęstych liści. Żadnego poruszenia, nawet listek nie zadrżał. Bezruch i cisza. Ściana lasu.

Umysł nie był w stanie przekonać intuicji o braku zagrożenia. Serce Lisy biło jak oszalałe, już tylko krok dzielił ją od rzucenia się do ucieczki. Tymczasem jej dłoń bezwiednie zacisnęła się na klamce. Przekręciła ją odruchowo. Drzwi były otwarte. Pchnęła je. Rozejrzała się po opuszczonej kuchni szeroko otwartymi oczami. Zobaczyła zniszczone drewniane szafki, starą tapetę i linoleum. Utkwiła wzrok w podłodze, przypominając sobie plamę krwi. Czy to mogła być ta sama wykładzina? Podskoczyła pod sufit, słysząc Piątą Symfonię Beethovena.

Mój telefon, odetchnęła z ulgą. Popatrzyła na wyświetlacz, ale nie mogła odczytać, kto dzwoni.

- Halo? - Mimo to postanowiła odebrać. Mogli telefonować zg szpitala. Albo Joel chciał się z nią skontaktować. Scott dał jej wolne, więc nie musiała nikogo unikać. Po drugiej stronie panowała cisza.

Zmarszczyła czoło i wyszła na taras w poszukiwaniu zasięgu.

- Halo? - Spróbowała ponownie.

- Ledwie cię słyszeć. - Głos w słuchawce brzmiał, jakby dochodził ze studni. - Tu Rinko. Gdzie jesteś? Już miała mu odpowiedzieć, kiedy nagle z wnętrza domu coś na nią wyskoczyło. Nie zdążyła się cofnąć, wrzasnęła tylko przeraźliwie i upuściła telefon. Otrzymawszy silny cios w głowę, osunęła się na kolana i zapadła w nicość.

13

Odzyskała przytomność - powiedział ktoś z ulgą.

Lisa otworzyła oczy i napotkała wystraszony wzrok Jantzen.

- Dzwonimy po karetkę? - Usłyszała pytanie kogoś stojącego za jej plecami na tle ciemniejącego nieba. Rozpoznała głos Rinko.

- Nie wiem. Grant, słyszysz mnie?

- Tak - szepnęła, zbierając wszystkie siły.

- Co się stało? - chciał wiedzieć Rinko. Zmarszczyła z namysłem czoło, zabołało. Wpatrywała się w nich tępo, usiłując sama odpowiedzieć sobie na to pytanie. Była w Grayson Springs na spotkaniu z przedstawicielką firmy ubezpieczeniowej, a potem...

- Lepiej się nie ruszaj- poradził Rinko, sięgając po telefon komórkowy. - Dzwonić po karetkę czy nie?

- Nie wiem. - Jantzen wpatrywała się uważnie w oczy Lisy, aż ta poczuła się niezręcznie. - Źrenice wyglądają normalnie - stwierdziła po chwili.

Lisa chciała pokręcić głową w odpowiedzi na jego pytanie, ale nie mogła. Poczula przeraźliwy ból i musiała zamknąć oczy.

- Cholera - zaniepokoił się tamten. - Zemdlała?

- Nie. - Prędko otworzyła oczy. Z jakiegoś powodu

125

zależało jej, żeby nie wzywali pogotowia, ta jedna myśl pozostała jasna w zamroczonym umyśle. - Dajcie mi chwilę, dobrze? - poprosiła słabo. Dotknęła guza na skroni - był wielkości piłki do ping-ponga.

- Uderzyłaś się w głowę? - spytała Jantzen.

Lisa wzięła głęboki oddech. Usiłowała sobie przypomnieć. Znalazła dom Garcíów i...

- Co wy tu robicie? - Nagle zdała sobie sprawę z obecności kolegów z pracy na podwórku Garcíów. A za tymi dwojgiem stała jeszcze grupka innych osób. Zbłąkane owieczki, odetchnęła z ulgą na widok nastolatków. Ale głównie dlatego, że się domyśliła, kim są. To znaczy, że mózg działał bez zarzutu.

- Kiedy się z tobą rozłączyłem, zaczęliśmy między sobą rozmawiać o tej sprawie. Stwierdziliśmy zgodnie, że rozwiązanie zagadki po tylu latach byłoby super. Pierwszy krok w śledztwie to, rzecz jasna, obejrzenie miejsca zniknięcia ofiar. - Rinko cały czas trzymał w dłoni telefon. - Zobaczyliśmy twój samochód, zadzwoniłem do ciebie, odebrałaś, a potem wrzasnęłaś wniebogłosy. Znaleźliśmy cię leżącą na trawie.

- Wyglądała pani strasznie bladziutko - powiedziała z przejęciem blondyneczka o oczach szopa.

- Ashley sądziła, że pani nie żyje i też wrzasnęła. Jak mała dziewczynka - dodał złośliwie czarnowłosy chłopak.

- Odczep się, Matt - zachnęła się blondynka.

- No co? Tak było.

- Spokój, dzieciarnia! - uciszył ich Rinko, spoglądając na dom. Lisa zadrżała, widząc otwarte drzwi kuchenne. Przypomniała sobie dokładnie, co zaszło. Otworzyła drzwi, zadzwonił telefon, odebrała, a potem ktoś ją zaatakował.

- Ktoś był w środku - oświadczyła. - Uderzył mnie...

- przerwała, uświadomiwszy sobie nagle, że napastnik może się znajdować w pobliżu. Usiadła gwałtownie, starając się wytrzymać falę zawrotów głowy. - Widzieliście kogoś? Może odjeżdżający samochód?

- Nie. - Wszyscy zgodnie pokręcili głowami.

- Byłaś sama, kiedy cię znaleźliśmy - zapewniła Jantzen, podsuwając jej pomocne ramię, które Lisa przyjęła z wdzięcznością.

- Dzwonię po pomoc - zdecydował Rinko.

- Nie! - zawołała gwałtownie Lisa. - Nie dzwoń nigdzie. Nic mi nie będzie, słowo honoru.

- Powinniśmy przynajmniej zawiadomić policję - zaprotestowała Jantzen. - Jeśli zostałaś napadnięta...

- Mogło mi się tylko wydawać - skłamała w odruchu desperacji. Nie chciała wszczynać oficjalnego alarmu. Bez wątpienia w domu ktoś był. Być może przypadkowy włamywacz, ale niewykluczone, że to ktoś zamieszany w zniknięcie Garcíów.

Czyżby istniał związek między wyniesieniem przez Lisę dokumentów z biura, pożarem w Grayson Springs i obecnym incydentem w starym domu Garcíów? Wolałaby uznać, że to seria zbiegów okoliczności. Jeżeli nie, to zaczęła coś, czego się absolutnie nie spodziewała.

Skoro moje zainteresowanie aktami, myślała, wywołało takie konsekwencje, to najwyraźniej ktoś się wystraszył, że mogę coś odkryć.

Co spotkało Garcíów? I co oznacza to niezrozumiałe podobieństwo do Angeli?

Naprawdę chcesz to wiedzieć? - zadawała sobie pytanie. Nie, podpowiadał jej wewnętrzny głos.

Nigdy nie zadawaj pytań, na które nie chcesz poznać odpowiedzi, uczono ją na studiach prawniczych.

- Chodźmy już stąd - zaproponowała druga z dziewcząt, krótko ostrzyżona szczupła brunetka. - Ciarki mi chodzą

po plecach. Poza tym obiecałam babci, że wrócę do domu przed zmrokiem.

- Co za różnica, czy wrócisz do domu przed zmrokiem, czy nie, jeśli idziesz na pizzę? Przecież nigdzie się nie włóczysz - zniecierpliwił się chłopak z czupryną a la Veronica Lake.

- Przecież nie jesteśmy w pizzerii - wtrąciła się Ashley.

- Stoimy na środku jakiegoś pustkowia, przed domem rodziny, która prawdopodobnie została zamordowana, i wszystko wskazuje na to, że zabójca może być w pobliżu. Popieram Sarę. Chodźmy stąd.

- Ze niby morderca ukrywał się w domu przez trzydzieści lat? Co to: „Piątek Trzynastego”? - ironizował jasnowłosy chłopak. Chase, rozpoznała go Lisa, bratanek Scotta.

- Nikt tak nie twierdzi - broniła koleżanki Sarah.

- Jednak ktoś został napadnięty. - Popatrzyła znacząco na Lisę.

- Możliwe, że po prostu spadłam ze schodów i uderzyłam się w głowę. - Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

-1 co? Nikt cię nie uderzył? W domu nie było nikogo?

- spytał z powątpiewaniem Rinko.

- Ojciec od zawsze mi powtarza, że mam zbyt bujną wyobraźnię. Wydawało mi się, że zostałam zaatakowana, ale w miarę jak odzyskuję zdolność logicznego myślenia, coraz bardziej jestem przekonana, że po prostu się potknęłam. - Uśmiechnęła się przeprasząco. - Ja także zgadzam się z Sarą, że powinniśmy już iść. Masz na imię Sarah?

Dziewczyna skinęła głową.

- Przepraszam, sądziłem że się znacie. - Rinko wymienił imiona wszystkich nastolatków. - Straszne z nich mądrale, na pewno bardzo mi pomogą w porządkowaniu akt. Ustaliliśmy, że wpadną na parę godzin kilka dni w tygodniu. Jantzen także zgodziła się pomóc. Nieoficjalnie.

- Świetnie. - Lisa zdołała wstać. Wciąż miała okropne zawroty głowy, lecz nogi pewnie stały na ziemi. Mimowolnie po raz kolejny spojrzała na dom. - Czy ktoś zechciałby zamknąć drzwi?
- Ja to zrobię - powiedział Chase. - Na klucz?
- Tak. - Obawiała się, że jeśli zostałyby otwarte, nie oparłaby się pokusie przyjechania tu jeszcze raz. Patrząc, jak Chase majstruje przy zamku, pomyślała, że mogą tam być odciski palców napastnika, lecz skoro nie zamierzała wszczynać oficjalnego śledztwa, postanowiła to przemilczeć.
- Mogę cię chociaż zawieźć do szpitala? - zaproponował Rinko, biorąc Lisę pod rękę. - Powinien cię obejrzeć jakiś lekarz.
- Ja ją zawiozę, ty musisz poodwozić dzieciaki. Furgonetka jest twoja, nie potrafię jej prowadzić, mówiłam ci - odezwała się Jantzen.
- A, tak - zawahał się lekko.
- Może Rinko mógłby cię kiedyś nauczyć - wtrąciła się Lisa, próbując pomóc onieśmielonemu koledze. - Umiejętność obsługiwania auta z ręczną skrzynią biegów często się w życiu przydaje - dodała, choć sama nie posiadała tejże umiejętności i jakoś nigdy nie odczuła jej braku.
- Słuchajcie, nikt mnie nie musi odwozić. A do szpitala wybieram się tak czy inaczej. Do mamy. Jedziemy przecież tą samą drogą. Będziecie w pobliżu, jeśli zrobiłoby mi się gorzej. Wszyscy nerwowo rozglądali się wokół. Czyżby, podobnie jak Lisa, czuli się obserwowani? Zamarła, ponieważ wydało jej się, że dostrzegła jakiś ruch w ciemnej ścianie lasu. Zdecydowanie coś się tam kryło.
- Mam wrażenie, jakby ich duchy cały czas tu były
- szepnęła Sarah.
- Duchy? Przecież nie wiadomo, czy oni rzeczywiście

nie żyją. Mogą sobie równie dobrze mieszkać gdzieś w Kalifornii - mruknął Austin.

Oczywiście miał rację. Tylko że Lisa czuła, iż to Sarah jest bliższa prawdy.

- Jesteś taki wrażliwy. - Ashley pokręciła głową zdegustowana. - Jasne, że nie żyją. Inaczej odezwaliby się do kogoś.

- Jak E.T.? Zadzwoniliby do domu?

- Przymknij się, Austin - rzuciła Sarah.

Spierając się, wsiedli do samochodu. Odjeżdżając, Lisa przez cały czas miała wrażenie, iż ktoś odprowadza ich wzrokiem.

14

Twoje mieszkanie wygląda jak nora - stwierdził Scott, stając na środku niewielkiego salonu. Ryan chciwie wbił zęby w kawałek pizzy, którą brat mu przywiózł. Scottowi udało się przyjechać dopiero po dziesiątej, bo jak zwykle pracował do późna. Kawalerka Ryana znajdowała się na ostatnim piętrze starego budynku z czerwonej cegły przy Maxwell Street. Przez cienkie ściany słychać było odgłosy awantur u sąsiadów. Mimo włączonych świateł wewnątrz mieszkania spowijał półmrok. Poza tym tonęło w śmieciach; opakowania po jedzeniu na wynos, puste puszki i stare gazety wały się wszędzie. Porozrzucone ubrania wisiały na meblach i ścianie oddzielającej salon od kuchni. We wszystkich pomieszczeniach panował zaduch, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Na blacie leżały porozrzucone kromki chleba, kostka masła i otwarty słoik dżemu oraz przewrócony karton po mleku. Zawartość pudełka była teraz zaschniętą plamą na podłodze.

- Przyszedłeś mnie ochrzaniać za bałagan? - Ryan popatrzył na niego wrogo. Siedział na kanapie i oglądał telewizję. Scott wyłączył odbiornik ze słowami, że muszą porozmawiać. A potem rozproszył go bałagan dookoła.

- Między innymi.

- Jak ci się nie podoba, to do widzenia. - Ryan wzruszył ramionami, sięgając po kolejny kawałek pizzy.

131

Scott zacisnął usta, nic nie mówiąc. Sięgnął po jedną z reklamówek leżących na stoliku i zaczął zbierać śmieci. Brat przyglądał mu się ponuro, popijając colę.

- Od kiedy to interesuje cię, jak mieszkam?

- Odkąd otworzyłem drzwi i ten zapach omal nie zwałił mnie z nóg.

Uznawszy, że reklamówek z salonu nie wystarczy, żeby zebrać wszystkie śmieci, ruszył do kuchni w poszukiwaniu większej ilości toreb. Nie mógł patrzeć na otwarty słoik z dżemem. Wyjął łyżkę i wrzucił ją do zlewu z głośnym stukotem, który sprawił, że Ryan podskoczył na kanapie. Zakręcony słoik i masło Scott wstawił do lodówki, oceniając przy okazji jej zawartość: piwo, jakaś stara kiełbasa, dwie parówki w opakowaniu ociekającym wodą i pół słoika ogórków. Chase nie kłamał, mówiąc, że w domu nie ma nic do jedzenia.

- Kiedy ostatni raz zapełniłeś lodówkę? - spytał przez ramię.

- Odwal się - warknął Ryan.

- Widzę, że dbasz o dzieciaka. Kielbasa i ogórki. Samo zdrowie.

- Wpuściłem cię tylko dlatego, że przyniosłeś pizzę, ale nie pozwolę, żebyś urządził mi życie.

- Brakuje ci forsy? - Scott wytarł plamę mleka.

- Pewnie. Zawsze mi brakuje. Jak każdemu. Nie chcę nic od ciebie. Stać mnie na jedzenie. Ale prościej jest jadać na mieście.

- Albo i nie - stwierdził sucho. Ryan był zarośnięty i wychudzony. Miał przetłuszczone włosy, nieświeże ubranie. Scott chętnie by nim potrząsnął. - Dzieciak musi się odżywiać regularnie.

- A tobie co do tego?

- Słyszałem, że Gayle ponownie wyszła za mąż - powiedział. Znalazł torby na śmieci.

- Od kogo? - Ryan przerwał jedzenie.
 - Od Ghase'a. - Scott wylał resztę mleka do zlewu i wyrzucił karton.
- Ryan rozejrzał się niespokojnie po mieszkaniu.
- Nie ma go tu - stwierdził.
 - A wiesz, gdzie jest? - spytał wyzywająco Scott, nie przerywając sprzątanania.
 - Czemu cię to interesuje? - Ryan odłożył pizzę i skrzyżował ręce na piersi.
 - Nie ma go z Gayle ani u ciebie. Dlatego pytam, gdzie jest.
 - Włóczy się gdzieś z kolegami, ma wakacje. Spraw sobie własnego dzieciaka i odczep się od mojego.
 - Jesteś za niego odpowiedzialny - powiedział Scott, wynosząc pełną śmieci torbę do kuchni. Miejscami było już widać podłogę.
 - Mówiłem ci już...
 - Przestań bredzić, Ryan. - Zdjął z fotela stertę ubrań i usiadł. - Przecież widzę, że wpadłeś w ciąg. Nie muszę ci tłumaczyć, jak to jest mieć ojca alkoholika. Naprawdę chcesz tego dla Chase'a?
 - Co ci do nas? - Ryan cały zeszywniał.
 - Jesteś moim bratem, a on moim bratankiem.
 - Z ciebie to taki chodzący ideał, co? - syknął nienawistnie tamten.
 - Wypchaj się.
 - Spieprzaj.
 - Pijaczyna. Mierzyli się wzrokiem.
 - To, że piję, nie robi jeszcze ze mnie alkoholika.
 - Kogo próbujesz oszukać?
 - Wynoś się z mojego domu!
 - Nie. Dopóki nie powiem tego, co mam ci do powiedzenia. Chyba że mnie stąd wyrzucisz siłą.

Odkąd skończył piętnaście lat, przewyższał starszego o cztery lata Ryana wzrostem i kondycją fizyczną. Mniej więcej wtedy skończyły się bójkę między nimi.

- Dupek - mruknął Ryan, który nigdy nie pogodził się z faktem, że nie jest w stanie pokonać brata w walce.

- Bicie dzieci jest zakazane w dzisiejszych czasach. Niezależnie od tego, jak bardzo nas prowokują. Zrobisz to jeszcze raz i będziesz miał na karku mnie oraz opiekę społeczną.

- Kto mówi, że biję dzieciaka?

Scott przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

- Mam przejściowe problemy - wyznał nagle Ryan.

- Wiem. Gayle wyszła za mąż.

- Zawsze miałem nadzieję, że ją kiedyś odzyskam.

- Wiem.

- Niby skąd? - Tamten popatrzył na niego z goryczą. - Nigdy nie byłeś żonaty. Nie masz dzieci.

Mieszkaś sam. Przeszedłem taką ilość terapii, że potrafię ci nawet powiedzieć dlaczego. Masz problemy z zaufaniem. Nigdy nie zdołasz się zakochać.

Scott postanowił zignorować pseudopsychologiczny bełkot brata, wiedząc, że ten chce mu zrobić przykrość.

- Małżeństwo ci się rozpadło, ale nadal masz dziecko. Musisz o siebie zadbać ze względu na Chase'a. Pamiętaj, jak wyglądało nasze dzieciństwo z ojcem.

- Perfidny stary padalec. Mam nadzieję, że zgnije w pudle. Tym razem go chyba nie wypuszczą?

- Jutro wychodzi za kaucją. Pięćdziesiąt kawałków.

- Cholera. Masz tyle?

- Ja nie zapłacę. Musi zastawić dom. O dziwo, ta rudera jest tyle warta. Poza tym dopilnowałem, żeby prosto z aresztu trafił na odwyk. Jeśli się nie zgodzi, zostanie w pace do procesu.

- Wiesz, że to strata czasu. - Ryan się skrzywił. - Żaden odwyk go nie zmieni.
- Pewnie masz rację. - Janie...
Przerwało mu wejście Chase'a. Chłopak miał w oczach panikę. Scott uśmiechnął się rozbawiony.
- Cześć - zreflektował się nastolatek i przywdział maskę spokoju. - Pizza?
Nigdy nie okazuj strachu, pomyślał ze smutkiem Scott. To było również jego motto, kiedy dorastał.
- Tak, częstuj się.
Chase popatrzył na niego trochę nieufnie i wziął sobie kawałek.
- Gdzie byłeś? - spytał Ryan.
- Gdzie indziej - odparł chłopak, łapczywie rzucając się na jedzenie. Napotkał spojrzenie ojca i dodał: - Z kolegami.
- A nie mówiłem? - zawołał tryumfalnie Ryan.
- Kto posprzątał? - Chase rozejrzał się wokół ze zdziwieniem.
- Ja - odparł Scott. - Wpadłem powiedzieć twojemu tacie, że mam dla ciebie pewną propozycję. Chciałbym, żebyś dołączył do grupy swoich rówieśników, którzy podczas wakacji będą u mnie pracować po kilka godzin w tygodniu.
- Zapłacisz mi? - zapytał Chase bezczelnie.
Scott zmierzył go spojrzeniem; szczeniak miał tupet.
- Nie, to coś w rodzaju stażu. Będziesz miał zajęcie, żeby ci z nudów nie przychodziły do głowy jakieś głupoty - dokończył znaczącym tonem. Chase się skrzywił.
- Nic mio tym nie mówiłeś - odezwał się Ryan.
- Widać zapomniałem - wyjaśnił i zwrócił się do bratanka: - Jesteś zainteresowany?
Chłopak pokiwał głową. Scott wiedział, co Chase myśli. Że i tak nie ma wyboru.

- Zgadzasz się? - Scott przeniósł wzrok na Ryana, który wpatrywał się w niego podejrzliwie.
 - Skąd takie nagłe zainteresowanie moim dzieciakiem?
- Scott kątem oka zauważył przelotny niepokój na twarzy chłopca.
- Jesteśmy rodziną, już ci to tłumaczyłem.
 - Jeśli on chce, to ja nie mam nic przeciwko temu.
 - Brat wzruszył ramionami.
 - Doskonale. - Scott wstał. - Zatem załatwione. Chase, pomożesz mi powynosić śmieci? Przy okazji omówimy szczegóły. - Nastolatek zgodził się bez entuzjazmu. Scott przystanął z ręką na klamce i zwrócił się do Ryana:
 - Będziemy w kontakcie. W sprawie ojca i innych rzeczy, o których rozmawialiśmy.
 - Nie mogę się doczekać kolejnej rozmowy - odparł szyderczo Ryan.
 - O czym jeszcze rozmawiałeś z tatą? - dopytywał się Chase, kiedy już wyszli na korytarz. Scott wzruszył ramionami w odpowiedzi. Z sąsiednich mieszkań dobiegała głośna muzyka. Minęli dwoje studentów z rowerami, którzy przywitali się z Chase'em.
 - Gdzie jest śmietnik? - spytał Scott, kiedy znaleźli się już na stosunkowo spokojnej ulicy.
 - Z tyłu budynku - wyjaśnił Chase i zaprowadził go tam. - Co mu powiedziałeś o mnie? - Chciał wiedzieć.
 - O kradzieży furgonetki czy popijawie u dziadka?
 - droczył się z nim Scott, wychodząc z ciemnej alejki.
 - Wiesz.
 - Nie. Wspomniałem jednak, że powiedziałeś mi o powtórny małżeństwie mamy. Wie o naszym spotkaniu. Coś wymyślisz.
 - Nie ma sprawy. - W głosie Chase'a zabrzmiała ulga.
 - Powiem, że spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy

i zacząłeś mnie wypytywać. Jego zdaniem zawsze wtykasz nos w nie swoje sprawy, więc się nie zdziwi.

- Dobrze wiedzieć - westchnął Scott, myśląc, że nie powinien zachęcać bratanka do kłamstwa.

Stanęli przed domem, jedną z kilku niegdyś luksusowych rezydencji z epoki wiktoriańskiej, dziś zaadoptowanych na tanie mieszkania i oddzielonych od ulicy wąskim chodnikiem, na którym parkowały samochody. Ulica była dobrze oświetlona.

- Wszyscy twoi koledzy stawili się dziś u mnie w biurze? - spytał Scott, idąc w stronę samochodu.

- Tak. Przyszedłeś nas sprawdzić? - To pytanie nie zabrzmiało zbyt przyjaźnie.

- Przyszedłem sprawdzić, co u ciebie. A czego się spodziewałeś? Ostrzegam, że będę to robił raz na jakiś czas. Dopadnę cię jak wilk owcę, jeśli zobaczę cokolwiek niepokojącego. - Popatrzył surowo na bratanka.

- Wsiadaj - polecił, otwierając drzwi auta.

- Wsiadać? - Chłopak otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Przecież mówię. Podrzucę cię do sklepu.

- Nie mam pieniędzy.

- Wsiadasz czy nie?

Chase posłusznie usiadł na siedzeniu pasażera.

- Trzeba kupić mleko, chleb, ser. Może jakieś wędliny. Płatki śniadaniowe. Pączki. - Zatrzymali się pod sklepem spożywczym i weszli do środka. Scott podał Chase'owi koszyk, a drugi wziął dla siebie. -

Rozdzielmy się i spotkajmy pośrodku. Bierz to, co ci mówiłem, i to, na co masz ochotę. Byle szybko.

Uwinęli się z zakupami w pięć minut. W drodze powrotnej do mieszkania Ryana Chase popatrzył z ukosa na wuja.

- Ojciec się na mnie wkurzy, że pozwoliłem ci zapłacić za zakupy.

- Powiedz mu, żeby... - Scott przerwał w porę i dokończył: - zadzwonił do mnie, jeśli ma z tym jakiś problem.
- Wtedy wkurzy się na ciebie.
- Jakoś to przeżyję - roześmiał się. Zaparkował przed budynkiem z czerwonej cegły i odwrócił się, żeby popatrzeć na Chase'a. - Dzwon do mnie w razie jakichkolwiek kłopotów, dobrze?
- Pewnie - odparł bratanek takim tonem, że Scott nie spodziewał się zbyt wielu telefonów. Chłopiec zebrał torby z zakupami, ale coś mu się nagle przypomniało. - Widziałem dziś twoją dziewczynę. Chyba powinieneś do niej wpaść.
- Moją dziewczynę? - Scott nie był pewien, kogo tamten ma na myśli.
- No wiesz, tę ślicznotkę z długimi nogami. Lisę. Pojechaliśmy wszyscy do takiego domu, skąd wiele lat temu zniknęła pewna rodzina. Rinko i dziewczyny wpadli na pomysł, że przeprowadzimy własne prywatne śledztwo, żeby wyjaśnić zagadkę sprzed lat. Zastaliśmy tę Lisę leżącą na trawie, wyglądała jak nieżywa. Najpierw powiedziała, że ktoś był w domu i uderzył ją w głowę, ale po kilku minutach zmieniła zdanie. Podobno się potknęła. - Chłopak wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, straciła na jakiś czas przytomność. Miała na głowie potężnego guza.
- Co takiego? - wykrzyknął Scott, wpatrując się z niedowierzaniem w bratanka. - Nic jej nie jest? Dokąd pojechała?
- Rozmawiała z nami normalnie, była w stanie chodzić i sama wróciła do Lexington. Chyba wszystko w porządku. Nie mam pojęcia, gdzie teraz może być.
- Na szczęście Scott wiedział. Był wstrząśnięty tym, czego się właśnie dowiedział.
- Dzięki, że mi powiedziałeś. Wracaj do domu i nigdzie już dziś nie jedź.

- Niby czym miałbym jechać? Ojciec nie śpi, więc nie zwinę mu furgonetki.

Scott zacisnął usta i posłał bratankowi ostrzegawcze spojrzenie, nie dając się sprowokować do dyskusji.

Spieszył się do szpitala uniwersyteckiego.

W co ona się znowu wpakowała?, rozmyślał pełen obaw, jadąc bardzo szybko przez wąskie uliczki.

Tak jak się spodziewał, zastał Lisę w szpitalu, przy matce. Zobaczył ją od razu, kiedy tylko wysiadł z windy na czwartym piętrze. O tej porze korytarze były puste, tylko pielęgniarka pchała przed sobą skrzypiący wózek. Było jasno i chłodno, powietrze pachniało środkami odkażającymi. Lisa stała odwrócona plecami do niego, tuż przy drzwiach do sali, w której leżała Martha Grant. Rozpuszczone czarne włosy opadały jej na plecy. Miała na sobie szare porozciągane spodnie od dresu oraz brzydką białą bluzkę, wyglądała cudownie i najwyraźniej czuła się tu jak w domu. Całowała się ze swoim chłopakiem. Scott poczuł ukłucie zazdrości.

Cześć, Peyton.

Lisa aż podskoczyła, słysząc za sobą głos Scotta. Szybko odsunęła się od Joela.

-Witaj, Buchanan. - W głosie tamtego było jeszcze mniej entuzjazmu.

Ci dwaj od dawna się nie lubili. Kiedy jeszcze chodzili do liceum, Joel często przyjeżdżał do Grayson Springs swoim bmw cabrio, otrzymanym od rodziców na szesnaste urodziny. Zazwyczaj zjawiał się wraz z bandą rozwrzeszczanych szczeniaków, oznajmiając swoją obecność rykiem silnika i dźwiękiem klaksonu. Scott nie krył wtedy swojej pogardy. Zanim zaczął nazywać go kochasiem, jego ulubionym przezwiskiem dla Joela było: „Richie Rich”. Z kolei Joel nazywał Scotta „tym ogrodnikiem”.

To było ich pierwsze spotkanie po latach. Nie podali sobie rąk. Lisa odgarnęła włosy z twarzy i popatrzyła pytająco na Scotta.

- Przyszedłem do pani Marthy - wyjaśnił bez uśmiechu.

Domyślała się, iż powodem tej ponurej miny jest jej pocałunek z Joelem. Scott przyjął typową postawę psa ogrodnika. Nie miał zamiaru się z nią umówić, ale nie podobało mu się, kiedy spotykała się z innymi. Było tak, odkąd sięgała pamięcią. Popatrzyła na niego z ukosa.

- Trochę późno na wizyty, nie uważasz? Obrzuciła go nieprzyjaznym spojrzeniem w rewanżu za to chłodne powitanie. Scott wyglądał na zmęczonego. No tak, miał za sobą nieprzespaną noc i długi dzień w pracy. Nie potrafiła się oprzeć pokusie porównywania obu mężczyzn. Joel miał delikatniejsze rysy twarzy, niebieskie oczy o szczerym spojrzeniu i jasne włosy. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, lecz jej chłopak był szczuplejszy i wyglądał bardziej elegancko w swoim granatowym garniturze od europejskiego krawca. Porównując ich wygląd, uznała Joela za przystojniejszego. Natomiast Scotta był znacznie bardziej seksowny. Sprawiał, że serce zaczynało jej szybciej bić.

- Nie mogłem wcześniej. W takim razie odwiedzę ją innym razem - powiedział sucho. Lisa uważała się za osobę poważną i tylko dlatego nie pokazała mu języka.

Z sali pacjentki wyszła pielęgniarka i uśmiechnęła się do całej trójki.

- Obudziła się - powiedziała pogodnie do Lisy. - Mam nadzieję, że lubicie „House'a”, bo właśnie się szykuje do obejrzenia kilku odcinków.

- Dziękuję! - zawołała za nią Lisa.

- Mogę wejść czy nie? - spytał z ironią Scott.

- Martha na pewno się ucieszy - odezwał się Joel. Nie został zaszczycony nawet spojrzeniem. Tamci dwoje wpatrywali się w siebie nawzajem.

- Skoro i tak nie śpi... Możesz wejść. Z chęcią cię zobaczy - zdecydowała Lisa, wskazując otwarte drzwi sali. Potem zwróciła się do Joela, usiłując wykrzesać z siebie nieco ciepła. Była już bardzo zmęczona. - Dziękuję, że przyjechałeś prosto z lotniska. Nie musiałeś tak się spieszyć, mogłeś poczekać do jutra.

- Pewnie, że musiałem. Jesteś moją dziewczyną. Zawsze chcę być przy tobie, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

- Zamknął jej dłonie w swoich, a w jego pięknych niebieskich oczach błysnęła zaborczość. Lisa uśmiechnęła się tylko, nie protestując, świadoma obecności Scotta za drzwiami. W innych okolicznościach nie pozwoliłaby Joelowi nazywać się swoją dziewczyną, nie chciała, żeby czuł się zbyt pewnie. Pocałował ją w rękę na oczach ciekawskich pielęgniarek. Rozdrażnił ją ten romantyczny gest. Ogarnęła ją złość, której przyczyn nie miała ochoty dociekać.

- Powinieneś już iść. Robi się późno. - Z uśmiechem cofnęła rękę. Wprawdzie Scott przyszedł w chwili, kiedy już się żegnali, ale Joel zwlekał teraz z odejściem. Zerknął znacząco na drzwi, zza których dolatywał szmer głosów.

- Mogę zostać jeszcze chwilę, jeśli chcesz. - Zawsze był zazdrosny o Scotta.

- Nie trzeba. Scott za kilka minut sobie pójdzie, a potem już nikogo nie wpuszczę. Mama niech ogląda „House'a”, a ja idę spać.

Pielęgniarki wstawiły jej łóżko do pokoju mamy, korzystała też z jej łazienki, a Nola przyniosła walizkę z niezbędnymi rzeczami. Dzięki temu Lisa nie musiała wynajmować pokoju w hotelu ani kupować nowych ubrań.

- Jesteś pewna? -Tak.

- Zgoda. Ale tylko dlatego, że jutro rano muszę jechać do Cincinnati. - Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. Gdy odszedł, Lisa nie chciała od razu iść do mamy i Scotta. Masowała obolałe skronie, kiedy Joel odwrócił się jeszcze przed wejściem do windy. - Nadal jesteśmy umówieni na sobotę?

- Nie wiem. - Szybko opuściła ręce. Nikomu nie powiedziała o napadzie. - Zobaczymy. Zadzwoń do ciebie.

Joel skinął głową. Kiedy wszedł do windy, nie miała już wymówki, żeby nie wejść do mamy. W pokoju było teraz cicho i pusto. Wcześniej przewinał się tam tłum odwiedzających, których nie znała zbyt dobrze, a tamci wszyscy ludzie wydawali się spragnieni rozmowy z nią. Telewizor był włączony, lecz niezbyt głośno. Lisa wcześniej przykręciła klimatyzację, dzięki czemu działała niemal bezgłośnie. Po ciężkim dniu bardzo potrzebowała ciszy. Oczywiście był jeszcze Scott. Stał nad łóżkiem mamy, trzymał ją za rękę i słuchał z uwagą tego, co doń mówiła. Od czasu do czasu kiwał głową.

- Oczywiście... - Na widok Lisy przerwał.

- Annaliso - zwróciła się do niej surowym tonem mama. - Nie chcę, żebyś rezygnowała z sobotniej randki.

- To tylko przyjęcie w klubie z okazji Czwartego Lipca - odparła zawstydzona, że Scott dowiedział się o tym. Najwyraźniej oboje słyszeli jej rozmowę z Joelem. - Zostawię cię, jeśli będę musiała pracować. Z pewnością nie po to, żeby pójść na jakąś randkę. - Twarz Scotta nie wyrażała emocji, ale wiedziała, jak działa jego umysł. W duchu krzywił się na myśl o jej związku z Joelem.

- Powinnaś... wrócić do pracy. I pójść... na to przyjęcie. Czuję się... dobrze. - Martha odetchnęła głęboko. Mówienie kosztowało ją wiele wysiłku. - Mam Andy'ego... Robin... Lynn, mnóstwo przyjaciół... Nie będę... sama. Chciałabym, żebyś... wróciła do normalnego życia.

Lisa podeszła do łóżka od drugiej strony, stanęła naprzeciwko, Scotta i wzięła ją za rękę. Jej dłoń była zimna i drobna. W szpitalnej koszuli Martha wyglądała krucho i blado. Lisa ze ściśniętym sercem zdała sobie sprawę, że mama jest wychudzona jak szkielet. I podłączona do kroplówek oraz monitorów.

- Dopóki nie dostaniemy wszystkich wyników... - zaczęła, próbując ogrzać jej rękę w swojej.

- A co to za... różnica - przerwała jej Martha. - Przecież... i tak wiemy... że umieram. Co nowego... mogą nam powiedzieć? - spytała z zadziornym błyskiem w oczach.

Lisa na moment zaniemówiła.

- Pani Martha ma rację - wtrącił się Scott. - Nie możesz tutaj przesiadywać dzień i noc. To nie jest dobre dla żadnej z was. Powinnaś wrócić do biura. Przecież nikt nie będzie na ciebie czekać w nieskończoność.

Lisa rzuciła mu oburzone spojrzenie za taki brak wrażliwości, ale nie chciała o tym rozmawiać w obecności mamy. Nie podobała jej się groźba zawarta w jego słowach; przecież wiedział, jak bardzo potrzebowała tej pracy.

- Chyba mnie nie zwolnisz? - powiedziała lekko. Na ustach Scotta pojawił się cień uśmiechu.

- Ale ja chcę... żebyś wróciła do pracy. - Mama zacisnęła palce na jej dłoni. -1 poszła... na przyjęcie.

Lubię... słuchać... twoich opowieści. Wiele osób... może przy mnie posiedzieć... Lecz ja... zawsze jestem z tobą... cokolwiek robisz... Cieszę się, kiedy... wiem, że jesteś szczęśliwa...

- Mamo... - Lisa próbowała coś powiedzieć przez ściśnięte gardło.

- Nie lituj się... nade mną... Annaliso. Miałam... cudowne życie. Chciałabym, żebyś... ty tak przeżywała swoje.

-Mamo... - powtórzyła bezradnie, czując zbierające się pod powiekami łzy.

- Jeszcze jutro masz wolne, ale w piątek spodziewam się zobaczyć cię w pracy - odezwał się Scott denerwująco autorytarnym tonem.

Złość sprawiła, że Lisie przestało się zbierać na płacz. Popatrzyła na Scotta z nienawiścią, na co on uśmiechnął się irytująco.

- A w sobotę... pójdziesz do klubu - odezwała się mama równie rozkazująco.
 - Tak jest. Praca w piątek, przyjęcie w sobotę - odrzekła, posyłając Scottowi kolejne mordercze spojrzenie. Ze względu na mamę postanowiła nic więcej nie mówić.
 - Pójdę już. Wpadłem tylko na chwilę, sprawdzić, jak pani się czuje - powiedział ciepło do chorej, po czym zwrócił się władczo do Lisy: - Odprowadzisz mnie?
 - Cały Scott!
- Zgodziła się, ponieważ miała mu coś do powiedzenia na osobności. Wyszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Jedyna pielęgniarka w dyżurce rozmawiała właśnie przez telefon. Poza nią i salowym zmywającym podłogę wokoło nie było nikogo. Mogli spokojnie rozmawiać.

16

O co ci chodziło z tym powrotem do pracy w piątek? -spytała ostro. - W takiej sytuacji mam pełne prawo wziąć kilka dni wolnego. Kontaktowałam się już z działem kadr. Sam mówiłeś wczoraj, że mogę wrócić do pracy, kiedy będę gotowa.

- Zmieniłem zdanie, jesteś nam potrzebna. Jeśli nie zjawisz się w piątek, będę musiał zatrudnić kogoś na tw.oje miejsce.

- Jak możesz mi grozić? Mama mnie potrzebuje!

- Wcale nie. Zamartwia się o ciebie, kiedy przesiadujesz godzinami przy jej łóżku. Ma wrażenie, że rezygnujesz z własnego życia, żeby się nią zajmować.

- Skąd wiesz? Powiedziała ci to? Rozmawialiście na ten temat?

- Może po prostu jestem byстрыm obserwatorem.

- Bzdura - zdenerwowała się, po czym skapitulowała.

- Wiem, że się o mnie martwi. Ale ja chcę przy niej być.

- Będzie o wiele szczęśliwsza, jeśli zajmiesz się sobą. A jej stan jest przecież stabilny.

- Nadal nie ma wszystkich wyników. - Lisa westchnęła. - Dobrze. W piątek przyjdę do pracy.

- Cudownie. A jak tam twoja głowa?

- Słucham? - zdziwiła się.

- Twoja głowa - powtórzył Scott, dotykając jej skroni.

- Po uderzeniu.

152

- Skąd wiesz? - Odskoczyła.
- Ptaszki ćwierkały.
- Rinko ci powiedział. Albo twój bratanek.
- Opowiesz mi, co się właściwie stało?
- Nie - odparła stanowczo. Przemyślała już wcześniej i odrzuciła pomysł wtajemniczenia Scotta w tę sprawę. Była przekonana, że podobnie jak ona uzna, iż sprawa Garciów w jakiś przedziwny sposób ma związek z jej osobą.
- Niech zgadnę. Wszystko zaczęło się od wyniesienia akt, które potem spłonęły w pożarze. I tajemniczego podobieństwa do zaginionej kobiety. Ktoś uderzył cię w głowę i straciłaś przytomność na podwórku domniemanych ofiar sprzed trzydziestu lat. Jak mi idzie?
Odpowiedzią było jedynie chłodne spojrzenie Lisy.
- Widzę, że świetnie. - Skrzyżował ręce na piersiach i oparł się nonszalancko o ścianę. - Wtajemniczysz mnie w szczegóły? - Milczała. - Daj spokój, nie chce mi się dalej zgadywać. Przecież znasz mnie nie od dziś, księżniczko. Jeśli nie powiesz mnie, to komu?
Wahała się jeszcze. Rozdrażnił ją, nazywając księżniczką, poza tym bała się wtajemniczać kogokolwiek w swoje podejrzenia, na wypadek gdyby okazały się bliskie prawdy. Scott miał jednak rację: jeżeli mogła o tym powiedzieć komukolwiek, to tylko jemu. Albo zostać ze wszystkim sama, co w świetle ostatnich wydarzeń nie wydawało się roztropne.
- Obeszłam dom i zbliżyłam się do kuchennych drzwi - zaczęła nieskładnie. - Nic nie mów, wiem, co myślisz. Zachowałam się głupio i nieodpowiedzialnie, próbując sama wejść do środka. Drzwi były otwarte, ustąpiły, gdy wzięłam za klamkę. Nagle zadzwonił mój telefon komórkowy. To był Rinko, właśnie parkował na podjeździe z drugiej strony. Razem z grupą nastolatków, nad którymi się znęcasz. Odwróciłam się plecami do drzwi, żeby odebrać.

Ktoś musiał być w środku, bo usłyszałam za sobą jakiś hałas, a potem poczułam uderzenie i straciłam przytomność. - Odetchnęła. - No i już. To wszystko.

- Nie zadzwoniłaś na policję. - Scott patrzył na nią z namysłem.

- Nie.

- Mogę spytać czemu?

- Nie chciałam się tłumaczyć, co tam robiłam.

- Z obawy, że twoje podobieństwo do tej kobiety może coś znaczyć?

Niech go diabli, pomyślała. Musi być taki przenikliwy?

- Niby co? - wybuchnęła. Ogarnął ją strach. - Że Angela Garcia jest moją krewną? Podobno każdy ma sobowtóra. Uważam całą sprawę za zwykły przypadek.

- Zatem nie masz się czego obawiać.

- Niczego się nie obawiam - zdenerwowała się Lisa.

- Zabrałaś akta do domu, a zaraz potem omal"nie zginęłaś w pożarze - mówił powoli Scott, nie spuszczać z niej oczu. - Pojechałaś obojętnie miejsce dawnej domniemanej zbrodni i zostałaś zaatakowana przez nieznanego sprawcę. Załóżmy przez chwilę, iż nie jest to seria wyjątkowo pechowych zbiegów okoliczności, tylko skutek twojego zainteresowania sprawą Garcíów.

Lisa wciągnęła ze świstem powietrze. Miała wrażenie, że stoi nad krawędzią przepaści.

- Dobrze - zgodziła się.

- Kto wiedział, że zabrałaś akta do domu? - Od razu zadał właściwe pytanie.

- Usiłowałam sobie przypomnieć... Niewiele osób. - Rozejrzała się ukradkiem. Prawie wszystkie drzwi do sal chorych były pozamykane. Za biurkiem w recepcji siedziały dwie pielęgniarki zajęte rozmową. Salowa pchała wózek w ich stronę, zatrzymując się pod każdymi drzwiami. Mężczyzna z mopem posuwał się w przeciwnym kierunku.

Nikt nie zwracał uwagi na Lisę i Scotta. - Jedyne Rinko był obok, kiedy pakowałam je do teczki, ale jestem pewna, że niczego nie zauważył. Joelowi powiedziałam przez telefon, jadąc do domu. Mógł wspomnieć o czymś swojemu ojcu, byli wtedy razem. Ale nie mam pojęcia po co. Potem ty mogłeś zobaczyć te dokumenty. -Ja?

- Kiedy upuściłam teczkę. Miałaś je w ręku. Zdziwiłam się, że nie zwróciłeś uwagi.

- Nie zauważyłem niczego - zapewnił.

- I tak byś się nie przyznał. - Lisa uśmiechnęła się kpiąco. - Po powrocie do domu zabrałam dokumenty do swojej sypialni razem z całą teczką. To może zabrzmie głupio, ale mam... miałam... lalkę ładną podobną do tej dziewczynki z fotografii. Chciałam porównać ją ze zdjęciem. Przerwał mi telefon od ojca. Wydaje mi się, że powiedziałam mu o zabraniu dokumentów. Nie jestem pewna. W każdym razie rozmawialiśmy o sprawie Garcíów. Spytałam nawet, czy jestem adoptowana.

- Co takiego? - Był zdumiony. - Myślisz, że takie jest wyjaśnienie twojego podobieństwa do Angeli Garcii?

- N-nie. - Pokręciła głową. - Wtedy przyszło mi to niespodziewanie do głowy, ale okazało się, że nie. Barty zaklinał się, że jestem jego biologicznym dzieckiem, a mama pokazała mi album ze zdjęciami ze szpitala, z okresu ciąży, porodu, wczesnego dzieciństwa... Pełna dokumentacja.

- Dobrze. W takim razie niewykluczone, że twój ojciec wiedział o aktach. Kto jeszcze?

- Tutaj sprawa się komplikuje. - Lisa westchnęła. - Schodząc, na kolację, zostawiłam akta na podłodze. Każdy z domowników mógł je zobaczyć. Andy, Robin, ale także Lynn, dochodząca pielęgniarka, którą poznałeś. No i robotnicy. Pamiętasz ten olbrzymi dąb, który przewrócił się w maju? Uszkodził dach nad pokojem

sąsiadującym z moją sypialnią. Robotnicy kończyli remont. Było ich pięciu lub sześciu. Naliczyłam w sumie około czternastu osób, które wiedziały, gdzie znajdują się te dokumenty. A te osoby mogły przekazać informację innym.

Scott słuchał jej uważnie. Zmarszczył czoło.

- Mówiłaś, że dane zostały wprowadzone do komputera, zanim zabrałaś teczkę?

- Dzięki Bogu. - Lisa pokiwała głową. - Koniecznie musisz zobaczyć to zdjęcie. Podobieństwo jest niewiarygodne. - Założyła, że Scott zechce się zapoznać z aktami. Wierzyła w jego wsparcie i poczuła się dużo bezpieczniej, wiedząc, iż ma go przy sobie.

- Teczki z aktami wprowadzonymi do systemu są oznaczane specjalnymi plakietkami. Zauważyłaś taką?

- Nie - Lisa pokręciła głową.

- Powinna być. A jeśli była, czytniki przy drzwiach zarejestrowały, że wyniosłaś dokumenty. Zakładając, że system zadziałał jak należy, wszyscy strażnicy w budynku wiedzieli.

- Świetnie. Ilu ich jest?

- Nie wiem. Sprawdzę.

Lisa podskoczyła, słysząc tuż za plecami skrzypienie wózka. Pielęgniarka uśmiechnęła się grzecznie i zapukała cicho do drzwi pokoju Marthy.

- Proszę wejść - powiedziała dziewczyna.

- Dziś także zostaje pani na noc? Lisa pokiwała z uśmiechem głową.

Postanowiła wejść z pielęgniarką. To tylko rutynowy obchód, ale wolała być przy mamie, ponieważ ze względu na trudności z mówieniem i poruszaniem się część szpitalnego personelu traktowała Marthę, jakby ta utraciła także zdolność myślenia.

- Muszę wrócić do mamy - powiedziała Scottowi.

Pokiwał w zamyśleniu głową, ale przytrzymał Lisę za ramię, kiedy odchodziła. Zabrakło jej tchu, gdy poczuła dotknięcie jego ciepłej dłoni.

- Będziesz spała w pokoju pani Marthy? - Jego twarz była nieprzenikniona. Lisa nie wiedziała, czy ten przelotny kontakt fizyczny podziałał na niego równie elektryzująco. Odsunęła się i skrzyżowała dłonie na piersi.

- Tak.

- Nie wychodź już dziś, dobrze? Nawet na chwilę do samochodu.

- Nie planuję. Ale czemu?

- Albo masz ostatnio strasznego pecha, albo też nasz hipotetyczny scenariusz jest bliski prawdy. Tak czy inaczej nie powinnaś włączyć się sama po ciemku.

- Podejrzewasz, że jestem w niebezpieczeństwie?

- spytała, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Uparcie wypierała to przypuszczenie ze świadomości.

- Istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Scott... - zadrżała.

- Panno Grant? - Pielęgniarka wyjrzała z pokoju. - Mama odmawia przyjęcia środka nasennego. Gdyby zechciała mi pani pomóc...

- Nie chce jeszcze spać - odparła Lisa. - Ogląda teraz serial. Za chwilę przyjdę.

Pielęgniarka posłała jej przed odejściem spojrzenie pełne dezaprobaty. Lisa wróciła do rozmowy ze Scottem.

- Nalegam, żebyś już się nie mieszała do tej sprawy

- powiedział surowo. - Nie rozmawiaj z nikim i przestań węszyć. Ja się wszystkim zajmę.

- Nie chcę? żeby ktokolwiek inny się tym zajmował

- zaprotestowała. - Na wypadek... - Zamilkła. Nie chciała nawet werbalizować swoich obaw.

- Zaufaj mi, będę dyskretny. Trzymaj się z daleka od ciemnych zaułków. Dzwonź do mnie, gdyby działo się

cokolwiek niepokojącego. Mieszkam niedaleko, od razu przyjadę.

- Niech będzie - przystała niechętnie. Nie czuła się na siłach, by teraz walczyć ze Scottem. Uśmiechnęła się z rezygnacją. Ku jej zdziwieniu popatrzył na nią z niezadowoleniem.

-Panno Grant... - Pielęgniarka ponownie przerwała im rozmowę.

- Już idę - powiedziała Lisa. - Naprawdę muszę iść

- zwróciła się przepraszająco do Scotta. I dodała cicho:

- Dziękuję.

- Nie ma za co - odparł wychodząc.

Lisa wróciła do pokoju. Mimo obecności mamy i pielęgniarki poczuła się nagle samotna, bezbronna i nieco wystraszona.

Reinkarnacja wykluczona, pomyślała z ulgą. Rodzina Garcíów zaginęła pierwszego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Prawie miesiąc po narodzinach Lisy. To dobrze, bo i tak nie wierzyła w reinkarnację.

Zadumała się nad cudem nowoczesnej technologii, która pozwalała na zdobywanie informacji z każdego miejsca na ziemi. Był późny poranek, a ona siedziała z laptopem na kolanach na jednym z niewygodnych plastikowych krzeseł w poczekalni przed pracownią rentgenowską. Z akt przesłanych jej przez Rinko za pośrednictwem internetu dowiedziała się, że zdjęcie zaginionej rodziny zostało zrobione w dniu przeprowadzki Garcíów do nowego domu, z którego zniknęli osiem miesięcy później. Przedtem mieszkali przez wiele lat w Arlington w stanie Wirginia. Lisa postanowiła zignorować polecenie Scotta, aby zostawiła tę sprawę w spokoju, ponieważ już czuła się w nią emocjonalnie zaangażowana. Poza tym, od kiedy to musi spełniać jego rozkazy? Zdziwiła się, natrafiwszy na informację, że Angela tuż przed przeprowadzką do Lexington pracowała na stanowisku technika radiologicznego w szpitalu Świętej Marii i Elżbiety w Silver Spring, w Marylandzie, na obrzeżach Waszyngtonu. Przecież to był szpital, w którym ona, Lisa, przyszła na świat. Bardzo ją zdumiał

ów przedziwny zbieg okoliczności. Z jednej strony wydawał się niezwykle istotny, a z drugiej nie mógł przecież nic znaczyć, gdyż urodziła się w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Angela z rodziną od kilku miesięcy mieszkała wtedy w Lexington.

Nigdzie nie wymieniają imienia psa, myślała gorączkowo. Nie wspominają o Lucy...

- Panno Grant.

- Tak? - Uniosła głowę i zobaczyła przed sobą tęgą siwowłosą kobietę w fartuchu laboratoryjnym. Rozpoznawała w niej jedną z lekarek zajmujących się mamą, ale nie mogła sobie przypomnieć nic więcej.

Uratował ją identyfikator. Doktor JoAnn Dean, radiolog.

- Dotychczasowe wyniki badań wskazują, że pani mama nie miała udaru. Podejrzewamy, iż utrata przytomności została spowodowana przez stres i ogólne osłabienie organizmu z powodu choroby. Nie stwierdziliśmy uszkodzeń neurologicznych. Jeżeli pozostałe wyniki okażą się równie dobre i pacjentka wróci do poprzedniego stanu, będzie mogła wyjść do domu w poniedziałek.

Lisa poczuła ogromną ulgę. Uświadomiła sobie, że nie jest gotowa na śmierć mamy. Pewnie nigdy nie będzie.

- Bardzo się cieszę. Dziękuję za informację. Doktor Dean powiedziała jeszcze, że konieczna będzie rehabilitacja, zanim pani Grant wróci do stanu sprzed wypadku, kiedy to poruszała się na wózku. Po odejściu lekarki Lisa ponownie skupiła się na sprawie Garciów.

Michael Garcia w chwili zaginięcia był zatrudniony na stacji benzynowej w Winchester Pike. W jego kartotece widniało sporo kar za drobne wykroczenia, które zaczęły się, kiedy miał kilkanaście lat.

Najpoważniejsze z przestępstw, posiadanie skradzionych przedmiotów, zakończyło się pobytem w więzieniu, tuż przed przeprowadzką do Lexington. Nie była to długa odsiadka. Trzy

miesiące. Lisa się zastanawiała, czy to mogło mieć związek z decyzją odmianie miejsca zamieszkania. Do kartoteki przypięto sporządzoną ręcznie notatkę. Policja zamierzała dokładniej przyjrzeć się przeszłości Michaela, aby szukać tam ewentualnych przyczyn zaginięcia Garcíów. Jednak w dokumentacji nie było najmniejszego śladu potwierdzającego, że zostało to wykonane. Akta, które przez trzydzieści lat przechodziły z rąk do rąk niekoniecznie musiały być kompletne.

Sprawę prowadził detektyw z Lexington o nazwisku Dean Bernard. Lisa rozpoznawała już jego charakter pisma na notatkach. To on proponował, by sprawdzić przeszłość Michaela Garcii. Lisa chętnie by porozmawiała z tym śledczym, lecz sprawdziła w policyjnych danych, że przeszedł na emeryturę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, a niedługo potem zmarł.

Powszechny kłopot ze starymi śledztwami. Ludzie zapominali, przeprowadzali się, umierali.

Dokumenty były przenoszone w inne miejsce. Dowody znikwały. Tysiące nowych przestępstw odciągały uwagę od dotychczas nierozwiązanych spraw.

Podobnie jak wiele innych ta również zostałaby zapomniana, gdyby Gemmel przypadkiem nie zwróciła uwagi na pewien intrygujący szczegół. Lisa niemal żałowała, że koleżanka dostrzegła jej podobieństwo do zaginionej kobiety. Żyłaby sobie jak dotąd, w błogiej nieświadomości.

W aktach znajdowało się także zdjęcie dzieci ze Świętym Mikołajem zrobione przez zawodowego fotografa w centrum handlowym. Prawdopodobnie w Lexington, bo rodzeństwo nie wydawało się dużo młodsze niż w chwili zniknięcia. Marisa siedziała Mikołajowi na kolanach, była wpatrzona w maskotkę renifera, którą trzymała w rączce. Miała na sobie odświętną sukienkę z plisowaną spódniczką i czerwone rajstopy.

Tony, w czerwonym swetrze i czarnych spodniach, stał obok siostry, patrząc poważnie w obiektyw. Oboje byli do siebie bardzo podobni. Chłopiec miał szelmowski błysk w oczach. Lisa powiększyła zdjęcie, czując na karku zimny dreszcz.

Te karmelowe oczy. Jak moje.

Poczuła bolesny ucisk w brzuchu. Pocieszyła się jednak, że to nic takiego, wszak połowa ludzkości ma brązowe oczy, a jeden kolor nie może mieć nieskończonej liczby odcieni.

Koloru oczu Marisy nie było widać na zdjęciu. Lisa niecierpliwie przeglądała akta w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki. W dokumentach musiał być dokładny rysopis małej, ale nie potrafiła go znaleźć. Zakładała, że dziewczynka ma niebieskie oczy. Teraz zdała sobie sprawę, iż takie były oczy Katriny, dlatego przypisała je również Marisie. Jeśli jednak dziecko miało oczy karmelowe...

To co?, zganiła się w duchu. Ona jest Marisą? Niemożliwe. Pomijając już dowody w postaci zdjęć z porodu, pozostawała jeszcze różnica wieku.

Nie mogła oderwać wzroku od zdjęcia, serce jej biło jak oszalałe.

W starym albumie mamy widniała fotografia czteroletniej Lisy. Tamta wyglądała dokładnie jak Marisa. Szybko zamknęła laptop i schowała go do torby, ponieważ Marthę właśnie wywożono z gabinetu po skończonych badaniach.

- Mam dobre wiadomości - powiedziała mamie, uśmiechając się do pielęgniarki pchającej wózek. -

Doktor Dean mówi, że nie stwierdzono udaru. Czeka cię krótka rehabilitacja i wracamy do domu. Może już w poniedziałek.

-To wspaniale... Nie mogę się doczekać... powrotu do domu. - Oczy Marthy Grant zaszkliły się od łez. - Już się bałam... że tu umrę.

- Nie ma mowy. - Lisa ścisnęła jej dłoń. Poczowała ucisk w gardle, bo ona też się tego obawiała. Później spytała tonem zwykłej pogawędki, czy mama pamięta rodzinę o nazwisku Garcia, która zaginęła przed trzydziestu laty z pobliskiego domu.

Martha zmarszczyła brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

- Tak, pamiętam. - Padła zaskakująca odpowiedź. Lisa nagle poczuła się nieswojo; nie wiedziała, jak pokierować rozmową, żeby nie zdenerwować matki. W jej oczach nie znalazła ani śladu podejrzliwości, napięcia czy poczucia winy.

- Znałaś ich?

-Nie, ale... sprawa dotyczyła... dzieci, a ja... byłam młodą mamą... Było o nich głośno... w mediach. Smutna historia... Czemu pytasz...? Czyżby... się znaleźli?

Lisa potrząsnęła głową, nadal bacznie obserwując matkę. Poczowała wielką pokusę, żeby wyjąć komputer i pokazać jej zdjęcia. Nie odważyła się jednak. Martha była bardzo osłabiona przez chorobę, a ta dziwna historia mogła ją zdenerwować.

Lepiej nie wywoływać wilka z lasu, pomyślała. Przerazały ją nawet własne przypuszczenia. Miała wrażenie, że stąpa po polu minowym. Jeden fałszywy krok mógł spowodować katastrofę.

- Natknęłam się w pracy na ich akta.

- Twoja praca... jest taka ciekawa. Czasem żałuję... że nie spełniłam się... zawodowo - powiedziała ze smutkiem Martha. Lisa знаła swoją matkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że niczego przed nią nie ukrywa. Pozwoliła jej oddać się wspomnieniom.

O trzeciej po południu chora została zabrana na pierwszą sesję rehabilitacyjną, a Lisa wyszła ze szpitala. Miała do załatwienia kilka spraw. Po pierwsze, wreszcie wynajęła pokój w pobliskim Marriotcie i zawiozła walizkę do hotelu. Skoro miała wrócić następnego dnia do pracy, nie mogła nadal mieszkać w szpitalu. Zrobiła też najpotrzebniejsze zakupy. Bielizna, kosmetyki, trochę ubrań.

Wreszcie pojechała do Grayson Springs, gdzie miała się spotkać z detektywem Watsonem. Zadzzwonił do niej, mówiąc, że ma jeszcze parę pytań. Nie podobał jej się jego ton, lecz nie protestowała. Chciała zabrać z domu trochę rzeczy, w tym albumy ze zdjęciami, a bała się wejść tam sama. Pragnąc załatwić jak najwięcej podczas jednej wizyty, umówiła się także z przedstawicielem firmy budowlanej. Przede wszystkim zależało jej na informacji, czy po wyjściu mamy ze szpitala będą mogły wrócić do Grayson Springs. Bardzo się bała, że jej nadzieje są nierealne, bo pożar wyrządził znaczne szkody.

Prawdopodobnie okaże się konieczne znalezienie jakiegoś tymczasowego lokum, dopóki nie zostaną zakończone najpilniejsze prace porządkowe. Pomyślała o domku Andy'ego i Robin, ale natychmiast wykluczyła tę możliwość. Był to stary budynek, podobny do tego, w którym mieszkał Bud Buchanan, choć w o wiele lepszym stanie. Nie nadawał się na mieszkanie dla osoby jeżdżącej na wózku inwalidzkim.

Dzisiejsze słowa doktor Dean zabrzmiały jak odroczenie wyroku, smutna prawda natomiast była taka, że Marcie Grant nie pozostało zbyt wiele czasu. Lisa pragnęła, aby jak najwięcej tego czasu mama mogła spędzić w ukochanym domu.

Zadrżała na widok tak pięknej niegdyś fasady budynku teraz poczerniałej od dymu. Wokół budynku stały dźwigi i ciężarówki, kręcili się robotnicy. Przełknęła łyżę. Nie stało się nic nieodwracalnego, powiedziała sobie.

Przedstawiciel firmy remontowej już na nią czekał; potwierdziłoby Lisy, że przywrócenie Grayson Springs z powrotem do życia zajmie kilka miesięcy. Część domu, która nie została zniszczona przez ogień, będzie się nadawała do zamieszkania za kilka tygodni, po usunięciu szkód spowodowanych przez wodę i dym oraz naprawieniu instalacji elektrycznej.

Powrót mamy do domu wprost ze szpitala okazał się niemożliwy.

Detektyw Watson miał pytanie dotyczące czujników dymu, których stopione szczątki zostały znalezione w pobliżu sypialni Lisy.

- Kto był odpowiedzialny za konserwację alarmu przeciwpożarowego?

Lisa zmarszczyła brwi. Stali na podjeździe, w centrum chaosu. W gorącym wilgotnym powietrzu unosił się swąd spalenizny, do którego zaczynała powoli się przyzwyczajać. Robotnicy pokrzykiwali do siebie nawzajem, ktoś uruchomił piłę łańcuchową. W środku pracowała grupa techników, wynosili z budynku plastikowe torby pełne nadpalonych poczerniałych rzeczy. Materiały dowodowe.

- Chyba Robin... Pani Baker. Albo pan Frye. Każdy, komu się przypomniało. Czemu pan o to pyta?

- Ponieważ w obu czujnikach nie było baterii.

Lisa zadrżała na samą myśl o możliwych implikacjach. Ktoś oczywiście mógł zapomnieć je włożyć, ale... wątpiła w to.

- Naprawdę myśli pan, że to było podpalenie?

- Gdybym myślał inaczej, nie prowadziłbym dochodzenia. - Detektyw Watson zamrugał sennie swoimi żółtymi powiekami. - Zeznała pani, że spała, kiedy wybuchł pożar. Czujniki nie mogły zadziałać, jeśli nie miały baterii. Co panią obudziło?

- Na litość boską. - Jego podejrzliwość była wyczuwalna

jak powiew chłodnego powietrza. - Przysięgam, że nie podłożyłam ognia.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, panno Grant. Już miała zamiar spełnić prośbę detektywa, kiedy coś przykuło jej uwagę w jednym z wywożonych worków.

- Proszę się zatrzymać! - krzyknęła do jednego z funkcjonariuszy, który posłusznie przystanął. - To... moja własność!

Była to Katrina. Cała w sadzy, ze splątanymi włosami, brudna i nadpalona, pozbawiona butów oraz rajstop, lecz wciąż rozpoznawalna.

Lisa wyciągnęła rękę jak w transie i dotknęła sztywnego niebieskiego materiału. Jego stan wskazywał, że lalka została zalana wodą. Błękitne oczy otworzyły się nagle, a Lisa podskoczyła ze strachu. Odniosła niesamowite wrażenie, że Katrina się w nią wpatruje.

Weź się w garść, przykazała sobie.

Watsona pozwolił jej zabrać lalkę. W połowie drogi do Lexington musiała się zatrzymać, by schować ją do bagażnika. Nie mogła znieść pustego spojrzenia plastikowych oczu.

Tak jakby, pomyślała z drżeniem, jechał ze mną duch.

18

Nie wierzę, że kupiłaś to w Wal-Marcie. - Nola popatrzyła z uznaniem na przewiewną białą marynarkę z lnu, którą Lisa włożyła na prostą białą bluzkę. Całości dopełniały klasyczne czarne spodnie. - Całkiem fajne!

- Jak się poszuka, można znaleźć ładne rzeczy. Powinnaś spróbować.

Lisa uśmiechnęła się ukradkiem. Zajadała ze smakiem swoją porcję sałatki z tuńczykiem. Tuńczyk, ułożony na zielonej sałacie i otoczony plasterkami pomidora, był przepyszny. Delektowała się każdym kęsem, ponieważ na taki luksus pozwalała sobie jedynie od czasu do czasu. Siedziała z Nolą w jednej z ich ulubionych restauracji, Fortuni's, położonej w eleganckiej części centrum Lexington. W piątkowe popołudnie lokal tętnił życiem. Ze względu na swoje położenie blisko sądu był bardzo popularny wśród prawników. Właśnie kończyły lunch, gdyż Lisa musiała stawić się w sądzie o pierwszej, a dochodziła dwunasta trzydzieści.

Nola, nałogowa zakupoholiczka, uzależniona od drogich butików skwitowała wzmiankę o Wal-Marcie lekceważącym wzruszeniem ramion.

- Zapomnij o tanich supermarketowych ciuchach, ko-chaniutka. Mam dla ciebie dwa pudła towaru najwyższej jakości. Dobrze, że nosimy ten sam rozmiar.

161

Lisa uśmiechnęła się szeroko do przyjaciółki. Rzeczywiście nosiły ten sam rozmiar, choć Nola była odrobinę niższa i bardziej zaokrąglona we właściwych miejscach. Różniły się natomiast zasadniczo gustem oraz typem urody. Nola, niebieskooka blondynka z burzą loków, miała urodę aniołka. Lubiła jaskrawe kolory, lejące się tkaniny, duże dekolty, krótkie spódniczki i obcisłe sukienki. W jej szafie nie było ani jednej garsonki. Zgadzały się tylko w jednym: obie lubiły nieprzyzwoicie drogie szpilki. Nola, dziedziczka rodzinnej fortuny, nadal mogła sobie pozwolić na ich kupowanie, w przeciwieństwie do Lisy.

- Nie zapominaj, że jestem prawniczką i pracuję w konserwatywnym biurze.

- Toteż przyniosłam ci same klasyczne stroje. Ponadczasowe. Pasujące na każdą okazję. - Mrugnęła. -

Dlatego ci je daję. To moje błędy zakupowe. Nie chcę wyglądać jak nudziara.

- Dziękuję ci bardzo.

- Wiesz, że mówię to z miłością. Ojej, zobacz, kto przyszedł! - zawołała Nola, patrząc na kogoś za plecami przyjaciółki.

- Nie widzę... - Lisa odwróciła się w stronę drzwi.

- Idą już do stolika. - Nola pomachała komuś ręką. - Boże, ale z niego ciacho. No, powiedz, że nie.

- O kim ty...? - Zobaczyła Scotta wraz z grupą prawników. Hostessa prowadziła całe towarzystwo do pokoju dla VIP-ów.

Rzeczywiście w granatowym garniturze wyglądał wspaniale. Zauważył gest Noli i uniósł dłoń na powitanie. Potem powiedział coś do osób, z którymi przyszedł, i ruszył w kierunku stolika. Lisa rozpoznała Pratchetta, Ellis i Kane. Pomachała im. Kane posłała jej lodowate spojrzenie i jedyna z towarzystwa nie odwzajemniła pozdrowienia.

- Pamiętaj, że jest teraz moim szefem - syknęła Lisa do przyjaciółki.
- To cudownie - Nola uśmiechnęła się szelmowsko. - Robiliście to już na jego biurku?
- Nie!
- Nie kłam, że o tym nie myślałaś. -Nie.
- Założę się, że jest świetny w łóżku. I taki umięśniony...
- Nola - szepnęła Lisa z naciskiem, bojąc się, że Scott usłyszy. - Cicho bądź.

Miała ciemną karnację i rzadko się czerwieniła, lecz tym razem oblała się rumieńcem. Rzuciła przyjaciółce groźne spojrzenie. Nie widziała Scotta od środy. Dzwonił do niej poprzedniego wieczora. Powiedział, że ma przed sobą akta Garciów, widział zdjęcie i rzeczywiście, dostrzega zdumiewające podobieństwo. Obiecał, że wyznaczy kogoś, aby przyjrzał się bliżej tej sprawie. Kiedy Lisa wyraziła swój niepokój, zapewnił, że zachowa dyskrecję, dopóki czegoś się nie dowiedzą. Nakazał jej trzymać się od tego wszystkiego z daleka, a ona kazała mu się wypchać. Wtedy on oświadczył, że to polecenie służbowe, a ona się rozłączyła. Wieczorem wpadł do szpitala, ale się minęli, akurat jadła z Andym późną kolację w bufecie na dole. Dziś od rana była bardzo zajęta pracą i gdyby nie umówione spotkanie z Nolą, pewnie nawet nie wyszłaby na lunch. Scott natomiast spędził pierwszą część dnia poza biurem.

Mimo wcześniejszej sprzeczki Lisa ucieszyła się na jego widok, choć zupełnie nie wiedziała czemu.

- Scott! - Nola poderwała się z krzesła, aby go uściskać. Wyglądała pociągająco jak zawsze, w różowej bluzeczce odkrywającej ramiona i czarnej spódniczce w różowe kwiaty, sięgającej do połowy uda. Poza tym miała na sobie tonę biżuterii, a na nogach niebotyczne szpilki.

- Nola. - Scott nie odwzajemnił uścisku. Zawsze zachowywał się wobec niej z rezerwą, Nola natomiast wykazywała drapieżne instynkty wobec mężczyzn, którzy jej się podobali. Popatrzył na Lisę. - Witaj.

- Cześć, Scott. - Popatrzyła na niego zmrużonymi powiekami. Uśmiechnął się czarująco, a jej serce stopniało.

Dobry Boże, pomyślała ze złością. Wcale nie jestem lepsza od Noli. A on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Słyszałam, że jesteś bohaterem - Nola niechętnie wypuściła go z objęć.

- Jak to? - nie zrozumiał.

- Opowiedziałam jej, jak wyniosłeś mnie z płonącego budynku - wyjaśniła Lisa. - Dziewczyna aż się śliniła.

- Tak, od czasu do czasu trzeba przywdziać lśniącą zbroję, żeby nie zardzewiała.

Nola parsknęła śmiechem, a Lisa spojrzała na niego lodowato.

- Jestem dla ciebie damą w opałach? - spytała surowym tonem.

- Raczej księżniczką na wieży. - Ich oczy się spotkały.

- Nie widziałam cię od wieków - wtrąciła Nola, posyłając mu jeden ze swoich promiennych uśmiechów. -
Może się przysiądziesz?

- Scott nie przyszedł sam. - Lisa miała wielką ochotę kopnąć ją pod stołem. - Poza tym my już i tak wychodzimy.

- Zastanawiam się nad zamówieniem deseru.

Nola nigdy nie jadła deserów, gdyż była na nieustającej diecie. Tymczasem Lisa, która owszem jadła desery od czasu do czasu, tym razem bardzo się spieszyła. Nie przejmując się groźną miną przyjaciółki, Nola nadal usiłowała oczarować Scotta uśmiechem oraz ponętym biustem. Lisa widziała tę sztuczkę już setki razy. Oczywiście Scott, podobnie jak nieskończona rzesza mężczyzn przed nim, utkwiał wzrok

w dekolcie dziewczyny. Noli, która była bezwstydną flir-ciarą, właśnie o to chodziło. Od niepamiętnych czasów ostrzyła sobie na niego pazurki, dotąd jednak bez rezultatu. Lisa zawsze podziwiała zdecydowaną postawę przyjaciółki wobec mężczyzn, którzy jej się podobali. „Nola zawsze dostaje to, czego chce”, mówiła ze śmiechem tamta. Taka była prawda. Tym razem jednak nie było jej wesoło. Wolą się nie zastanawiać dlaczego. Scott musiał poczuć na sobie ciężar jej lodowatego spojrzenia, ponieważ oderwał wzrok od dekoltu Noli i popatrzył Lisie w oczy.

- Gwarantuję, że jesteśmy lepszym towarzystwem niż ci, z którymi przyszedł - oświadczyła Nola. - Wyglądają mi na nudziarzy.

- Nie bądź taka złośliwa. - Lisa uśmiechnęła się z przymusem.

Przyjaciółka jednak nie zwracała na nią uwagi.

- Bardzo bym chciał - powiedział Scott, zerkając na Nole. Tym razem na jej twarz. Posłał jej uśmiech, który bardzo się nie spodobał Lisie. - Niestety to spotkanie służbowe. Nie mogę się wykręcić. Nawet dla towarzystwa dwóch pięknych kobiet.

Lisa skrzywiła się ironicznie. Nadal jednak nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Szkoda - Nola ślicznie wyduła wargi. Nagle twarz jej się rozjaśniła. - Ale wiesz co? Dobrze, że się spotkaliśmy. Mark Thomas... Pamiętasz go? Mark Thomas i ja mieliśmy iść razem z Lisą i Joelem na jutrzejsze przyjęcie w klubie z okazji Święta Niepodległości. Ale., hmm... Właśnie z nim zerwałam, więc to nieaktualne. A bardzo chciałabym tam pójść. Potrzebuję towarzysza. - Jej uśmiech był bardziej promienny niż kiedykolwiek. - Może ty miałbyś ochotę zabrać mnie na to przyjęcie?

Lisa słuchała tego z rosnącym przerażeniem. Wpatrywała się z napięciem w Scotta.

-Jak najbardziej - oświadczył z szerokim uśmiechem.

Lisa zaniemówiła ze zdumienia. Scott wpatrywał się w Nolę, Nola w Scotta.

- Naprawdę? - zawołała jak podekscytowana mała dziewczynka, jednak natychmiast się opanowała. - Wspaniale. Na pewno miło spędzimy czas. Przyjęcia w country clubie zawsze są udane.

O ile Lisa się orientowała, Scott nie był dotychczas na żadnym. Żeby móc wejść na teren klubu, trzeba było mieć kartę członkowską lub zostać zaproszonym. Już jako mała dziewczynka pływała tam i grała w tenisa, chodziła na doroczne przyjęcia, uważając to za oczywistą część swojego życia. Lecz Scott należał do innego świata.

- Zadzwoń do ciebie później i ustalimy szczegóły, dobrze? - Nie przestawał się uśmiechać. Lisa poczuła się nagle jak piąte koło u wozu. Nie spodobało jej się to uczucie.

- Masz mój numer?

- Znajdę. - Popatrzył na Lisę, a ona prędko odwróciła wzrok. - Nie popsuję ci chyba randki, co, księżniczko?

Od konieczności udzielenia odpowiedzi uwolniło ją nadejście kelnerki.

- Podać paniom coś jeszcze?

- Dziękuję. Tylko rachunek - powiedziała ostrzej, niż miała zamiar.

- A co z deserem? - spytał Scott.

- Chyba innym razem - odparła z żalem Nola, a Lisa omal nie przewróciła oczami. Ta dziewczyna powinna zostać aktorką, pomyślała.

- Nie znoszę wychodzić zaraz po jedzeniu, ale naprawdę muszę iść. - Lisa położyła na stole dwadzieścia dolarów. Dokładnie wiedziała, ile wynosi jej część rachunku,

ponieważ zawsze zamawiała to samo. - Muszę być w sądzie o pierwszej. Nie odważyłabym się spóźnić.

- Tak, słyszałem, że masz wymagającego szefa - odezwał się Scott z przesadzonym południowym akcentem.

Nola parsknęła śmiechem, który Lisie przypominał zgrzyt paznokci przesuwających się po tablicy.

Wstając od stołu, popatrzyła z niechęcią na Scotta. To on tak ją denerwował. Nola była po prostu sobą.

Pożegnała się z nimi, rzucając zdawkowe „cześć” i ruszyła do drzwi.

- Lisa, zaczekaj! - zawołała przyjaciółka, biegnąc za nią. - Przecież muszę ci dać te pudła.

Scott nadal stał przy stoliku i mówił coś do kelnerki. Lisa wyszła z sali.

- Kochanie, czy weszłam ci w paradę? - zapytała zdyszana Nola.

Lisa zdała sobie sprawę, że idzie za szybko jak na osobę, która nie ma żadnych pretensji. Zwolniła.

- Nigdy bym się z nim nie umówiła, gdybym wiedziała, że masz na niego ochotę. Przecież wiesz - ciągnęła przyjaciółka.

Najwyraźniej niezadowolenie Lisy było wyczuwalne, a znając Scotta, wiedziała, że z pewnością nie umknęło jego uwadze. Niedobrze, pomyślała, przywołując na twarz sztuczny uśmiech.

- Nie mam.

- Na pewno? Bo wygląda to wprost przeciwnie.

Lisa podskoczyła na dźwięk klaksonu, co jej uświadomiło, w jakim napięciu żyje ostatnio. Ulica, przy której mieściła się restauracja, należała do ruchliwych, a i pora sprzyjała korkom. Nic więc dziwnego, że kierowcy trąbili. W powietrzu unosił się zapach spalin. Słońce odbijało się od przeszklonego budynku naprzeciwko. Lisa przesłoniła oczy ręką, czując powracający ból głowy, który na jakiś czas udało jej się stłumić tabletką.

- Lisa?

- On mnie zawsze wyprowadza z równowagi. - Westchnęła z irytacji. - Słyszałaś te jego teksty? Od dwunastu lat nazywa mnie księżniczką, chociaż doskonale wie, że tego nie cierpię.

- Och. - Nola nie wyglądała na przekonaną. - Zdążyłam już zapomnieć o waszych wiecznych kłótniach. Hmm, ale gdybyś jednak uznała, że ci to przeszkadza, po prostu powiedz. Natychmiast odwołam nasze spotkanie. Solidarność jajników to moje życiowe motto.

Lisa musiała się roześmiać. Wiedziała, że Nola mówi szczerze. Wystarczyłoby jedno słowo. Nie ma mowy, pomyślała.

- Skądże znowu. Tylko że to jednak mój szef. Nie przyszło ci do głowy, że mogę się czuć niezręcznie, będąc na przyjęciu w jego towarzystwie?

- Szczerze mówiąc, nie myślałam głową - odparła Nola z łobuzerskim uśmiechem.

- Rozumiem.

- Jakie to zresztą ma znaczenie, czy Scott jest twoim szefem czy nie? Chyba że planujesz przelecieć Joela na środku parkietu. Czeka, powiem mu to, będzie wniebowzięty. - Nola otworzyła bagażnik swojego białego lexusa.

- Nie planuję i ani mi się waży. - Podobne oświadczenie było całkiem w stylu Noli. - To po prostu niezręczna sytuacja.

Lisa otworzyła bagażnik jaguara i postawiła ciężkie brązowe pudło obok Katriny i albumu z fotografiami, który udało jej się ocalić. Odwróciła wzrok od lalki, której widok wciąż przyprawiał ją o gęsią skórę. Nola podała jej drugie pudło.

- Lisa? - Usłyszała głos za swoimi plecami. Postawiła pudło, bo nagle wydało jej się wypełnione ołowiem i stanęła oko w oko z Bartym. Wysoki i przystojny,

o błyszczących niebieskich oczach i siwych, idealnie przystrzyżonych włosach, uśmiechał się promiennie, jakby szczerze go ucieszył jej widok, choć doskonale wiedziała, że w duchu przeklinał los, który sprawił że znaleźli się o tej samej porze na tym samym ciasnym parkingu. Pomyślała ze smutkiem, jak mylące potrafią być pozory. Bo jej ojciec wyglądał jak sędzia, godny szacunku, odpowiedzialny, uczciwy człowiek honoru. Ostatni kontakt, jaki z nim miała, był telefoniczny. Zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce, żeby dzwoniła, gdyby czegokolwiek potrzebowały, ona lub mama. Lisa nie zamierzała odpowiadać; wiedziała, że zadzwonił wyłącznie z poczucia obowiązku. Jego drogi garnitur, równa opalenizna i dobry humor budziły jej niechęć. Wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej. Lisa pomyślała o mamie.

- Cześć, Barty - przywitała go chłodno. Chyba zamierzał ją przytulić, ale cofnął się w ostatniej chwili. - Myślałam, że odwołałeś lunch, bo wybierałeś się na zawody Todda. Czekał... A może chodziło o przedłużający się proces? Nigdy nie mogłam nadażyć za twoimi wyjaśnieniami.

Nola, która знаła układy między Lisą a jej ojcem, podeszła, żeby udzielić wsparcia przyjaciółce. Barty nawet nie mrugnął okiem, jego uśmiech pozostał niewzruszony.

- Zawody skończyły się wcześniej. Odbywały się tutaj, w mieście, w liceum imienia Paula Dunbara. Jill i Todd postanowili wybrać się do Danville, żeby zwiedzić uczelnię, a ja zostałam na łodzi. Wtedy zadzwonił Sanford i umówiliśmy się na szybki lunch przed moim powrotem do domu.

- Przykro mi z powodu pożaru, Liso - odezwał się Sanford Peyton, witając się z nią skinieniem głowy. - Miło cię widzieć, Nolu.

Do tej pory nie zwróciła na niego uwagi, pomimo że stał obok Barty'ego. Jak zwykle, pomyślała. Ojciec Joela nie

dorównywał synowi atrakcyjnym wyglądem, choć potrafił być niezwykle uroczy, kiedy chciał. Łysiejący, o szerokiej klatce piersiowej, potężnie zbudowany, mniej więcej w wieku Barty'ego, z zaczeską z siwych włosów wyglądał jak emerytowany mafioso. Lisa знаła go całe życie. Był bliskim przyjacielem i współnikiem jej ojca. Odkąd spotykała się z jego synem, widywała Peytona seniora tatę częściej niż własnego ojca. Nie mogła powiedzieć o nim nic złego, poza tym, że czasem źle traktował Joela. Ów fakt oraz długoletnia przyjaźń z Bartym wystarczyły, żeby znalazł się na czarnej liście Lisy.

- Dziękuję - odrzekła. Tymczasem Nola odpowiedziała na powitanie promiennym uśmiechem.

Zachowywała się tak w obecności każdego wolnego mężczyzny, a Sanford był wdowcem.

- Nola, no właśnie - powiedział z zachwytem Barty, obrzucając dziewczynę pełnym podziwu spojrzeniem, które nie umknęło uwadze Lisy. - Nola Hampton. Boże, nie widziałem cię od czasów, kiedy chodziłaś do liceum. Ja...

- Przepraszam, że przerywam, ale muszę lecieć. O pierwszej mam być w sądzie. Mogłabyś się odsunąć, Nolu? - poprosiła.

- A... tak - Przyjaciółka cofnęła się o kilka kroków, aby Lisa mogła zamknąć bagażnik.

- Mój Boże, co to? - wychrypiął nagle Barty, przerywając swój wywód, jakie to wspaniałe panny z nich wyrosły.

Lisa zamarła z ręką na klapie bagażnika i popatrzyła ze zdumieniem na ojca. Tymczasem on wpatrywał się w Katrinę. Bez ruchu i niemal bez tchu.

19

Lisa popatrzyła z uwagą na ojca. Mogłaby przysiąc, że jego twarz zbladła pomimo opalenizny.

- Moja stara lalka - odpowiedziała powoli. - Jedna z niewielu rzeczy, jakie przetrwały pożar.

- Ach tak. - Barty oderwał wreszcie wzrok od Katriny i napotkał świdrujące spojrzenie córki. -

Rzeczywiście. Twoja lalka. Sam nie wiem, co sobie pomyślałem. Po prostu jest spalona i...

Sanford ujął go pod ramię. Jeżeli nawet zauważył dziwną reakcję przyjaciela, jego promienny uśmiech skierowany do Lisy tego nie zdradzał.

- Nie zatrzymujmy dziewczyny - rzekł. - O pierwszej musi być w sądzie.

Barty popatrzył najpierw na niego, potem na Lisę.

- Rzeczywiście - zreflektował się. Na jego górnej wardze widniały kropelki potu, których Lisa wcześniej nie zauważyła. - Sędziowie nie lubią spóźnialskich. - Zerknął na zegarek. - Już dwunasta pięćdziesiąt, więc...

- Muszę jechać. - Nie miała czasu do stracenia, później się zastanowi nad dziwnym zachowaniem ojca.

Na razie najważniejsza była praca. Zatrzasnęła bagażnik, szybko się pożegnała ze wszystkimi i wsiadła do samochodu. Wyjeżdżając z parkingu, zerknęła we wsteczne lusterko. Nie zobaczyła Noli, natomiast Sanford i Barty stali dokładnie

171

w tym samym miejscu, w którym ich zostawiła. Rozmawiali o czymś, patrząc w jej kierunku.

Zastanawiała się, o czym tak rozprawiają. Widok Ka-triny najwyraźniej wstrząsnął ojcem.

Na tę myśl Lisa zadrżała.

Czyżby Sanford zauważył reakcję Barty'ego? Czy odprowadzając wzrokiem samochód Lisy, rozmawiali o Ka-trinie?

Nie miała możliwości, by się tego dowiedzieć, ani czasu, by o tym pomyśleć. Za chwilę spóźni się do sądu po raz drugi w ciągu jednego tygodnia, a to wprost niedopuszczalne. Zaparkowała pod gmachem na skrawku wolnej przestrzeni między śmietnikiem a jakąś niedbale ustawioną ciężarówką, chwyciła z tylnego siedzenia swoją nową teczkę i pognąła do sali rozpraw numer dziewięć. Usiadła w chwili, kiedy zegar zaczął wybijać pełną godzinę. Leroy Jones, który reprezentował oskarżenie, uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- Wiedziałem, że zdążysz - szepnął.

- Proszę wstać, sąd idzie! - rozległo się wołanie.

To była sprawa o defraudację, sekretarka rady parafialnej została oskarżona o kradzież ponad stu tysięcy dolarów z funduszu przeznaczonego na remont kościoła. Propozycja ugody została odrzucona, wspólnota zamierzała ogłosić bankructwo. Była to typowa zagrywka mająca na celu skłonienie kolejnych oskarżonych do przyjęcia ugody i zaoszczędzenia wszystkim czasu oraz pieniędzy straconych na proces. Lisa spędziła kolejne dwie godziny na podpowiadaniu Jonesowi danych, jakich potrzebował: sum z wyciągów bankowych, numerów kart kredytowych, treści informacji z poczty elektronicznej oraz rachunków za telefon. Oskarżona była hazardzistką, Lisa sprawdziła wszystkie kasyna w okolicy, w których mogła przegrać ukradzione pieniądze. Kobieta popełniła błąd,

nie przyjmując warunków ugody. Spędziłaby tylko cztery miesiące w więzieniu, a tak czekało ją od trzech do pięciu lat. Gorzka pigułka do przełknięcia dla oskarżonej oraz jej adwokata.

Lisa wróciła do biura dopiero przed piątą. Było piątkowe późne popołudnie, a wszyscy jeszcze siedzieli w pracy. Z żalem pomyślała o kancelarii w Bostonie, gdzie prawie nigdy nie zostawała po godzinach, po czym skupiła się, podobnie jak reszta kolegów, na przygotowywaniu materiałów do kolejnej rozprawy. Zajmowała się tą konkretną sprawą od miesiąca, właściwie tylko sprawdzała to, co dotychczas zrobiła. Zajęcie wymagało dużego skupienia, gdyż musiała dopilnować, aby każde stwierdzenie zgadzało się w najdrobniejszym szczególe. Dane zostały już wprowadzone do systemu i przesłane obronie, rozprawę wyznaczono na poniedziałek. Oskarżycielem była Kane, więc Lisa tym bardziej nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

- Jak tam proces?

Podskoczyła, słysząc za plecami głos Scotta. Nigdy wcześniej nie zamienił z nią ani słowa, kiedy pracowała przy swoim biurku, a dziś sprawiał wrażenie, jakby robił to codziennie. Jego szerokie ramiona przesłaniały jej widok na resztę pomieszczenia. Świadoma, że wszyscy wokół nadstawiają uszu z ciekawości, co też szef ma do powiedzenia osobie, którą do tej pory traktował jak powietrze, oparła się pokusie zerknięcia na niego z wyrzutem i przesunęła się z krzesłem, żeby móc swobodnie patrzeć mu w oczy bez groźby skręcenia sobie karku.

- Bardzo dobrze. Jestem pewna, że ława przysięgłych uzna oskarżoną za winną. - Proszę bardzo, profesjonalistka w każdym calu. Była dumna ze swojego opanowania.

- To samo mówi Jones.

To po co mnie pytasz?, miała na końcu języka.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytała, przypomniawszy sobie w porę, że jest w pracy i rozmawia z szefem. Uśmiechnął się do niej. Nawet w niepochlebnym świetle jarzeniówek podkreślającym wszystkie zmarszczki wciąż na jego widok brakło jej tchu w piersiach.

- Nie mogę nigdzie znaleźć numeru Noli.

- Chcesz, żebym ja ci go dała? - Lisa usiłowała zachować pozory opanowania.

- Tak, poproszę.

- Osiemset czternaście, dziewięćdziesiąt, trzydzieści cztery - wyrecytowała, gotując się ze złości, tonem słodkim jak miód.

- Osiemset czternaście, dziewięćdziesiąt, trzydzieści cztery? - powtórzył, wklepując cyfry do rejestru swojej komórki.

- Tak. - Twarz zaboląła ją od sztucznego uśmiechu.

- Dzięki - powiedział, wkładając telefon z powrotem do kieszeni. - A przy okazji, spotkałem dziś twojego tatę. W Fortuni's. Przyszedł tuż po waszym wyjściu.

Rozmowa o Barty był niemal tak samo nieprzyjemna, jak wizja randki Scotta z Nolą.

- Spotkaliśmy się na parkingu - odparła tonem niezachęcającym do dalszej pogawędki. Co prawda przez moment się zastanawiała, czy nie wspomnieć mu o dziwnej reakcji Barty'ego na widok Katriny, lecz cała ta sprawa wydała jej się zbyt skomplikowana, a miejsce było nieodpowiednie, zbyt wielu świadków.

Poza tym chyba nie bardzo miała ochotę zwierzać się Scottowi. Ciekawe dlaczego?, pomyślała z irytacją.

-Wiesz... Odnoszę wrażenie, że jesteś na mnie zła - wyznał, przyglądając jej się badawczo.

Czyżby?, chciała go zapytać. Zamiast tego jednak wzruszyła obojętnie ramionami i rzuciła zdziwionym tonem:

- Dlaczego miałabym być zła?

- Ty mi powiedz.

- Nie potrafię, ponieważ to nieprawda. Słuchaj, mam robotę do skończenia.

Ostentacyjnie odsunęła się od niego i wróciła do pracy. To znaczy patrzyła w ekran komputera, nie rozróżniając liter.

- Słyszałem, że byłaś wczoraj w Grayson Springs. Nadzieja, że szybko się go pozbędzie prysła jak bańka mydlana. Scott wszedł za przepierzenie i stanął tuż za plecami Lisy. Chociaż na niego nie patrzyła, każdym nerwem czuła jego obecność. Koledzy musieli nieźle wyęźać słuch. Ścianki działowe były dźwiękoszczelne.

Odwróciła się razem z krzesłem, sprawiając, że Scott się cofnął. Stał jednak na tyle blisko, by Lisa musiała przechylić głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy.

-No i?

- Watson jest przekonany na dziewięćdziesiąt procent, że to było podpalenie.

- Kiedy z nim rozmawiałeś? - Jej żołądek zacisnął się nagle.

- Dzwonił do mnie przed godziną.

- Co takiego? Informuje cię o sprawie?'

- Znamy się od dawna. Poprosiłem go.

- Wspominał, że jestem jego główną podejrzaną?

Na ustach Scotta pojawił się nikły uśmiech. Lisa poczuła nagłą falę pożądania. Cholerna Nola, pomyślała.

- Tak, coś tam mi wspomniał. Na co ja mu powiedziałem, że byłaś jedyną osobą, która omal nie spłonęła żywcem w tym pożarze. Gdybyś podpaliła dom dla pieniędzy, z całą pewnością zadbałabyś o zapewnienie sobie drogi ucieczki.

- Bardzo słuszny tok rozumowania. Dziękuję ci.

- Proszę.

- Mogę ci pomóc w czymś jeszcze? - spytała chłodno,

powtarzając sobie, jak bardzo go w tej chwili nie lubi.

- Naprawdę muszę zabierać się do pracy. Chciałabym wyjść z biura przed północą.

- Właściwie tak - odparł, celowo ignorując jej złośliwość. - Masz plany na dzisiejszy wieczór?

Zacisnęła kurczowo palce na oparciu krzesła. Popatrzyła mu w oczy. Wyczytała z nich, że nie myślał o tym samym co ona.

- Mam nadzieję, że to nie jest wstęp do zaproszenia mnie na randkę, bo jeśli jest, odpowiedź brzmi „nie”

- powiedziała lekkim tonem. Aby ukryć rozczarowanie? Boże, miała nadzieję, że nie.

- Chyba zapomniałaś o mojej zasadzie nieumawiania się z pracownikami - odrzekł Scott z uśmiechem. - Chciałem ci jedynie przypomnieć, żebyś uważała. Nie chodź sama w odludne miejsca po zmroku i takie tam.

- Nie martw się, będę wszędzie chodzić z-Joelem.

- Pamiętaj. - Nie połknął przynęty. Wyjął z kieszeni telefon, by przeczytać wiadomość tekstową, która właśnie nadeszła. - Muszę lecieć. Odwożę tatę na odwyk do Nashville. Wrócę jutro.

- Och! - Jej irytacja ustąpiła miejsca trosce. Czekala go trudna podróż. - Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

- Taak. - Zerknął na nią przeciągle. - Pamiętaj o pożarze i nie rób niczego głupiego, zgoda?

Nagle Lisa zdała sobie sprawę, że wcale nie przyszedł do niej po numer Noli. To był jedynie pretekst i okazja, żeby jej zagrać na nerwach. Przyszedł do niej na oczach wszystkich pracowników, ponieważ chciał, by wiedziała o jego wyjeździe. Martwił się o jej bezpieczeństwo. Niechciana zazdrość, która nie opuszczała jej od obiadu, nieco osłabła.

- Bałwan - powiedziała bez złości.

Scott przez moment przyglądał jej się bez słowa, po czym uśmiechnął się krzywo, uniósł dłoń na pożegnanie i odszedł.

- Lisa? - Zaraz po jego wyjściu zjawiała się Gemmel.

- Słucham?

- Wszystko w porządku? - Za plecami Gemmel stanęła zdyszana Jantzen. Patrzyła na Lisę szeroko otwartymi oczami ponad ramieniem koleżanki.

- No pewnie. - Lisa zmarszczyła czoło.

Gemmel obejrzała się szybko, chcąc mieć pewność, że Scott naprawdę wyszedł, i wsunęła się za przepierzenie. Jantzen tuż za nią.

- Czy ty przed chwilą nazwałaś Buchanana bałwanem? - Gemmel przyglądała jej się z uwielbieniem.

O Boże, westchnęła w duchu Lisa. Zapomniała zupełnie, że rozmowa ze Scottem może zostać podsłuchana. Wpatrywała się bez słowa w koleżankę. Nie bardzo miała ochotę się przyznawać do nazwania szefa bałwanem. Taka historia obiegłaby biuro lotem błyskawicy i skupiła niepotrzebną uwagę wszystkich na jej stosunkach ze Scottem. Żadne z nich by na tym nie zyskało. Po chwili przy jej biurku zebrała się rzesza ciekawskich współpracowników.

- Jaja ze stali! - zapiała z podziwem Gemmel, biorąc jej milczenie za przyznanie się do tego.

- Nazwała Buchanana bałwanem!

- Zwolnił ją?

- Co on na to?

- Za co go tak nazwała?

- Nowa dziewczyna jest super.

- Pewnie,jdługo nie zagrzeje tu miejsca.

Tamci rozmawiali między sobą, przyglądając się jej z niezdrową fascynacją.

- Opowiedz nam wszystko. - Jantzen nadal miała oczy wytrzeszczone ze zdumienia.

- Nie ma o czym - westchnęła Lisa, patrząc bezradnie na chciwych sensacji kolegów. - To był żart, a on się nie obraził.

Nie sądziła, by ktokolwiek wierzył w jej zapewnienia, ale zrobiła, co mogła. Rozmyślała o całej tej niezręcznej sytuacji, wyjeżdżając z biurowego parkingu tuż po ósmej wieczorem. Padała z głodu i zmęczenia, przerażała ją sama myśl o jutrzejszej podwójnej randce. O tej porze w piątek jak zwykle wszędzie tworzyły się korki, tym bardziej że w amfiteatrze miał być dziś koncert. Zatrzymywała się co chwila, jadąc Nicholasville Road w kierunku szpitala. Nagle przypomniała sobie przedziwną reakcję Barty'ego na widok Katriny. Nie miała wątpliwości, że ojciec był wstrząśnięty. Wiedział, że lalka jest w bagażniku. Czy trudno byłoby mu ją wykraść z auta zostawionego na opustoszałym szpitalnym parkingu? Z pewnością nie.

Na wszelki wypadek pojechała zatem do hotelu i przeniosła rzeczy z bagażnika do swojego pokoju. Włamanie się do monitorowanego pokoju hotelowego to znacznie trudniejsze przedsięwzięcie, pomyślała, upychając pudło z Katriną w najciemniejszym kącie szafy. Poza tym Barty nie będzie wiedział, gdzie szukać. Lalka była bezpieczna. Lisa wzięła szybki prysznic i przebrała się. Postanowiła porozwieszać rzeczy od Noli. Z uznaniem patrzyła na przepiękne ciuszki, bardziej kolorowe i obcisłe niż jej ubrania do pracy, ale raczej stonowane, jeśli zważyć, że należały do Noli. Trzy pary wysokich szpilek, czarne, beżowe oraz szkarłatne, idealnie dopasowane do cudownej sukni ze szkarłatnego jedwabiu. Zestawu dopełniała biżuteria, Nola uwielbiała świecidełka. Lisa spieszyła się bardzo, lecz rozpakowanie pudeł zajęło jej nieco więcej czasu, niż przypuszczała, i kiedy wychodziła z hotelu, zaczynało już się ściemniać. Po słońcu została jedynie

pomarańczowa poświata, niebo purpurowiało, pojawiły się na nim pierwsze gwiazdy.

Nie włóczy się po zmroku, zabrzmiały jej w głowie słowa Scotta. Poczuli się bardzo nieswojo. Skoro mieli do czynienia z podpalaczem, a motyw finansowy nie wchodził w grę, to mogło chodzić jedynie o dokumenty sprawy Garcíów.

Istniały inne możliwości, usiłowała się przekonywać. Te, które zasugerował Watson. Może ktoś miał ochotę na ich ziemię. Dostawały z matką propozycje od rozmaitych deweloperów, pragnących kupić posiadłość. Albo któryś z robotników coś ukradł i podłożył ogień, by zatrzeć ślady. A może jakiś sąsiad rzeczywiście bardzo ich nie lubił. Mogłaby tak wyliczać bez końca, co wydało jej się całkiem pocieszające. Powiązanie pożaru ze sprawą Garcíów było zbyt okropne. Motyw i lista podejrzanych budziły grozę. Prześladował ją widok Barty'ego wpatrującego się przerażonym wzrokiem w Katrinę. Wołała nie wysnuwać żadnych wniosków. Była za bardzo zmęczona, wystraszona i głodna. To ostatnie przynajmniej łatwo załatwić, uznała.

Ponieważ miała dość szpitalnej kuchni, postanowiła wstąpić do McDonalda oddalonego od szpitala o dwie przecznice. Czekała na swoją kolej, by włączyć się do ruchu, popijała dietetyczną colę i zjadała kanapkę z rybą. Było już ciemno, światła mijających ją aut jeszcze to podkreślały.

Zwróciła uwagę na białego forda explorera głównie dlatego, że nie miał włączonych reflektorów.

Zmarszczyła brwi, zerkając w boczne lustro, a po chwili szeroko otworzyła oczy. Wydawało się jej, iż ten sam pojazd widziała na hotelowym parkingu, kiedy opróżniała bagażnik.

Miała wtedy upiorne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się uważnie, ale nie dostrzegła nikogo

podejrzanego. Przyjrzała się także samochodom. Jednym z nich był właśnie biały ford explorer z przyciemnianymi szybami. DFY 347, zapamiętała numery na tablicy rejestracyjnej.

Na ostatnim skrzyżowaniu przed zjazdem do szpitala Lisa odwróciła głowę, by odczytać tablicę rejestracyjną jadącego za nią auta. Miała z tym trudności, gdyż podejrzany samochód jechał w sznurze innych pojazdów.

Zapaliło się zielone światło i musiała ruszyć. Jechała wolno, obserwując poczynania kierowcy białego forda. Pojechał prosto. Udało jej się odczytać dwie ostatnie cyfry rejestracji. Czterdzieści siedem.

Dwa identyczne samochody z rejestracją kończącą się tą samą dwucyfrową liczbą? Niemożliwe, pomyślała. Poczła zimny dreszcz unoszący włoski na karku. Po chwili zobaczyła, że ford wjeżdża na szpitalny parking następną bramą i serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

20

Czym prędzej zaparkowała na jednym z miejsc zarezerwowanych specjalnie dla rodzin pacjentów z ostrego dyżuru. Znajdowało się niedaleko wejścia do szpitala i było jaskrawo oświetlone. Wyskoczyła z samochodu i wbiegła do środka. W poczekalni, wśród ludzi, poczuła się bezpieczniej i zwolniła kroku. Jednak idąc do windy, cały czas oglądała się przez ramię. Na szczęście przy drzwiach czekało już kilka osób, za sobą także nie zauważyła nikogo podejrzanego. Rytm serca i oddechu powoli wracał do normy. Po raz pierwszy poczuła prawdziwe zagrożenie.

Powinnam zadzwonić na policję, pomyślała, biegnąc korytarzem czwartego piętra w stronę pokoju matki. Wiedziała, że tego nie zrobi. Z tego samego powodu, dla którego nie wspomniała Watsonowi o dokumentach.

Zanim komukolwiek o tym powie, sama musi wyjaśnić zagadkę swojego podobieństwa do Garcíów. U mamy zastała Andy'ego. Dwójka starych przyjaciół oglądała razem mecz tenisowy. Na widok Lisy Martha ściszyła dźwięk, a Andy wstał.

- Cześć, mamó. Witaj, Andy. - Uśmiechnęła się na powitanie i szybko zerknęła w stronę okna. Żaluzje były odsłonięte, a pomieszczenie jasno oświetlone. Każdy, kto chciał, mógł tutaj zajrzeć z parkingu. Zadrżała na tę myśl.

181

- Miło cię widzieć, Lisa. - Andy przywitał ją skinieniem głowy.

Uściskała go prędko i wyjrzała przez szybę. Parking był prawie pełen, kilka samochodów jeździło w kółko w poszukiwaniu wolnego miejsca. Widziała jedynie żółte światła, nie potrafiła rozpoznać marki żadnego z aut. Mniejsza z tym, uznała, zaciągając żaluzje.

Jesteś już bezpieczna, mówiła sobie, usiłując uspokoić rozedrgane nerwy. Przyrzekła sobie solennie, że tej nocy nie opuści szpitala. Poczowała nagłą potrzebę, by zadzwonić do Scotta i opowiedzieć mu, co się stało. Nic się nie stało, zgromiła się. Miała jedynie podejrzenie, że ktoś ją śledził. Niepotwierdzone podejrzenie.

Uspokój się. Ostatnie, czego pragnęła, to zdenerwować mamę. Później sprawdzi numer rejestracyjny w bazie danych.

- Zawsze... uwielbiałam tenis - powiedziała ze smutkiem Martha, kiedy Lisa pochyliła się, by pocałować ją w policzek.

- Świetnie wyglądałaś w tych kusych spódniczkach. - Andy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Prawda? - Martha odwzajemniła uśmiech, po czym przeniosła całą uwagę na córkę. - Jak... ci minął... dzień?

Opowiedziały sobie nawzajem wydarzenia minionych godzin. Lisa zdecydowała się jak zwykle na wersję okrojoną. Poprosiła Andy'ego, aby przestawił jej samochód, gdy wychodził. Kiedy przyjechała, nie było wolnych miejsc, wyjaśniła, a na miejscach dla rodzin ciężko chorych pacjentów nie można zbyt długo parkować. Spełnił jej prośbę i wrócił oddać kluczyki. Pani Wettig, przyjaciółka mamy, wpadła na pół godziny, salowa przyszła pościelić łóżko. Kiedy wreszcie zostały same, Lisa postanowiła poruszyć temat, który nie dawał jej spokoju od wczesnego popołudnia.

- Pamiętasz taką lalkę... - zaczęła ostrożnie. - Dużą, z czarnymi włosami, niebieskimi oczami, ubraną w aksamitną sukienkę? Dałam jej na imię Katrina.

Siedziała obok łóżka Marthy na krześle zwolnionym przez Andy'ego. Oglądały razem wiadomości i rozmawiały, mama trzymała pilota. Lisa wpadła na pomysł, żeby przynieść lalkę i pokazać, o którą jej chodzi. Nie zrobiła tego jednak z obawy, że widok Katriny w tak opłakanym stanie przypomni мамie o pożarze, nawet jeśli zabawka nie kojarzyła się jej z niczym innym.

- Miałaś... mnóstwo lalek... - Martha zmarszczyła brwi. - Trudno mi... przypomnieć sobie... tę jedną konkretną... Dlaczego pytasz?

- Nie pamiętam, skąd ją mam.

- Dostawałaś lalki... przy każdej... okazji... urodziny... święta... Zawsze, kiedy... ktoś mnie pytał... co byś chciała... dostać... mówiłam, że lalkę. Uwielbiałaś je.

Na twarzy Lisy pojawił się uśmiech. Urodziny i święta jej dzieciństwa to był cudowny czas. Mama pilnowała, by każda uroczystość stała się wyjątkowa. Lisa zupełnie tego wtedy nie doceniała.

- Byłam rozpuszczonym bachorem, prawda?

- Wcale nie - zaprzeczyła Martha z uśmiechem. - Może trochę... cię rozpieszczałam... Lubiłam to... robić.

Czuła opór przed skierowaniem rozmowy na ojca. Jego imię rzadko padało między nimi. Lisa nie lubiła w ogóle o nim myśleć, a Marthę niezwykle smuciły wspomnienia owego krótkiego okresu, kiedy byli rodziną. Tego wieczora Lisa postanowiła się przełamać, chciała się czegoś dowiedzieć-

- A ojciec... - Mama nie lubiła, kiedy mówiła o nim Barty - także kupował mi lalki?

- Zawsze... - Martha się uśmiechnęła. - Miał bzika... na twoim... punkcie.

Lisa poczuła się, jakby otrzymała cios w żołądek.

- Co się zmieniło? Dlaczego nas zostawił? - pytania jedno po drugim padły z jej ust, zanim zdążyła je powstrzymać. Nigdy wcześniej się nie zastanawiała, czemu Barty nagle zniknął z ich życia. Duma jej na to nie pozwalała, trudno jej było się przyznać do kompleksu odrzucenia.

- Och, Annaliso. - Matka popatrzyła na nią ze współczuciem. Dziewczyna zacisnęła zęby. - Nie zostawił... nas. Tylko... mnie.

- Mnie również. Zostawił nas obie. - Lisa z trudem panowała nad głosem. - Zostawił rodzinę.

- Odszedł ode mnie - Martha westchnęła i powtórzyła z naciskiem: - Ode mnie. Urodziłaś się... po sześciu latach... od naszego ślubu. Oboje pragnęliśmy... dzieci. Nie mogłam... zajść... w ciążę. Kiedy wreszcie... się udało... to było... jak cud. On wtedy... został... kongresmenem. Kandydował do... senatu. Wspaniały czas... Sanford był szefem... kampanii ojca..., a Jean..., pierwsza żona... San-forda..., miała wkrótce urodzić... Joela. Biedaczka... nie żyje... od piętnastu lat. Mieszkałyśmy razem... kiedy nasi mężowie... podróżowali. Potem ty przysłaś na świat. Urodziłaś się... w siódmym miesiącu... ciąży. Bardzo się o ciebie... bałam. Zabrałam cię... do domu... do Grayson Springs. Babcia i dziadek... jeszcze wtedy żyli. Zajmowali się... tobą i mną. Barty'emu to się... nie spodobało. Że schroniłam się... pod skrzydła rodziców. Było między nami na tym tle... wiele nieporozumień. Mój tato... go nie lubił. Uważał, że ożenił się... ze mną... dla pieniędzy. Ja sama... zaczynałam mieć... wątpliwości. Potem Barty przegrał wybory. Pozostał... kongresmenem... w wiecznych rozjazdach... między Grayson Springs... a Waszyngtonem. Ale ja widziałam... że porażka bardzo go... dotknęła. Zmienił się... Stosunki między nim... a moim ojcem stały się... jeszcze bardziej napięte. Barty chciał... żebyśmy wrócili...

do naszego domu... w Silver Spring. Wtedy... zachorowała mama... i nie mogłam... jej zostawić. Zostałyśmy... ty i ja. Coraz rzadziej... go widywałam. Rodzice... zmarli..., a on stracił... miejsce w Kongresie... Dopiero wtedy... wprowadził się... do Grayson Springs..., ale było już... za późno. Po roku... wzięliśmy rozwód.

- A po rozwodzie przestał nas odwiedzać. - Teraz, gdy rana była otwarta, Lisa nie potrafiła zapanować nad falą bólu, którego istnieniu zaprzeczała przez lata. Tkwił w niej jak toksyczna substancja. Wstydziała się powiedzieć „mnie”, dlatego powiedziała „nas”.

- Wiem. - Martha zwilżyła usta językiem. W jej oczach malował się wielki smutek. - Źle cię potraktował... Wydaje mi się..., że to przeze mnie... Żeby się z tobą widywać... musiał się też spotykać ze mną. Zanim zdecydowaliśmy się... na rozwód... doszliśmy do takiego etapu..., kiedy nie mogliśmy na siebie... patrzeć. To kiepskie usprawiedliwienie faktu, że ktoś porzucił własne dziecko, nie zmniejszyło bólu ani złości Lisy.

- Jego strata. Jest idiotą - uznała, dumnie unosząc głowę.

- Też tak uważam - uśmiechnęła się Martha Grant. - Dobrze, że wdałaś się we mnie.

- Bardzo dobrze - przyznała ze śmiechem i ciasna obręcz oplatająca jej klatkę piersiową rozluźniła się nieco.

Rozmowa zesłała na lżejsze tematy. Po jakimś czasie, punktualnie jak w zegarku, zjawiła się pielęgniarka ze środkami nasennymi. Martha wzięła lekarstwa i zasnęła, Lisa zwinęła się w kłębek na swoim łóżku i poszła za przykładem mamy.

W gwarnym szpitalu czuła się bezpiecznie. Gdyby poszła za radą matki i nocowała w pokoju hotelowym, z pewnością nie zmrużyłaby oka. Nie chciała być sama. Jej życie przenikał lęk zatruwający wszystkie jego sfery.

Następnego ranka Marthę zabrano na następną godzinę rehabilitacji, Lisa natomiast skorzystała z wolnej chwili, aby sprawdzić tablice rejestracyjne białego ford. Miała w komputerze specjalny program, który wgrała w pracy. Samochód zarejestrowano na firmę Diurnal Plastics, podano jedynie numer skrzynki pocztowej. Dziewczyna szukała uparcie firmy we wszystkich bazach danych i nie znalazła niczego. Być może Diurnal Plastics powstała niedawno i nie zdążyła jeszcze pozostawić wirtualnych śladów działalności. Jednakże istniało również podejrzenie, że to firma fikcyjna.

Gdyby Lisa miała zgadywać, postawiłaby na to drugie. Ogarnęło ją okropne poczucie zagrożenia. Tego dnia w szpitalu było znacznie mniej personelu, gdyż z powodu święta narodowego większość pracowników wzięła wolny dzień. Martha Grant nie miała zaplanowanych żadnych zabiegów, badań ani ćwiczeń poza tą jedną, poranną godziną. Miała przed sobą cały dzień bezczynności urozmaicanej czytaniem, słuchaniem muzyki i oglądaniem telewizji. Lisa wychodziła wieczorem z Joelem, zamierzała wrócić z przyjęcia nad ranem, dlatego poprosiła Robin o spędzenie tej nocy przy chorej. Sama zamierzała się zdrzemnąć w pokoju hotelowym. Teraz, kiedy nabrała przekonania, iż jest śledzona, samotny pobyt w hotelu wydawał jej się przerażającą perspektywą.

Nie bądź dzieckiem, perswadowała sobie. Joel cię odprowadzi, sprawdzi, czy wszystko w porządku, a potem zamkniesz za nim drzwi na klucz. Nic ci się nie może stać.

Mimo to cały czas czuła się nieswojo. Robin zjawiała się o dziewiętnastej, a wtedy Lisa poszła do hotelu, żeby się przebrać. Nie opuszczał jej lęk, mimo że otaczały ją tłumy świętujących ludzi, a wszędzie wokół odbywały się parady i pikniki oraz trwały przygotowania do pokazów

fajerwerków. Nigdzie nie dostrzegła białego forda, choć go bez przerwy wypatrywała. Podobnie jak innych oznak, świadczących, że jest śledzona.

Zanim dotarła do pokoju hotelowego, była cała spocona ze strachu.

Przed wejściem pod prysznic postanowiła się upewnić, że Katrina leży tam, gdzie ją zostawiła.

Z zapartym tchem otworzyła drzwi szafy i wyjęła pudełko. Katrina leżała z zamkniętymi oczami i Lisa pomyślała, że lalka wygląda jak dziecko w trumnie. Nie mogła zostawić lalki w tej pozycji. Uniosła ją do góry i spojrzała w niebieskie oczy, po czym zawahała się, nie wiedząc, co zrobić. Nie chciała zabawki mieć w sypialni, ale w szafie także jej przeszkadzała. Teraz nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo lalka ją przeraża.

Zerknęła na zegar. Do przyjazdu Joela została godzina. Musiała zacząć się szykować.

Właśnie powoli kładła Katrinę z powrotem do pudełka, gdy zwróciła uwagę na znaczek na podeszwie stopy lalki. Otworzyła szeroko oczy i uniosła zabawkę do góry, żeby przyjrzeć mu się z bliska.

Serce z inicjałami MBF w środku. Zatarte, lecz jeszcze czytelne. Znaczek z niczym jej się nie kojarzył.

Kolejne spojrzenie na zegarek upewniło Lisę, że nie ma czasu na poszukiwania w internecie. Musiała się pospieszyć, inaczej Joel zastanie ją pod prysznicem, a tego wolala unikać.

Zamykając za sobą drzwi łazienki, przyłapała się na tym, że bardziej obawia się podstępnej Katriny niż ludzi o złych zamiarach. ^Wzięła prysznic, ułożyła włosy i umalowała się. Weszła ostrożnie do sypialni, włożyła bieliznę i spoglądając na zegar, zbliżyła się do szafy. Stwierdziła z ulgą, że zamknięte pudełko nadal tam leży. Czyżby spodziewała się czego innego? Pokręciła głową, walcząc z przemożną

chęcią sprawdzenia, czy lalka nadal znajduje się w środku. Cóż za idiotyzm, uznała w myślach. Nie miała czasu na dziecinne lęki. Włożyła szkarłatną kreację od Noli i popatrzyła w lustro. Wyglądała w niej świetnie.

Zwykle nie nosiła rzeczy w kolorze głębokiej czerwieni, lecz dziś zarówno odcień, jak i krój bardzo jej odpowiadały. Sukienka była prosta i krótka. Lisa zrezygnowała z rajstop i włożyła szpilki. Nogi miała długie, zgrabne i opalone. Gotowa, popatrzyła z przyjemnością w lustro. Była bardzo podekscytowana. Przeczuwała, jakie wrażenie wywoła swoim wyglądem na pewnym konkretnym mężczyźnie. Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Joela. Lisa skrzywiła się i poszła otworzyć.

- Super! - zawołał z uznaniem i pocałował ją w usta. Lisa jednak nie poczuła najmniejszej reakcji swojego ciała. Musiała stawić czoło nieprzyjemnej prawdzie: to nie Joel był mężczyzną, którego chciała olśnić, tylko Scott, wybierający się na przyjęcie w towarzystwie Noli.

21

Miała na sobie czerwoną kreację i wyglądała pięknie.

Nola jak zwykle emanowała seksapilem. Opierała się o jego ramię, aby miał lepszy widok na jej wspaniałe atuty podkreślone wyciętą kusą sukieneczką. Jasne włosy opadały na jego marynarkę, nagie udo przywarło znacząco pod stołem do jego nogi. Jej nagą skórę od skóry Scotta oddzielał jedynie cienki materiał grafitowych spodni od garnituru. Kręciło mu się w głowie od kwiatowego zapachu perfum. Nola była do wzięcia i jasno dawała to do zrozumienia.

Ale Scott patrzył tylko na Lisę, która przeciskała się przez tłum do ich stolika, przy którym siedzieli w towarzystwie dwóch innych par. Odpowiadała na pozdrowienia padające ze wszystkich stron. Była szczupła i zgrabna, poruszała się z gracją, odsłonięte długie nogi stawiała pewnie, czarne rozpuszczone włosy zafalowały, kiedy odwróciła się do idącego za nią mężczyzny.

Ach tak, „Peyton. Ten palant obejmował ją w talii ramieniem.

Scott zacisnął dłoń na szklance. Nagle poczuł ochotę na coś zdecydowanie mocniejszego niż piwo imbirowe. - O, proszę, kto przyszedł! - zawołała Nola i pomachała.

189

Pozostali obecni przy stoliku - Macy i Thornton oraz Alexis i Ben - nie pamiętał ich nazwisk - przyłączyli się do powitań. Towarzystwo znało się od dawna. Wszyscy zaliczali się do grona regularnych bywalców klubu. Wszyscy z wyjątkiem Scotta.

Proszę zaznaczyć, co nie pasuje do obrazka, pomyślał.

- Przepraszamy za spóźnienie - odezwała się z uśmiechem Lisa, siadając naprzeciwko Scotta na krzesło podsuniętym jej przez Joela.

- Zabłądziliście? - mruknął, zanim zdążył się ugryźć w język.

Popatrzyła na niego przeciągle.

Przy każdym z sześćdziesięciu szklanych stolików otaczających basen było po osiem wyściełanych poduszkami krzesel. Na podwyższeniu, nieco oddalonym od tafli wody, również stały ośmioosobowe stoliki. Basen dla dzieci otaczały miejsca przygotowane specjalnie dla rodzin. Wszystkie były zajęte, wokoło krążyli kelnerzy w smokingach oraz kelnerki w czarnych sukienkach i białych fartuszkach. Pomiędzy basenami ustawiono szwedzki bufet oraz bar; do obu ustawiły się już kolejki kobiet w sukniach koktajlowych i mężczyzn w garniturach. Aromat pieczonego mięsa mieszał się z zapachem chloru i olejku cytrynowego. Wokół rozlegał się głośny śmiech i gwar rozmów. Przestronne patio obok budynku klubowego przysposobiono do roli parkietu. Rozciągnięto nad nim białą tkaninę, a wewnątrz oświetlono tysiącem jasnych migoczących lampek. Światelka umieszczono na specjalnych słupach, a także na pobliskich drzewach i krzewach. Podobne lampki rozjaśniały stoliki na zewnątrz. Zespół grał żywą muzykę, kilka par zaczęło już tańczyć. Za namiotem rozciągało się pole golfowe, teraz pogrążone w ciemnościach. Według informacji na karcie umieszczonej na każdym ze stolików

o jedenastej trzydzieści, czyli za półtorej godziny, odbędzie się tam pokaz sztucznych ogni. Idlewild Country Club był największym i najbardziej ekskluzywnym ośrodkiem tego typu w okolicy.

- Wstąpiłam do szpitala, żeby pokazać się мамie. Zwykle noszę spodnie, wiedziałam, że się ucieszy, widząc mnie w sukience - powiedziała głośno Lisa. W jej głosie nie było wyzwania, skierowane na niego oczy miały obojętny wyraz. Wiedziała, że po męczącej podróży jest w podłym nastroju.

Tak dobrze się znamy, pomyślał.

- Pięknie ci w tym kolorze - zachwyciła się Nola. - Czyż nie wygląda wspaniale? - zwróciła się do Scotta.

- Cudownie - przyznał zgodnie z prawdą i zmusił się, by oderwać wzrok od Lisy i spojrzeć na kobietę, z którą przyszedł. Zdobył się nawet na uśmiech. - Podobnie jak ty. Chyba zapomniałem ci to powiedzieć.

- Rzeczywiście, ale wybaczam. - Zmarszczyła kokieteryjnie nos, a Scott posłał jej kolejny uśmiech. Lubił Nolę, podobała mu się, bawiła go jej bezpośredniość, lecz już podjął decyzję, że ta randka będzie ich jedyną. Podejrzewał, iż Nola także.

Zgodził się przyjść wyłącznie dlatego, że ubawił go przerażony wyraz twarzy Lisy, kiedy Nola zaproponowała podwójną randkę. Nie czuł się z tym źle, gdyż był niemal pewien, że ta dziewczyna dokładnie orientowała się w sytuacji.

- Komu drinka? - spytał Peyton, przywołując kelnerkę. - To, co zwykle, Lise?

Scott odkrył, że mu się nie podoba, iż Peyton zwraca się do niej „Lise”. Ani to, że wie, jaki jest jej ulubiony drink. Kiedy byli razem, zawsze piła coś bezalkoholowego: mrożoną herbatę, napój albo kawę.

- Poproszę - odparła Lisa. Kelnerka przyjęła zamówienie,

Lisa popatrzyła na Scotta, marszcząc czoło. - Co ci się stało? - szepnęła, zauważywszy szramę pod jego lewym okiem.

- Wpadłem na drzwi - wyjaśnił niezgodnie z prawdą, podobnie jak wcześniej pozostałym. Nie miał zamiaru mówić prawdy w tym małym plotkarskim miasteczku. Prawda była brzydka, nie pasowała do eleganckiego otoczenia, w które chwilowo usiłował się wpasować.

- Na drzwi? - powtórzyła sceptycznie, ale nie zdążyła dodać nic więcej, gdyż Macy zadała jej z drugiego końca stolika pytanie o zdrowie matki. Lisa odpowiedziała na to i następne pytanie, a potem przyniesiono drinki i rozmowa zeszła na bardziej ogólne tematy. Ulubionym drinkiem Lisy okazał się cosmopolitan.

Zanim podniosła szklankę do ust, zerknęła na Scotta.

„Nie przeszkadza mi to, że inni piją, pod warunkiem że są pełnoletni. Ja po prostu nie czuję takiej potrzeby” - wyjaśnił jej dawno temu. Wpadł na nią, Nolę i kilka ich koleżanek - Macy i Alexis chyba wśród nich nie było, choć nie miał pewności, bo wtedy wszystkie te wystrojone panny wyglądały dla niego tak samo - w jednej z knajp. Smarkule popijały piwo w dużych ilościach, a nie pokończyły jeszcze wtedy siedemnastu lat. Gdy powiedział im, co o tym myśli, Lisa roześmiała się tylko i zaproponowała piwo. Oczywiście odmówił, kategorycznie, a wtedy nazwał go sztywniakiem. Zabrał im alkohol i wyrzucił do śmieci.

Teraz patrzyła na niego tak, jakby również wspominała tamten wieczór sprzed wielu lat.

- Lisa jest ostatnio przez ciebie bardzo zajęta - zaczepił go Peyton, usiłując nawiązać towarzyską rozmowę.

- W biurze mamy kocioł. - Scott zmusił się do przyjaznego tonu.

- Masz szczęście, że trafiła ci się taka dobra posada. - Peyton pokręcił głową. - Nasz biznes ostatnio przysiadł.
 - Tak? - Scott rozparł się wygodnie na krześle, szykując się na długi wieczór. Przez szklany blat stołu obserwował z niechętnym uznaniem, jak Lisa zakłada nogę na nogę. Potem zobaczył dłoń Peytona na jej kolanie i musiał zacisnąć zęby.
 - Pięćdziesięcioprocentowy spadek, w najlepszym wypadku.
 - Przekłeta recesja! - zawołała pogodnie Nola. Lisa straciła rękę Joela, dzięki czemu Scott mógł wrócić do rozmowy bez obaw, że stłucze tamtego na kwaśne jabłko.
 - Przestępców nie ubywa ze względu na recesję, dlatego pracy nam nie brakuje - powiedział przeciągając sylaby, czym rozśmieszył Nolę.
 - Hej, Joel, a skończyliście budować tę galerię handlową w Versailles? - zainteresował się jeden z mężczyzn. Chyba Ben.
 - Tak. Teraz szukamy najemców.
 - Moja firma jest jednym z nich. Właśnie otworzyliśmy tam sklep wnętrzarski. - Nola uśmiechnęła się szeroko do Joela. - Gdyby tylko wynajmujący tak z nas nie zdzierał...
- Joel odpowiedział, Nola rzuciła coś jeszcze, wszyscy mówili naraz. Korzystając z zamieszania, Lisa nachyliła się ku Scottowi. Błyszczące jak czarna satyna włosy opadły jej na opalone ramię. Pod czerwoną sukienką mógł dostrzec delikatny zarys piersi. Zamiast czerwonej pomadki miała na rozchylonych ustach błyszczący. Czarne długie rzęsy rzucały cień na policzki, oczy płonęły złotym blaskiem. Piękna to za mało powiedziane, pomyślał.
- Odwiozłeś tatę na odwyk? - spytała cicho. Nie obawiała się, że ktoś ją usłyszy, wszyscy byli zajęci własnymi tematami.

- Tak - odparł lakonicznie.

- Co ci się stało w twarz?

Naprawdę zbyt dobrze się znali. Przez te wszystkie lata wiele razy widywała go poturbowanego, zawsze z tego samego powodu. Dawno temu czuł się tym zawstydzony.

- W połowie drogi zmienił zdanie. - Scott wzruszył ramionami. -**1** oświadczył, że nie chce jechać.

Odmówił zawiezienia go z powrotem do domu, więc mi przyłożył. Kluczykami od samochodu.

Lisa otworzyła szeroko oczy i wciągnęła ze świstem powietrze.

- Omal nie wybił ci oka.

- Starzeje się. Coraz słabiej celuje.

- To nie jest zabawne! Ten drań powinien trafić za kratki na resztę życia - powiedziała z oburzeniem.

- Co za drań? - zainteresował się nagle Peyton.

Scott milczał, Lisa sprawiała wrażenie zmieszanej. Niepotrzebnie podniosła głos. Był ciekaw, czy jego problemy osobiste staną się tematem pogawędki przy kolacji.

- Taki jeden oskarżony - odparła enigmatycznie. Uśmiechnęła się do Noli: - Przekonałaś tego sknerusa, żeby obniżył wam czynsz? - spytała wesoło, zmieniając temat. Scott ucieszył się, że nie zawiodła jego zaufania.

- Nie. - Nola popatrzyła z kpiącym wyrzutem na Joela, który uniósł ręce w żartobliwie obronnym geście.

- To nie zależy ode mnie, tylko od ojca. Pogadaj z nim, jest tu gdzieś.

Scott nie zwrócił uwagi na odpowiedź Noli, bo ręka Peytona powędrowała znów na kolano Lisy.

- Idziemy do bufetu? - zaproponowała Macy. A może Alexis.

Nie mógł ich zapamiętać, choć jedna była blondynką, a druga miała rude włosy. Mgliście kojarzył je jako część tła burzliwej młodości Lisy, ale były dla niego tylko dwiema

atrakcyjnymi obcymi kobietami. I nie miał nic przeciwko temu, aby Jak pozostało.

- Umieram z głodu. A ty? - Nola wstała z krzesła zmysłowym ruchem, który nie uszedł uwagi Scotta, i przywarła do niego całym skąpo odzianym w turkusowy jedwab ciałem.

Uśmiechnął się do dziewczyny; odkrył, że to nie takie trudne, jeśli już udało mu się skupić na niej uwagę. Postanowił zachowywać się jak dżentelmen; skoro przyjął zaproszenie Noli, był jej coś winien. Nie było mu jednak łatwo ignorować denerwujące zachowanie Peytona, który właśnie objął Lisę i złożył pocałunek na jej nagim ramieniu.

W namiocie Scott stracił ich z oczu, ponieważ się okazało, o dziwo, że zna wiele osób, z którymi wypadało się przywitać. Kiedy wrócił z Nolą do stolika, oni już tam byli. Peyton znów opierał rękę na kolanie Lisy. Scott poczuł, jak ogarnia go złość. Z trudem mógł się skupić na rozmowie, a jedzenie wydało mu się nagle pozbawione smaku. Miał ochotę złamać Joelowi nadgarstek.

Lisa za to była w przedziwnie radosnym nastroju. Tuliła się do Peytona, podsuwała mu kęski ze swojego talerza, śmiała się i dużo mówiła. Scott z trudem mógł wykrztusić jakieś uprzejme słowo przez zaciśnięte zęby.

Nola wyciągnęła go na parkiet, co przyjął niemal z ulgą.

Mocno przywarła do niego w tańcu, żartobliwie gryzła go w ucho i gładziła po szyi, ocierała się policzkiem o jego brodę i patrzyła zachęcająco. Jakoś to znosił, to była część gry. Nie obawiał się, że zabrnije za daleko. W innych okolicznościach pewnie poddałby się magii chwili, bo Nola była szalenie atrakcyjną dziewczyną, której nie oprze się żaden zdrowy facet.

Niestety chwilowo nie czuł się całkiem zdrowy. Tańczył z Nolą, Macy, Alexis i innymi kobietami, niektóre

z nich znał, innych nie. Tańczył dobrze, choć jego myśli błądziły gdzie indziej. Nauczył się tańczyć z tych samych powodów, dla których brał lekcje golfa i tenisa. Znajomość takich rozrywek bogaczy mogła mu się przydać podczas wspinaczki po szczeblach kariery, ale taniec nigdy szczególnie go nie pociągał. Owszem, czasami miło trzymać w ramionach odpowiednią kobietę, ale poza tym Scott nie był zapalonym tancerzem. A już dziś taniec nie sprawiał mu najmniejszej przyjemności, ponieważ widział, jak Lisa obściskowała się z Peytonem na parkiecie. Tańczyła też z innymi mężczyznami. Wieloma. Była miła wobec wszystkich, ale Peyton przeszkadzał mu najbardziej. Obejmowała go i przywierała doń biodrami, a on przesuwiał dłońmi po jej pośladkach.

Na ten widok Scotta ogarnęła ślepa furia. Prymitywna, nieracjonalna, głupia jak diabli i kompletnie nie do opanowania. Przyszedł na przyjęcie, żeby rozdrażnić Lisę, tymczasem to jego poddawano torturom. - Przepraszam na chwilę, dobrze? - zwrócił się do swojej partnerki, którą była Nola, lecz nawet tego nie dostrzegł. Uciekł do łazienki, a potem spędził kilka minut na świeżym powietrzu.

Co się z tobą dzieje?, pytał sam siebie. Przecież nie od dzisiaj wiesz, jaka z niej flirciara.

Może i wiedział, lecz wcale nie musiało mu się to podobać.

Te niewesołe rozmyślenia przerwało mu nadejście znajomych prawników, zbliżających się od strony pola golfowego. Nie miał najmniejszej ochoty na zdawkowe pogawędki, więc czym prędzej zawrócił, żeby go nie zauważyli.

Rozważał możliwość wyjścia z przyjęcia, nim zupełnie straci zimną krew. Mógłby wymówić się bólem głowy albo pracą, myślał. I właśnie wtedy prawie wpadł na Lisę, która wychodziła z łazienki.

- Och! - zawołała przestraszona, zanim go rozpoznała w półmroku. - Scott.

Kątem oka dostrzegł nadciągającego ku nim Peytona i całe jego z trudem osiągnięte opanowanie znikło w jednej chwili.

- Zatańcz ze mną - powiedział i pociągnął ją na parkiet, nie czekając na odpowiedź.

Najbardziej złościła ją świadomość, że właśnie w jego ramionach przez cały wieczór pragnęła się znaleźć. Objął ją mocno i władczo, nie dając czasu na protest. Zresztą nie chciała protestować. Rozluźniła się, oparła dłonie na klatce piersiowej Scotta i poczuła zarys jego mięśni pod cienką koszulą. Delektowała się tym, że może go dotknąć. Poruszając się w takt muzyki, z przyjemnością wciągała w płuca jego świeży zapach - Scott pachniał, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Miał na sobie grafitowy garnitur, białą koszulę i niebieski krawat podkreślający kolor oczu. Przez cały wieczór myślała o tym, jak świetnie wygląda. Przystojny ogrodnik nadal był przystojny, lecz teraz otaczała go aura sukcesu. Przywarła mocniej do ciepłego ciała Scotta i prowokująco objęła go za szyję. Poczula na brzuchu kłamrę jego paska. Szorstka tkanina spodni drapała jej nagie kolana.

Jej serce zaczęło bić szybciej. Zachwycalo ją w nim wszystko: stanowcza linia szczęki, szerokie ramiona, pewność, z jaką ją obejmował, a także jego oddech bez śladu alkoholu.

Tańczyli do wolnej zmysłowej piosenki; ciało Lisy reagowało na bliskość Scotta przyjemnym drżeniem.

Uśmiechnęła się lekko, odchyliła głowę do tyłu i otworzyła oczy, by na niego spojrzeć. Nie widziała dokładnie jego twarzy,

gdyż padał na nią cień, ale jedno wiedziała na pewno: nie odwzajemnił jej uśmiechu.

- Celowo podniecasz mężczyzn? - spytał niskim rozdrażnionym głosem. - Czy tak ci wychodzi przypadkiem?

Język jego ciała przeczył nieprzyjaznej nucie pobrzmiewającej w tych słowach. Podobnie jak ona Scott padł ofiarą pożądania, tylko że opierał się jak zwykle.

- Chwileczkę! - Lisa roześmiała się, świadoma jego rozterek. - Czyżbyś sugerował, że cię podniecam?

- Oczywiście, że tak. Doskonale o tym wiesz. I szalenie ci się to podoba, prawda?

- Może. No dobrze: Tak, podoba mi się. Ale tobie też, tylko ukrywasz to pod maską złości. Myślisz, że tego nie wiem? Owszem, wiem.

- Słonko, gdybyś naprawdę wiedziała, co myślę, uciekłabyś z krzykiem.

- Nie uciekłabym. - Lisa pokręciła głową.

- Masz tupet - powiedział po chwili milczenia Scott.

- Przynajmniej jestem szczerą. - Uśmiechnęła się i przywarła do niego jeszcze mocniej. Nie kłamał, rzeczywiście go podniecała.

- Żebyśmy mieli jasność: nic z tego - oświadczył surowo.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz doskonale. Ty i ja. Nie ma mowy.

- A może tak byś się odprężył? A nuż by ci się to spodobało - drażniła się z nim.

- Pod warunkiem że miałbym ochotę zostać kolejną kreską na poręczy twojego łóżka.

- To było obraźliwe - rzuciła lekko i objęła go mocniej za szyję. Ciało Scotta było dla niej kwintesencją męskości. Czowała go przy sobie zbyt blisko, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że jej pragnie. - Założę się, że na poręczy twojego łóżka jest więcej kresek niż u mnie.

- Touche - odrzekł po krótkiej pauzie.
- Tak też myślałam. - Zaschło jej w ustach pod wpływem jego ciepła i reakcji własnych rozszalałych zmysłów. Zwilżyła wargi językiem, patrząc Scottowi w oczy. - Musisz przyznać, że to całkiem miłe.
- Nie użyłbym tego słowa - powiedział nagle ochryplym głosem.
- Nie? A jakiego byś użył?
- Głupie.
- Nie zawsze trzeba być najmądrzejszym, wiesz? I nie musisz wszystkiego kontrolować - szepnęła, gładząc go po szyi. Scott zacisnął usta, oczy mu pociemniały i objął ją jeszcze mocniej. Lisa przywarła piersiami do jego torsu, zmysłowo poruszając biodrami. Roztopiała się w jego ramionach.
- Sypiasz z Peytonem? - spytał niemal groźnie.
- A jak myślisz? - odparła prowokująco.
- Nie wiem. Dlatego pytam. - Utkwił w niej badawcze spojrzenie akwamarynowych oczu.
Na parkiecie panował tłok, jeden niezręczny krok mógł spowodować kolizję. Lisa poczuła zbyt słodki zapach perfum jakiejś kobiety, słyszała śmiechy i szmer rozmów w tle. Ona i Scott tańczyli na samym środku parkietu, co dawało im odrobinę prywatności. Mimo włączonej klimatyzacji w namiocie było zbyt gorąco. Przynajmniej Lisie było zbyt gorąco, choć podejrzewała, że ma to raczej związek ze Scottem niż z temperaturą powietrza.
Patrzył na nią, jakby natychmiast chciał ją zaciągnąć do łóżka.
- Nie twój interes - oświadczyła ze słodyczą.
- Obłapiał cię przez cały wieczór - stwierdził ponuro.
- Naprawdę nie twój interes.
- Cholera, Lisa...
Przerwał mu stłumiony huk, orkiestra nagle przestała grać.

- Fajerwerki! - krzyknął ktoś i wszystkie pary zaczęły opuszczać parkiet.

Lisa i Scott przerwali taniec i rozejrzeli się wokół z pewnym zaskoczeniem. Byli tak bardzo zajęci sobą nawzajem, że nie zwracali uwagi na otoczenie. Lisa spróbowała wyswobodzić się z jego uścisku, lecz Scott jej nie puszczał.

- Lise, tu jesteś!

Joel, poprzedzony hukami kolejnych wybuchów, przeciskał się przez tłum ludzi wychodzących z namiotu. Po jego minie Lisa się zorientowała, że nadal stoi przytulona do Scotta. I że nadal go pragnie każdym nerwem ciała. W chwili, gdy Scott zauważył Joela, napiął wszystkie mięśnie jak do skoku, a na jego twarzy pojawił się brzydki grymas.

- Scott, puść mnie - szepnęła rozkazująco. Ani drgnął. - Scott. - Dopiero wtedy spojrzał na nią i wypuścił ją z objęć.

Odsunęła się od niego i podeszła do Joela. Zaraz za nim pojawili się Nola, Alexis, Ben, Macy i Thornton. Gdyby doszło do sceny - a sądząc z postawy Scotta istniało takie prawdopodobieństwo - sensacyjna wiadomość obiegłaby całą okolicę lotem błyskawicy. Nikt by na tym nie skorzystał, a Scott, piastujący urząd publiczny, mógłby wiele stracić.

- Chodźmy już. Stracimy całe widowisko. - Chwyciła Joela pod ramię i niemal siłą pociągnęła w stronę wyjścia. Nola rzuciła jej zdumione spojrzenie i minęła ich bez słowa. Lisa założyła, że idzie do Scotta, lecz nie obejrzała się, by to sprawdzić. Fajerwerki eksplodowały jeden po drugim nad polem golfowym, rozbłyskując kolorowym światłem.

- Coś cię łączy z tym gościem? - spytał Joel z niedowierzaniem i złością, zerkając na nią z ukosa. Kiedy wyszli z namiotu, chłodny wiatr musnął jej gorącą skórę.

- Nic więcej niż dotąd - odparła krótko.

Nie miała zamiaru z nim na ten temat dyskutować. Wbiła mu palce w ramię i poprowadziła go ku zgromadzonym, by podziwiać fajerwerki, uczestnikom przyjęcia. Niektórzy siedzieli na krzesłach, inni na kocach, jeszcze inni stali.

- Znamy się od wieków. Dał mi pracę i teraz jest moim szefem. To wszystko.

Joel parsknął sceptycznie, ale nic nie powiedział, za co Lisa była mu wdzięczna. Cieszyła się również, że Nola zajęła się Scottem i trzyma go w bezpiecznej odległości od niej. Jednakże przyjaciółka nie zamierzała zbyt łatwo ułatwić jej życia. W pewnej chwili podeszła do Lisy ze słowami:

- Kochana, wypuszczam naszego przyjaciela z powrotem na wolność. Jeśli chcesz za nim podążyć, to droga wolna - szepnęła jej do ucha.

-Co? Nola...

- Powinnaś. On nie spuszcza z ciebie oka. A to, co robiliście na parkiecie... Niesamowite.

- Tańczyliśmy.

- Taak.

- Nic z tego nie będzie - oświadczyła Lisa, przestając udawać, że nie wie, o co chodzi. - Niemal zaprosiłam go do łóżka, a wiesz, co on na to? „Ty i ja? Nie ma mowy”.

- Ciężki przypadek zaprzeczenia. - Nola ścisnęła ją pocieszająco za ramię. - Ja tam wiem, co widziałam. Ten facet jest w tobie zadurzony po uszy.

Lisa przypomniała sobie, że w pobliżu jest zbyt wiele ciekawskich uszu i postanowiła nie kontynuować tego tematu. Przewróciła tylko oczami, marząc, by rozmowa zesłała na bardziej ogólne tory, na wypadek gdyby huk rozbłyskujących fajerwerków nie zagłuszył każdego słowa.

Gdy pokaz się skończył, każda z par poszła w swoją stronę. Lisarnie pożegnała się ze Scottem. Gdy Joel odwoził ją do hotelu, rozmyślała o tym, jak trudno będzie jej zasnąć samej w pokoju, ze świadomością, że Katrina jest tuż obok, a domniemani złoczyńcy w białym fordzie być może planują napad. Przez chwilę brała pod uwagę zaproszenie Joela na noc. Wiedziała, że on także o tym myślał. Wreszcie zdała sobie jednak sprawę, iż nigdy do tego nie dojdzie. Joel nie budził w niej żadnych emocji; nadszedł czas, aby się do tego przyznać i pójść naprzód.

Pół godziny później Joel zostawił ją przed jasno oświetlonym wejściem do szpitala i ruszył z piskiem opon, nie czekając, aż Lisa wejdzie bezpiecznie do środka.

Skrzywiła się, patrząc w ślad za białym porsche. Właściwie nie mogła mu mieć tego za złe, zwłaszcza że nie miał pojęcia, iż cokolwiek jej grozi. Wbiegła do środka. Widok strażnika w holu znacznie poprawił jej samopoczucie. Poza tym, mimo późnej pory - była pierwsza w nocy - po korytarzach chodziło sporo ludzi. Lisa zwolniła i skierowała się ku windzie, wzięła głęboki oddech i stanęła w grupce oczekujących osób. Wjechała na czwarte piętro w towarzystwie salowego oraz starszej pary, która rddośnie oznajmiła im obojgu, że właśnie zostali pradziadkami. Uśmiechnęła się i złożyła obojgu gratulacje. Zamierzała powiedzieć Robin, że może jechać do domu, bo ona zostanie z mamą do rana. Potem wróci do hotelu. Nie potrafiła stawić czoła samotnej nocy w hotelowym pokoju.

Jednak kiedy weszła do sali, zmieniła zdanie. Wbrew jej przewidywaniom w pokoju nie paliło się już światło, telewizor Jaył wyłączony, a obie panie smacznie spały. Robin nawet pochrapywała.

Lisa stała przez chwilę w nogach łóżka matki, niepewna, co zrobić. Z korytarza padała smuga światła. Wreszcie uznała, że nie może zostać. Nie obudzi Robin z głębokiego

snu o pierwszej w nocy. Musi pojechać do hotelu i zasnąć w swoim pokoju, jest przecież dużą dziewczynką. Wezwie taksówkę. Wsiądzie pod szpitalem, a wysiądzie pod samymi drzwiami hotelu. Nic jej się nie stanie.

Cicho zamknęła za sobą drzwi i wolno, niechętnie ruszyła do windy, po drodze wyjmując z torebki telefon. Korytarz nie był pusty. Pod drzwiami jednej z sal pielęgniarka dyskutowała ze stażystą nad kartą chorego. Druga pielęgniarka miała dyżur na recepcji. Staruszek w wełnianym swetrze, który założył prawdopodobnie, by ochronić się przed chłodnym powiewem klimatyzacji, gdyż na dworze panował upał, szedł w stronę windy, trzymając w ręku reklamówkę z Taco Bell z jedzeniem na wynos. Lisa poczuła zapach ostro przyprawionych dań. Nagle drzwi windy się rozsunęły i stanął w nich mężczyzna. Ruszył w jej stronę z kpiącym uśmiechem.

Scott.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i zapomniała o trzymanym w ręku telefonie. Przed jego przyjściem czuła się zmęczona, śpiąca, samotna i wystraszona, bolała ją także głowa. Wszystkie te uczucia nagle zniknęły. Zwolniła, czekając, aż Scott do niej podejdzie.

- Mama śpi - odezwała się w ramach powitania.

- Nie przyszedłem do twojej mamy.

Patrzyli na siebie taksująco. Jego włosy lekko się skręciły od wilgoci, a szrama na twarzy była bardziej widoczna w sztucznym świetle jarzeniówek. Miał nieco zaczerwienione oczy, ślady zarostu i zmarszczki, których nie zauważyła wcześniej. Nadal był w tym samym garniturze, ale rozluźnił krawat i rozpiął guzik przy szyi. Serce Lisy zaczęło bić szybciej na sam jego widok.

- Mógłbyś mnie podwieźć do hotelu - powiedziała krótko i minęła go, kierując się do windy. - Miałam

zamiar odesłać Robin do domu, ale zasnęła i nie chce jej budzić;

- Nie ma sprawy - mruknął, idąc za nią.

- Co tu robisz? - zainteresowała się Lisa, naciskając guzik windy.

- Cóż... Widzisz, miałem pewną teorię.

- Jaką teorię? - spojrzała na niego ostro.

- Po dogłębnym przemyśleniu sprawy doszedłem do wniosku, iż znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie podrywałabyś mnie, gdybyś sypiała z Peytonem. A gdybyś nie sypiała z Peytonem, przyjechałabyś tutaj. Postanowiłem to sprawdzić.

- Sprawdzić mnie! - zawołała z oburzeniem.

- Żeby się przekonać, czy mam rację.

- Bzdury gadasz. - Jej oczy rzucały iskry.

- Sama przyznaj, że moja teoria była słuszna. Nie sypiasz z kochasiem.

Winda zatrzymała się i oboje wsiedli do środka.

- Wiesz, jaki jest twój największy problem? - spytała Lisa, naciskając ze złością guzik z napisem „parter”.

Oparła się o ścianę i skrzyżowała ręce na piersi. - Zazdrość.

- Wściekła zazdrość - zgodził się z kpiącym uśmiechem, kompletnie ją zaskakując.

A potem się nachylił, by ją pocałować.

23

Dotyk jego warg był tak niespodziewany, że przez chwilę nie mogła się ruszyć ani złapać tchu. Nie potrafiła zareagować w żaden sposób. Wszystkie zmysły nagle przeszły w stan zawieszenia. Słyszała tylko pulsowanie krwi w uszach. Nagle dotarło do niej, co się dzieje. Scott ją całował! Usta Lisy zadrżały i oddała mu pocałunek. To był namiętny, głodny pocałunek. Taki, na który czekała od lat.

Zabrział sygnał i drzwi kabiny się rozsunęły. Lisa otworzyła zamglone oczy. Zobaczyła przed sobą grupkę osób oczekujących na windę: dwie pielęgniarki lub lekarki, mężczyznę w dresie i kobietę z balonem w dłoni. Wszyscy wlepili w nich zdumiony wzrok.

Wreszcie Lisa odzyskała zdolność myślenia na tyle, by rozumieć, że: po pierwsze, musi przestać całować Scotta, a po drugie, muszą wysiąść z windy. Scott się wyprostował, zerknął na publiczność, po czym chwycił Lisę za rękę i wyprowadził z windy. Posłała gapiom zawstydzony uśmiech i pobięła za Scottem, który mocno ścisnął jej dłoń.

Nadal nie mogła pozbierać myśli, jednak wzięła głęboki oddech i spróbowała się odezwać:

- Scott, zaczekaj. Dokąd idziemy?

- Gdzieś, gdzie będziemy mieli więcej prywatności.

212

- Mam na nogach szpilki - zaprotestowała. - Posadzka jest śliska. Nie mogę iść tak szybko. Niezupełnie tak wyobrażała sobie rozmowę ze Scottem po ich pierwszym pocałunku, ale cóż...
- Przepraszam - mruknął. Zwolnił i posłał jej porozumiewawczy uśmiech, który sprawił, że ziemia się za-kołysała. - Zapomniałem o szpilkach. Jak kobiety mogą w ogóle chodzić w czymś takim, pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

- Pocałowałeś mnie - zignorowała jego słowa, przechodząc do rzeczy.

- Wiem.

Na próżno czekała na dalsze wyjaśnienia. Zdecydowała się więc na razie z nich zrezygnować, gdyż właśnie dotarli do głównego wyjścia.

- Zaczekaj chwilę. Muszę ci o czymś powiedzieć. Wczoraj zauważyłam białego forda explorera. Wydaje mi się, że za mną jechał. Skręcił do szpitala. Może tu nadal być. Musimy uwa... - przerwała, ponieważ nie słuchał jej i właśnie otwierał drzwi. Przytrzymała go kurczowo za rękę i zaparła się piętami o posadzkę, gdyby ta nie była taka śliska.

Nagle znalazła się na zewnątrz i uderzyła ją fala wilgotnego powietrza. Gdy tak szli w jasnym świetle lampy wiszącej nad drzwiami, stanowili łatwy cel dla ewentualnych zabójców.

- Scott...

- Nie przejmuj się tym. Miałaś się nie dowiedzieć. - Scott prowadził ją na parking. Lisa rozglądała się bacznie dookoła i w pierwszej chwili nie zrozumiała znaczenia jego słów. - Poprosiłem znajomego, żeby miał cię na oku podczas mojej nieobecności. Pilnował w drodze do szpitala i takie tam. To policjant, akurat nie był na służbie, a wisiał mi przysługę.

Stała jak wryta, więc on również musiał się zatrzymać. Patrzył na nią wyczekująco.

- Co? - spytał.

- Kazałeś mnie śledzić?

- No tak. Nie mów, że masz mi to za złe.

- O, mój Boże. Typowy dla ciebie sposób załatwiania spraw. Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić.

- Nie miałem czasu. Musiałem wyjechać z miasta, a jednocześnie zamartwiałem się o ciebie. Wszystko mi się spięrzyło. Nie chciałem ryzykować kolejnej sprzeczki - powiedział, idąc z nią przez słabo oświetlony parking w stronę swojego samochodu. Na rozgwieżdżonym niebie od czasu do czasu pojawiały się błyski sztucznych ogni, obchody Święta Niepodległości jeszcze nie dobiegły końca. Lisa poczuła mrowienie na całym ciele, kiedy Scott mocniej ujął ją za rękę. W jej wieku tak silna reakcja na zwykły męski uścisk wydawała się niedorzeczna. Ale to był przecież Scott.

- Nie sprzeczasz się z tobą.

- Kotku, sprzeczasz się ze mną od dwunastego roku życia.

- Sprawdziłam jego tablice - zmieniła temat, żeby nie pomyślał, że ma rację. - Są zarejestrowane na firmę Diurnal Plastics.

- Kolega dorabia na boku jako prywatny detektyw. Lubi być tajemniczy.

- Śmiertelnie mnie przeraził!

- Przepraszam cię za niego. Zapewniał mnie, że nic nie zauważysz.

- Ale zauważyłam.

Otworzył przed nią drzwi samochodu, a kiedy usiadła, nachylił się, by ją pocałować. To był zwykły szybki pocałunek, nie taki, który mógłby sprawić, by ugięły się pod nią kolana. A jednak zakręciło jej się w głowie z pożądania.

Popatrzyła na niego błędnym wzrokiem, zapominając o całym świecie.

- Zapnij pasy - polecił, nim zatrzasnął drzwi. - Do Mar-riotta? - spytał, siadając za kierownicą. Lisa skinęła głową.

- Dziękuję - wykrztusiła po chwili. Scott uruchomił już silnik i wyjeżdżał z parkingu.

- Za co?

- Że się o mnie martwiłeś.

- Drobiazg. - Uśmiechnął się szeroko, niemal przyprawiając ją o atak serca.

Jak na tak późną porę na ulicy był spory ruch. Pewnie z powodu święta, pomyślała Lisa. Popatrzyła z zachwytem na męski profil Scotta i oparła się wygodnie o skórzany zagłówek. Pragnęła tego mężczyzny od tak dawna. Niemal całe życie.

- A gdzie się podziała twoja rezerwa? Ty i ja, nie ma mowy? - spytała odrobinę złośliwie. Zasłużył sobie na to, uznała.

- Wiedziałem, że o to zapytasz.

- Skoro tak, to słucham.

- Od miesiąca mam spadek formy.

- Tak też mi mówiono w biurze. Ale na moje oko po prostu byłeś sobą. - Zobaczyła, że się skrzywił. - A jaki to ma związek z tym, że mnie pocałowałeś?

- To z twojego powodu nie byłem w najlepszym nastroju. Odkąd wymusiłaś na mnie tę posadę.

- Wymusiłam? - oburzyła się Lisa.

- Daj mi skończyć. - Popatrzył na nią z żartobliwym błyskiem w oczach. - Porównałbym swój stan do rozterek osoby na diecie zamkniętej w pomieszczeniu z tabliczką czekolady. Będzie się opierała pokusie tyle czasu, ile zdoła. Odwróci się plecami, zaciśnie zęby, stanie się drażliwa. A na końcu pokusa i tak zwycięży.

- Porównujesz mnie do tabliczki czekolady?
 - Najlepszego gatunku, skarbie.
 - Pocałowałaś mnie, bo zabrakło ci silnej woli? Czy dobrze zrozumiałam?
 - Raczej doszedłem do wniosku, że silna wola jest przereklamowana - odrzekł, parkując przed hotelem.
 - Pocałowałem cię, ponieważ marzyłem o tym od dawna. Dziś zdecydowałem się przestać walczyć z samym sobą. Jesteśmy sobą zauroczeni właściwie od dzieciństwa. Wreszcie dotarło do mnie, jak głupio postępuję, usiłując wypierać fakty - dokończył cichym poważnym tonem.
 - I co teraz? - spytała Lisa bez tchu.
 - Myślę, że to zależy od ciebie - odparł, wyjmując kluczyki ze stacyjki. - Chodź, odprowadzę cię.
- Denerwuję się jak nastolatka, pomyślała.
- Wysiedli z auta; Lisa wzięła go bez słowa pod rękę i razem weszli do hotelu. Recepcjonista zerknął na nich obojętnie. W windzie ponownie znalazła się w ramionach Scotta. Kiedy wysiedli, oboje gwałtownie oddychali i drżeli z niecierpliwości.
- Powinnam udawać trudną do zdobycia, pomyślała.
- Jednak musiała spojrzeć w oczy smutnej prawdzie; przy Scotcie stawała się łatwa. Tak było zawsze.
- A co z Nolą? - spytała z pozorną obojętnością, gdy szli obok siebie korytarzem.
 - Nie sądzę, żeby spodziewała się mojego telefonu
 - odparł lakonicznie Scott.
- Popatrzyła na niego. Wyglądał jak uosobienie spokoju i opanowania. Ale Lisa знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że pod tą obojętnością ukrywał napięcie.
- „Na pewno jest fenomenalny w łóżku” - rozbrzmiały jej w głowie słowa Noli.
- Powiedziała mi, że wypuszcza cię na wolność

i powinnam za tobą pójść - starała się zachować żartobliwy ton.

- Tak powiedziała?

- Ucieszy się, że skorzystałam z jej rady.

- Zamierzasz jej o wszystkim opowiedzieć, prawda?

- Skąd! Nie chwałę się swoimi podbojami.

- To powinna być moja kwestia.

- A co, ja nie mogę być dżentelmenem? Rozbawiła go tymi słowami.

Szli bezszelestnie po grubym zielonym dywanie, mijali stoliki ozdobione ogromnymi wazonami pełnymi sztucznych kwiatów i wózki pozostawione przez obsługę. Oświetlenie w korytarzu ograniczono do minimum. Powietrze przesycił dyskretny zapach potpourri. Jedynym dźwiękiem poza ich głosami było ciche mrużenie klimatyzacji. Wyglądało na to, że są jedynymi ludźmi na tym piętrze, którzy nie śpią.

- A co z kochasiem? - spytał bez złościwości Scott. - Nic.

- To znaczy?

- Nie wydaje mi się, żeby za mną teraz szczególnie przepadał.

Stanęli pod drzwiami pokoju. Nolu, za chwilę się przekonam, pomyślała Lisa, czując, że zasycha jej w gardle. Zadrżała.

- Pokłóciliście się?

- Właściwie nie. - Otworzyła drzwi kartą magnetyczną. - Wejdiesz? - zaproponowała z bijącym sercem.

- Pewnie - odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy

24

Skoro się nie pokłóciliście, **to** o co chodzi?

Stanął w przedpokoju, czekając aż Lisa zapali światło.

- A jak myślisz? O ciebie - odpowiedziała cierpko. Zablokowała drzwi i odwróciła się do niego.

Korytarzyk

tonął w półmroku, szerokie ramiona Scotta przesłaniały jej częściowo widok na pokój. Widziała tylko fragment podwójnego łóżka okrytego brązowo-złotą kapą sięgającą beżowego dywanu. Łóżko było nietknięte, **bo** jeszcze nie spała w tym pokoju. Teraz miało się to zmienić.

- No i dobrze - Scott się uśmiechnął.

Ich ciała zbliżyły się do siebie jak dwie połówki tej samej całości. Objęła Scotta za szyję; zakreśliło jej się w głowie, gdy ich usta zetknęły się delikatnie. Nawet ten subtelny pocałunek sprawił, że Lisę ogarnęło drżenie.

O Boże, całuję się ze Scottem. Otworzyła gwałtownie oczy, żeby sprawdzić, czy nie śni. On także na nią popatrzył, odsuwając się o kilka milimetrów. Jego ciepły oddech owiewał jej twarz. Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie intensywnie. Zobaczyła w jego oczach błysk pożądania. Po chwili ich usta znów się odszukały i chciwie do siebie przyłgnęły.

Lisa z trudem utrzymała się na nogach.

- Lisa.

- Hmm? - Otworzyła zasnute mgłą oczy.

218

- Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, lepiej powiedz mi teraz.

Pokręciła głową.

- Nie chcę. Czy kiedykolwiek chciałam, żebyś sobie poszedł?

Odgarnął jej włosy i znów ją pocałował. Lisa odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i przywarła do niego całym ciałem.

Zamruczała z zadowoleniem, gdy odszukał dłonią jej piersi. Ugryzła go w ucho na znak protestu, kiedy cofnął rękę. Scott jęknął i pocałował ją zachłannie w usta.

Rozsunął zamek jej jedwabnej sukni, ale zdała sobie z tego sprawę, dopiero kiedy poczuła na plecach chłodny powiew klimatyzacji. Zadrżała, gdy przycisnął ją do ściany swoim ciałem. Całą sobą czuła jego ciepło. Gdyby nie ta ściana, chyba by upadła.

- Bardzo cię pragnę - powiedział Scott niskim, chrapliwym głosem. Miał potargane włosy.

Lisa popatrzyła w jego niebieskie, pociemniałe z pożądania oczy.

- Scott... - Z przyjemnością wypowiedziała jego imię. Był uosobieniem wszystkich jej nastoletnich fantazji erotycznych. Jako dorosła kobieta nadal uważała go za najbardziej pociągającego mężczyznę na świecie.

Od dawna wyobrażała sobie tę chwilę. Nie przestawał jej całować, kiedy rozwiązywała mu krawat.

- Smakujesz jak cukierki - wyszeptał.

- Błyszczysz - mruknęła.

Scott delikatnie chwycił zębami jej dolną wargę. Zachowywał się jak doświadczony kochanek; Lisa uzmysłowiła sobie, że nie jest już chłopcem z sąsiedztwa, lecz dojrzałym mężczyzną, który prawdopodobnie sypiał z wieloma kobietami. Ta myśl sprawiła, że poczuła się nieco spięta.

- O co chodzi? - Natychmiast wyczuł zmianę w jej zachowaniu.

- Jesteś w tym bardzo dobry.

- Mam wrażenie, że to nie komplement - przyglądał jej się uważnie.

Zachowywała się niedorzecznie. Zarzucała mu zazdrość, a sama nie była lepsza. Postanowiła wynagrodzić mu to pocałunkiem. Westchnął z zadowoleniem i przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie.

Po chwili odsunął się i Lisa zaprotestowała.

- Od lat miałem ochotę cię rozebrać - powiedział drżącym głosem, dotykając ramiączek jej sukni.

- Czyżby?

- O tak. Jeszcze wtedy, kiedy byłoby to nielegalne. - Poglądził jej piersi i zsunął z nich czerwony jedwab.

Suknia z szelestem opadła na podłogę.

Lisa wciągnęła głośno powietrze. Teraz miała na sobie jedynie czarny stanik bez ramiączek i wycięte majteczki. I czerwone szpilki. Scott przesunął spojrzeniem po krągłościach jej idealnej figury. Wreszcie popatrzył jej w oczy.

- Jesteś niesamowicie seksowna - oświadczył nieswo-im głosem.

Lisa poczuła się dziwnie onieśmielona.

- Twoja kolej - powiedziała, zsuwając mu z ramion marynarkę. Potem zaczęła rozpinać guziki białej koszuli. Scott zrzucił ją z siebie, oddychając ciężko.

- Lisa - szepnął.

Pocałował ją i zapomniała o koszuli, guzikach, o wszystkim. Szybko rozpiął jej stanik; została w samych majteczkach i szpilkach. Dotknęła nagimi piersiami do jego torsu, a świat wokół niej wirował. Zadrzała, kiedy poczuła jego ręce na udach. To były szorstkie dłonie człowieka, który pracował fizycznie.

Zachwiała się, kiedy zsuwał jej

figi i oparła o ścianę, by zachować równowagę. Płonęła z niecierpliwości.

Scott pochylił się ku niej, wciąż w spodniach. To było bez wątpienia najpiękniejsze erotyczne przeżycie w jej życiu.

Krzyknęła, a wtedy chwycił ją w ramiona, położył na dywanie i gorączkowo zaczął ściągać z siebie resztę ubrania. Gdy przycisnął się do niej całym ciałem, wypowiedziała głośno jego imię.

Gdy Lisa otworzyła oczy, zobaczyła nad sobą biały hotelowy sufit, a obok krawędź łóżka. Gdyby nie byli tak niecierpliwi mogliby się kochać na miękkim materacu zamiast na nieprzyjemnym w dotyku dywanie. Leżała naga, zbyt mocno podkreślona klimatyzacja hałasowała, zimne powietrze owiewało spoconą skórę. Wciągnęła w nozdrza sosnowy zapach odświeżacza powietrza. Scott leżał obok niej; był całkiem nagi i zasłaniał ręką oczy. Miała nadzieję, że przed światłem lampy, a nie jej widokiem.

Przyjrzała mu się z ciekawością; wcześniej nie zdążyła, gdyż wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Był wręcz doskonały. Poczula wzbierające wewnątrz ciepło. Nagle zmarszczyła brwi; coś było nie tak.

Dobrze znała Scotta i potrafiła zrozumieć jego zachowanie. Jego postawa bynajmniej nie wyrażała błogostanu.

Lisa skrzywiła się, usiadła i podniosła jego koszulę. Nie zamierzała przeprowadzać poważnej rozmowy, nie mając nic na sobie. Scott odsłonił oczy i popatrzył na nią z rezerwą.

25

Bez cienia wątpliwości był to najlepszy seks w jego życiu. Ale z Lisą.

Pragnął tego od zawsze, fantazjował o tej chwili.

Nie bez powodu nigdy dotąd nie odważył się zmienić tych fantazji w rzeczywistość. A teraz konsekwencje jego odwagi z pewnością nie dadzą na siebie długo czekać.

Lepiej coś zrobić i żałować, niż żałować, że się nie spróbowało, powiedział sobie w duchu na pocieszenie.

Te zasłyszane kiedyś słowa wróciły do niego wcześniej, kiedy tańczyli w klubie. Odurzyła go bliskość

Lisy i zaślepiła zazdrość o Peytona. A przecież tylko tańczyli. Tańczył z wieloma kobietami, a tylko jej

bliskość sprawiała, że jego ciało ogarniały płomienie. Łączyła ich przedziwna więź. Zanim muzyka

ucichła, gotów był zrobić wszystko, by kochać się dziś z Lisą, i wiedział, że ona czuła podobnie.

Oboje byli dorośli i pragnęli tego samego. Gdyby po raz kolejny pozwolił jej odejść, mógłby nigdy nie dostać drugiej szansy. Pojechał do szpitala, modląc się, żeby ją tam spotkać.

W ten oto sposób złamał swoje solenne postanowienie, że będzie się trzymał z daleka od Lisy.

Co się stało, to się nie odstanie. Nawet gdyby mógł cofnąć czas, niczego by nie zmienił.

Pozostawało mu stawić czoło konsekwencjom.

222

Siedziała obok niego, zapinając koszulę, czarne włosy opadały jej na jedno ramię, podkurczyła długie opalone nogi. Miała zarumienione policzki, lekko opuchnięte wargi i zapowiedź malinki na szyi. Patrzył na najpiękniejszą kobietę, jaka chodziła po ziemi, a ten widok był dla niego jak narkotyk. Przerazało go to.

Lisa wpatrywała się w niego ze zmarszczonym czołem. Nie takiej reakcji się spodziewał po seksie stulecia.

- Hej - powiedział, siadając. - Hej.

Poczuł się nieswojo pod jej badawczym spojrzeniem. Znali się na wylot, obawiał się, że wyczyta z jego twarzy więcej, niż miał zamiar wyjawić.

Zaczynaj się zachowywać normalnie, upomniał się w duchu. Jak by się zachował, gdyby właśnie skończył się kochać na przykład z Nolą? Gdyby nie musiał stąpać po emocjonalnym polu minowym?

- Jesteś piękna - powiedział, nachylając się, żeby ją pocałować. Bez wahania odwzajemniła pocałunek.

Już wiedział, co zrobi. Prześpi się z nią jeszcze raz. Będą się kochali do świtu. Może nawet zdecyduje się na krótki romans, dopóki Lisa nie wróci do Bostonu. Jedyne, czego mu nie wolno, to zakochać się w niej. Obawiał się jednak, że może być już nieco za późno. Odsunął się tylko na moment i znów poczuł na sobie jej przenikliwe spojrzenie. Niedobrze.

- Co tam? - spytała.

- Słucham?

Wstał i podał jej rękę. Lisa oparła się o niego, wywołując kolejną falę pożądania. Odsunęła się na chwilę.

- Jesteś pełen dystansu. Dziwnie się zachowujesz. O co chodzi?

- Jestem napalony - sprostował. Mówił prawdę, choć

nie odpowiadał na jej pytanie. - Tak się wtedy zachowuję.

- Poprowadził ją za rękę do łóżka. - No, chodź.

- Zostaniesz na noc?

- Oczywiście. Myślałaś, że zostawię cię samą w pokoju hotelowym, kiedy może ci grozić niebezpieczeństwo?

- Nie przesadzaj.

- Nie wierzę, żeby coś ci się mogło tu stać, ale na pewno byś się bała, chociaż w życiu się do tego nie przyznasz. Znam cię. Będziesz sobie wyobrażać różne okropności i nie zmrużysz oka przez całą noc. Nic nie odpowiedziała.

- Chciałaś mnie wykorzystać i wyrzucić? No to masz pecha. Mogę spać osobno, jeśli wolisz. - Zajął się łóżkiem, żeby nie patrzeć jej w oczy. Zerknął na zegar; wskazywał trzecią w nocy.

- Wiesz, że nie - odparła nadąsana. Musiał się uśmiechnąć. - Ale wcześniej nie martwiłeś się, że sypiam tu sama.

- Przecież nocowałaś w szpitalu. - Skończył ścielić łóżko i popatrzył na Lisę. Ta koszula na nim nigdy nie wyglądała tak dobrze. Lisa się uśmiechnęła, jakby czytała w jego myślach. Nagle wszystkie obawy przestały się liczyć. Później będzie się martwić złamanym sercem.

- Zamierzasz spać w mojej koszuli?

- Niekoniecznie - odparła, odpinając guziki. Odsunął ręce Lisy i zrobił to za nią. Jego oczom ukazały się najdoskonalsze piersi, jakie kiedykolwiek widział. Nie potrafił im się oprzeć.

Kilkadziesiąt minut później, nasycony i zmęczony, z wysiłkiem uniósł rękę, żeby wyłączyć lampkę przy łóżku. Okrył kołdrą wtuloną w niego śpiącą Lisę i złożył pocałunek na jej miękkich, wilgotnych od potu włosach.

Nigdy nie zdołasz się zakochać - zabrzmiały mu w głowie słowa Ryana.

Nie miał takiego zamiaru, a jednak stało się. Do szaleństwa zakochał się w Lisie. I wcale się z tego nie cieszył.

Otworzyła oczy. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest.

Łóżko. Ciemny pokój. Mężczyzna leżący obok.

Scott, przypomniała sobie i ogarnęła ją fala radości.

Śpię ze Scottem. Serce Lisy zaczęło bić szybciej, krew napłynęła jej do twarzy. Leżeli wtuleni w siebie.

Jedną ręką obejmował ją w talii. Grzał jak kaloryfer, jego ramię było ciężkie jak worek mokrego cementu i w dodatku chrapał.

Nagle przestał, odsunął twarz od włosów Lisy i przycisnął ją mocniej do siebie.

- To twój telefon? - mruknął sennie. O matko, Piąta Symfonia Beethovena.

- Puść mnie. Muszę odebrać. Mogą dzwonić ze szpitala.

Przewrócił się na plecy, a Lisa wygramoliła się z łóżka, wyruszając na poszukiwanie telefonu. Poczowała na sobie wzrok Scotta i szybko okryła się narzutą. Nawet po tym wszystkim, co razem robili, nie mogłaby paradować nago w jego obecności.

Telefon miała w torebce, zastanawiała się tylko, gdzie ją położyła. Pokój tonął w niemal całkowitej ciemności, zaledwie kilka promieni słonecznych przedostawało się przez grube, ciężkie zasłony. Dzięki temu się zorientowała, że już dzień. Za plecami usłyszała skrzypnięcie. To Scott wstawał z łóżka. Jest zbudowany jak grecki bóg, pomyślała z podziwem, na chwilę zapominając o dzwoniącym telefonie. Zmusiła się, żeby odwrócić wzrok i skupić się na poszukiwaniach. Uporczywy dźwięk dochodził ze sterty porzuconych ubrań. Scott odsunął zasłony i do pokoju wpadło jasne światło, a Lisa zmrużyła oczy.

Prawdopodobnie,

kiedy pocałował ją po raz pierwszy, upuściła torebkę. Przesunęła spojrzeniem po pokoju. Torebka leżała obok szafy, gdzie była schowana Katrina. Lisa nie miała teraz czasu, by rozmyślać o lalce. Odebrała telefon.

- Lise? - Dzwonił Joel. Skrzywiła się, bo Scott mógł usłyszeć każde jej słowo. - Dasz się zaprosić na lunch? Oboje chyba zbyt wiele wczoraj powiedzieliśmy.

- Nie ma sensu. Ja nie żałuję ani jednego słowa. Kątem oka spojrzała z uznaniem na Scotta, na jego szerokie ramiona i kształtne pośladki. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

- To przez niego, tak? - mówił oskarżycielsko Joel. - Coś do niego czujesz.

- Nasz związek nie miał przyszłości. - Nie zamierzała z nim dyskutować na temat Scotta. - Oboje o tym wiemy. Zostańmy lepiej przyjaciółmi.

Z łazienki dobiegł dźwięk uruchamianej spłuczki, a zaraz potem zgrzyt odsuwanej zasłony prysznicowej i szmer wody.

- Przyjaciółmi - powtórzył cierpko Joel. - Kobiety zawsze tak mówią, kiedy znajdą innego. Dobra, nie bój się, wiem, kiedy się pożegnać. Daj znać, gdybyś zmieniła zdanie.

- Trzymaj się, Joel.

Odłożył słuchawkę. Lisa skrzywiła się i także przerwała połączenie. Sprawdziła, która godzina. Ósma dwadzieścia siedem, jęknęła w duchu. Spali niecałe cztery godziny. Musi jechać do mamy, ale najpierw weźmie prysznic. Mogła oczywiście poczekać, aż Scott wyjdzie, lecz nie zrobiła tego. Upuściła narzutę i weszła do łazienki.

Pomieszczenie było zaparowane. Scott stał w niedużej wannie, za zasłoną. Widziała tylko czubek jego głowy. Skorzystała z toalety i spuściła wodę. Zaklął głośno, najwyraźniej odcięła mu na chwilę dopływ zimnej wody. Odsuwając kotarę, by do niego wejść, wciąż się uśmiechała.

Do mamy zadzwoniła dopiero o dziesiątej, po tym, jak oboje ze Scottem wyszli z łóżka po raz drugi. Robin zapewniła ją, że Martha czuje się świetnie, a ona nigdzie się nie spieszy, dlatego nie ma powodu, żeby Lisa natychmiast przyjeżdżała do szpitala. Tak więc związała włosy w koński ogon, umalowała się dyskretnie i włożyła żółtą koszulkę oraz granatowe szorty. Wszystko to pod ciekawskim spojrzeniem Scotta, który włożył wczorajszy, nieco pognieciony garnitur. Z kieszeni wystawał mu zmięty krawat. Z jednodniowym zarostem i niewyspany wyglądał niesamowicie pociągająco. Właśnie trzymał Katrinę i przyglądał się znakowi wyrytemu na jej stopie. Lisa opowiedziała mu wszystko o lalce, wspominając o jej podobieństwie do dziewczynki z fotografii oraz o dziwnej reakcji Barty'ego na widok starej zabawki.

- Ona jest podobna do ciebie - stwierdził Scott, podając Lisie Katrinę. - Być może właśnie tak należy sobie tłumaczyć przerażenie twojego ojca. Zobaczył własną córkę w miniaturze, spaloną i sponiewieraną.
- Nie sądzę - odparła ostro Lisa, odkładając lalkę ostrożnie do szafy.

Scott otworzył przed nią drzwi pokoju. Wybierali się na wspólne śniadanie. Potem ona miała jechać do mamy, a on do biura.

- Zastanawiałaś się kiedyś, czy nie mogłabyś naprawić swoich relacji z ojcem? - spytał ostrożnie, wiedząc iż stąpa po cienkim lodzie.

Nie trzymali się za ręce, ale szli blisko siebie. Jeszcze nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tą nowo odkrytą bliskością. Na razie Lisę cieszyła sama możliwość przebywania ze Scottem.

- Nie - odparła lakonicznie.
- Może powinnaś - zasugerował.
- Chcesz rozmawiać ze mną o relacjach z ojcem?

- Spojrzała znacząco na bliznę pod jego okiem. Właśnie nadjechała winda. Weszli do środka i Scott nacisnął guzik. - A co z twoimi?

- Pracuję nad tym. Ty także powinnaś. - Kiedy drzwi windy otworzyły się na parterze, zdumionym oczom Lisy ukazała się sala pełna odświętnie ubranych ludzi, stojących przy szwedzkim bufecie. Kilka zaciekawionych spojrzeń powędrowało w kierunku ich obojga. Scott wziął ją pod rękę i poprowadził do drzwi wyjściowych.

- Na studiach nazywaliśmy to ścieżką wstydu - szepnął, a ona się uśmiechnęła.

Gdy wyszli na rozgrzany upałem parking, telefon Lisy znów zadzwonił. Zerknęła na wyświetlacz. Rinko.

Zdziwiła się, że telefonuje do niej w niedzielny poranek.

- Natychmiast przyjeźdź do domu Gardów - powiedział bez wstępu. - Znaleźliśmy tu coś, co cię z pewnością zainteresuje.

26

Nie możemy pojechać razem. - Lisa przystanęła obok swojego samochodu i spojrzała surowo na Scotta. Wyglądał jak mężczyzna, który całą noc grzeszył. Nie ma potrzeby afiszować się z tym przed współpracownikami.

- Nie puszczę cię samej - powiedział tonem nieznoszą-cym sprzeciwu. - To wyludniona okolica. Ponadto, o ile mnie pamięć nie myli, ostatnio, kiedy tam pojechałaś, ktoś cię uderzył.

- Jest biały dzień. A na miejscu czeka Rinko.

- Bez obrazy dla twojego piwnicznego kolegi, wcale mnie to nie uspokaja. Nie będę mógł skupić się na pracy, zamartwiając się o ciebie.

- Co powie Rinko, widząc nas razem w niedzielny poranek? Zresztą twój wygląd zdradza wszystko. To znaczy wyglądasz piekielnie seksownie, ale od razu można się domyślić, co robiłeś poprzedniego wieczora.

- Cieszę się, że ci się podobam. A jeśli już mowa o kompromitujących dowodach... - Pocałował ją w szyję. Sprawilo jej to niewysłowioną przyjemność, lecz jednocześnie jvystraszyła się, że ktoś ich zobaczy. Rozejrzała się niespokojnie po hotelowym parkingu. Nie dostrzegła nikogo znajomego, ale przecież znajdowali się w miejscu publicznym.

- Masz malinkę na szyi. O tu.

223

- Nie! - Oczy Lisy rozszerzyły się z przerażenia. Dotknęła miejsca, w które przed chwilą pocałował. - Naprawdę?

Posłał jej szeroki uśmiech i pokiwał głową. Lisa za karę dała mu kuksańca. Rozpuściła włosy, które zakryły czerwony ślad równie skutecznie jak golf. Niestety natychmiast zrobiło jej się równie gorąco jak w golfie.

- Malinka? Nie jesteśmy już w liceum.

- Wiem. Przepraszam. Poniosło mnie. Przypomniała sobie, jak bardzo poniosło ich oboje.

- Jedź do mamy, do szpitala, a ja sam zobaczę, co znalazł Rinko - zaproponował.

- Nie ma mowy. - Otworzyła drzwi po stronie kierowcy. - Ty zajmij się swoimi sprawami, a ja tam pojedę.

- Nie ma mowy. - Jak się tego należało spodziewać, ani myślał ustąpić. Popatrzył na nią ponad dachem samochodu, wsiadając na miejsce dla pasażera. - Jeśli ty jedziesz, to ja też.

- Jak sobie chcesz. Ale wiedz, że nasze biuro to kopalnia plotek i wszystkich zainteresuje życie intymne szefa.

- Świetnie. Może ja poprowadzę?

- Mój wóz, ja prowadzę.

- Uwielbiam, kiedy próbujesz mnie zdominować.

- Nie przeginaj. - Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

Wnętrze samochodu było gorące jak przedsionek piekła. Skórzana tapicerka wprost parzyła. Lisa otworzyła okna, uruchomiła silnik i włączyła klimatyzację. Spojrzała w lusterko - Scott nie kłamał, rzeczywiście miała na szyi czerwone kółeczko po pocałunku. Zgromiła go wzrokiem.

- Przecież ci mówiłem. - Rzucił marynarkę na tylne siedzenie i zasłonił to miejsce jej włosami. Lisa wykrzywiła się do niego.

Zapięła pas i wyjechała z parkingu. Kiedy klimatyzacja zaczęła działać, zamknęła okna. Na światłach skręciła w prawo. Na ulicach panował ruch, ale nie było korków. W niedzielny poranek ludzie odwiedzali głównie kościoły i restauracje.

- Powiemy, że spotkaliśmy się po drodze.

- Na pewno uwierzy.

- To będzie niezręczna sytuacja dla nas obojga. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie bez powodu miałem zasadę, żeby nie umawiać się z pracownikami.

-1 złamałeś ją.

- Tak. Wstąpimy po kawę do McDonalda?

- Świetny pomysł - uznała Lisa, podjeżdżając do okienka. Zamówiła dwie czarne kawy. - Moglibyśmy to potraktować jako jednonocną przygodę - zaproponowała, kiedy włączyli się z powrotem do ruchu. - Jeśli tak byłoby łatwiej.

- Nie. - Z dużą ulgą przyjęła jego stanowczą odmowę; właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- W takim razie zachowajmy dyskrecję. - Popatrzyła na niego z naganą. - Pokazywanie się razem w niedzielny poranek to nie jest dyskretne zachowanie.

- Będzie dobrze. - Scott uśmiechnął się szeroko. - Tylko nie zaczynaj mnie całować. - Udał, że nie widzi jej oburzonej miny. - Czego chciał Peyton? - spytał, zmieniając temat.

- Nie bądź wścibski. - Wyjechali z miasta na wyludnioną boczną drogę. Teraz Lisa się cieszyła, że nie jest sama.

- Nie powiesz mi?

- Zaprosił mnie na lunch. Na moment zapadła cisza.

- Przyjęłaś zaproszenie? - To pytanie było zadane z pozoru obojętnym tonem.

Lisa pokręciła głową. Nie chciała się z nim drażnić w ten sposób. Zasługiwał na szczerość.

-Nie. Poprosiłam, żebyśmy zostali przyjaciółmi. - Zerknęła na niego z ukosa. - Nigdy ze sobą nie spaliśmy, wiesz?

- Czyżby? -Tak.

- Dobrze wiedzieć - oznajmił z uśmiechem. - A ty?

- Czy śpiam z kimś innym? Nie.

- Słyszałam, że spotykasz się z jakąś dziewczyną z banku.

- Wywiad plotkarski działa. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Od jakiegoś czasu to nieaktualne. Dobrze, pomyślała, lecz nie powiedziała tego na głos.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczyła po chwili, podjeżdżając pod dom Garcíów.

Scott z uwagą obserwował budynek. Samochód Rinko stał zaparkowany na końcu długiego podjazdu.

Lisa zadrżała. Nic się nie zmieniło od czasu jej ostatniej wizyty.

Scott wypił resztkę kawy i odstawił pusty kubek. Lisa straciła ochotę na kawę. Rozejrzała się niespokojnie wokół w poszukiwaniu kolegi.

- Trzymaj się blisko mnie, rozumiesz? - Był to bardziej rozkaz niż prośba, lecz Lisa tylko posłusznie skinęła głową. Wysiedli z samochodu.

Wszędzie poza tym miejscem było jasno i słonecznie, typowy lipcowy dzień. Ale w ogrodzie Garcíów panował chłód i mrok, a ciszę przerywał jedynie chór cykad. Natychmiast poczuła się odizolowana od reszty świata. Była teraz bardzo wdzięczna Scottowi, że uparł się, by z nią tu przyjechać. Nie uważała tego miejsca za przyjazne. Śmiertelnie ją przerażało.

Chyba przesadzam, pomyślała. Postanowiła zadzwonić do kolegi.

- Jesteśmy - powiedziała do telefonu. - Ehm... Jest ze mną Buchanan - dodała ciszej. Scott posłał jej szydercze spojrzenie.

- Cholera. - Rinko wyraźnie się zmieszał. - Po co go przywiozłaś? Będzie wkurzony. Zabronił mi się mieszać do tej sprawy.

- Wybacz, nie wiedziałam. - Zerknęła na Scotta, który wyglądał na uosobienie łagodności. Tamten powinien jej podziękować. - Gdzie jesteś? - spytała.

Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Z lasu wyłoniła się trójka nastolatków. Zaskoczył ją nieco ich widok, choć nie powinien. To oczywiste, że Rinko zabrał swoich podopiecznych. Mogła się założyć, iż Jantzen także jest gdzieś w pobliżu. Jasnowłosa Ashley pomachała Lisie na powitanie. Sarah i Matt patrzyli na nich oboje z wyraźną ciekawością.

- A, widzę już dzieciaki. - Lisa pomachała do Ashley i przerwała rozmowę.

- Po prostu świetnie - mruknął Scott.

- To twoje zbłąkane owieczki - przypomniała mu.

- Taaa. Zaczyna się robić coraz ciekawiej. Zaraz pewnie pojawi się tu mój bratanek, który od dawna jest przekonany, że jesteś moją dziewczyną. Poza tym uważa cię za niezłą laskę.

- Rozmawiałeś o mnie z bratankiem? - zdumiała się Lisa.

Scott nie należał do mężczyzn, których by posądzała o zwierzanie się piętnastolatkowi. Idąc przez ogródek na spotkanie młodzieży, zerknęła trwożnie na dom. Poczula na ramionach gęsią skórę; przecież ostatnio, kiedy tu była, została przez kogoś napadnięta. Musiała się bardzo pilnować, żeby nie złapać Scotta za rękę.

- To on mi powiedział, że miałaś wypadek - przypomniał. -1 dodał kilka uwag od siebie.
 - Wyprowadziłeś go z błędu? Nie byłam twoją dziewczyną. - Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie własnych słów.
 - Nie, nie byłaś - zgodził się Scott, a fakt, iż również użył czasu przeszłego, sprawił, że Lisa poczuła przyjemny dreszcz emocji.
 - Rinko się wystraszył. Podobno kazałeś mu zostawić tę sprawę w spokoju.
 - Zgadza się - odparł ponuro. Jego ton wróżył tamtemu kłopoty.
 - Dlaczego?
 - Wolę, żeby jak najmniej osób się nią interesowało, póki nie ustalimy, o co chodzi.
 - A masz jakąś teorię?
 - Nie. - Pokręcił głową. - Na razie mamy tylko ciąg dziwnych zbiegów okoliczności, które wymagają sprawdzenia.
 - Zleciłeś to komuś?
 - Postanowiłem sam się tym zająć, na wypadek gdyby wyjaśnienie miało coś wspólnego z twoją osobą.
 - Dziękuję - odrzekła wzruszona. - To naprawdę urocze z twojej strony.
 - Ja nie robię „uroczych” rzeczy, księżniczko - oburzył się Scott.
- Poczuła przemożną chęć, by rzucić mu się w ramiona. Nieważne, że znów nazwał ją księżniczką. Ponieważ jednak mieli publiczność, Lisa zrobiła tylko śmieszoną minę i powiedziała:
- Czasem tak. Bądź miły dla Rinko. To dobry chłopak, on tylko próbuje pomóc.
- Scott chrząknął z powątpiewaniem. Dzieciaki zawróciły do lasu, dając znaki, żeby za nimi poszli. Ruszyli wąską ścieżką wśród drzew. Zagajnik był

tak gęsty, że przez zasłonę z liści przedostawały się jedynie pojedyncze promienie słońca. Miękka ściółka tłumiała odgłos kroków. Grube konary drzew oraz splątane krzewy porastał wijący się bluszcz. Wokoło pachniało ziemią, było tu cicho i spokojnie. Scott szedł tuż za Lisą, niemal deptając jej po piętach.

- Nie uwierzycie.

Ashley czekała na nich na niewielkiej polanie. Chase stał obok sterty liści z grabiami w ręku, obok niego Rinko, a Noah trzymał w rękach srebrne urządzenie wyglądające na wykrywacz metalu. Austin ścisnął w dłoni brudny rydel. Sarah i Matt również byli na miejscu. A także Jantzen, która najwyraźniej robiła zdjęcia. Cała grupka pochylała się nad wykopaną w ziemi dziurę. Wszyscy popatrzyli na nadchodzących.

- Bardzo dokładnie przeczesywaliśmy teren z wykrywaczem metalu. Centymetr po centymetrze - wyjaśnił Rinko. -1 zobaczcie, co znaleźliśmy.

Z dumą podał Scottowi tajemniczy krążek wielkości podkładki pod szklanę, cały w błocie, ale miejscami połyskujący złotawo. Zachowały się przy nim resztki niebieskiej wstążki. Medal, rozpoznała Lisa.

- Na awersie jest wizerunek książki. - Rinko był zbyt podekscytowany, żeby denerwować się obecnością Scotta. - Proszę spojrzeć na rewers. Marisa Garcia. I co wy na to?

Halo? Halo? Gdzie są wszyscy? - Ciszę przerwało wołanie dochodzące od strony domu. - Właściciele samochodów, gdzie się podziewacie? Halo? Wszyscy oprócz Scotta się obejrzeli.

- Dotykaliście tego? - spytał. Rinko wyglądał na speszonego.

- Zanim Rink i Emily do nas dołączyli - wtrącił się Chase, usiłując osłaniać ich opiekuna i zarazem szefa.

- Nie pomyślałem, że warto ich uprzedzić, by niczego nie dotykali - przyznał się zawstydzony Rinko.

Lisie zrobiło się go żal. Niełatwo przyznawać się do błędu w obecności tylu świadków.

Scott się skrzywił, ale nic nie powiedział.

- Gdyby nie ty, niczego byśmy nie znaleźli - odezwała się Jantzen, rzucając swojemu przełożonemu wyzywające spojrzenie i podchodząc bliżej do przyjaciela, który uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

W odróżnieniu od pozostałych chłopców, noszących dżinsy, Rinko miał na sobie krótkie pogniecione spodnie khaki i indyjską koszulę, włosy skręciły mu się pod wpływem upału, a okulary zsunęły na czubek nosa. Jantzen wyglądała ładnie i świeżo w różowej letniej sukience, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkocze. Stanowiliby niecodzienną parę, ale obecność koleżanki w ponurym lesie w niedzielny

poranek oraz zaangażowanie, z jakim broniła Rinko, dawały pewne nadzieje. - To ty wpadłeś na pomysł z wykrywaczem metalu. Tobie należą się podziękowania.

- Albo ochrzan - mruknął pod nosem Noah.

- Znaleźliśmy coś ważnego, prawda? - Ashley popatrzyła badawczo na Scotta. - To z pewnością należało do jednej z zaginionych osób.

- Godzinami prowadziliśmy poszukiwania - narzekał Matt. - Jestem cały pogryziony przez komary.

- Nie pożałujesz - pocieszyła go Ashley. - Pomyśl, jak to będzie wyglądało w twoim CV. Praca w biurze prokuratora okręgowego, pomoc w śledztwie.

- Ej, kujon - odezwał się Austin. - Nie każdemu zależy na takich rzeczach. Ja na przykład jestem tu wyłącznie z nudów. Oraz żeby uniknąć poprawczaka - dodał, zerkając na Scotta.

- A ja wolę to, niż iść z dziadkami do kościoła - wyznała szczerze Sarah.

- Ty natomiast przychodzisz tu po to, żeby być blisko Sary - zwrócił się Matt do Austina.

Chłopak się zaczerwienił i rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku zaskoczonej dziewczyny.

- A tobie podoba się Ashley.

Tym razem Ashley zrobiła głupią minę, a Matt oblał się purpurą.

- Wszyscy świetnie się spisaliście i powinniście być z siebie dumni - oświadczyła Lisa. Miała ochotę dać Scottowi kuksańca w bok za jego czarną niewdzięczność.

- Halo? Są państwo zainteresowani kupnem tej nieruchomości? Z przyjemnością oprowadzę was po domu. Kto tu jest? - Jowialny męski głos rozlegał się z coraz bliższej odległości. Nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

- Porobiłaś zdjęcia, zanim to wzięliście? - Scott zwracał się do Jantzen.

Pokręciła przecząco głową.

- Dopiero później - dodała.

- Lepsze to niż nic. - Ku zaskoczeniu Lisy Scott schował medal do kieszeni.

Spodziewała się, że potraktuje go jako materiał dowodowy, starannie zapakuje i zawiezie do laboratorium lub wezwie techników kryminalistycznych. Teraz nieco łagodniej popatrzył na zebranych. -

No, dobrze. Muszę przyznać, że wykonaliście kawał dobrej roboty. - Wszyscy - poza Rinko, który spoglądał odrobinę nieufnie - wyglądali na zadowolonych z pochwały. - Chodźmy sprawdzić, czemu ten facet tak krzyczy.

Kiedy wyłonili się z lasu, dostrzegli na ganku korpulentnego łysiejącego mężczyznę po pięćdziesiątce.

Dostrzegł ich natychmiast, pomachał i ruszył im na spotkanie.

Przedstawił się jako Jim Gage, agent nieruchomości. W niedzielę miał zwyczaj zaglądać do swoich lokali, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, wyjaśnił. Zaintrygowała go obecność samochodów na podjeździe. Z przyjemnością odpowie na wszelkie pytania dotyczące domu.

Od roku nikt tutaj nie mieszkał. Gage nie wiedział nic na temat rodziny, która zniknęła stąd przed trzydziestu laty. zaproponował, że pokaże im dom, na co skwapliwie przystali. Wpuścił ich głównymi drzwiami. Rozeszli się po różnych pomieszczeniach, każdy oglądał wnętrze na własną rękę.

Pokoi nie było zbyt wiele, trzy sypialnie i salonik. Do tego łazienka oraz kuchnia. Dom wyglądał, jakby go nie remontowano od lat osiemdziesiątych. W salonie centralne miejsce zajmował zniszczony brązowy dywan. Nie było tu klimatyzacji i panował okropny zaduch. Lisa wyczuwała w tym miejscu atmosferę grozy, być może dlatego, że cały czas miała w pamięci fakt, iż cała rodzina zniknęła stąd w tajemniczych okolicznościach. W policyjnych aktach zanotowano, że tuż

przed zaginięciem Angela Garcia kąpała Marisę. Wyobraziła sobie tę scenę, zaglądając do małej łazienki wyłożonej zielonymi płytkami. Wanna, umywalka i sedes wyglądały na bardzo stare. Spojrzała na wannę, i zobaczyła ją wypełnioną wodą oraz zabawkami do kąpieli. Odwróciła się prędko. Najdłużej zabawiała w kuchni. Tanie szafki z lakierowanego drewna były mocno nadszarpnięte zębem czasu. Jedyne urządzenie, jakie pozostało - prawdopodobnie dlatego, że nie nadawało się do użytku - to stara zmywarka. Brakowało lodówki i kuchenki. Linoleum z wzorem imitującym czerwoną cegłę z całą pewnością liczyło sobie mniej niż trzydzieści lat, co oznaczało, iż próżno by się na nim dopatrywać jakichkolwiek pozostałości krwi rozlanej w noc zaginięcia Gardów. Niewykluczone, że cała podłoga została wymieniona, i to więcej niż raz. Okno nad umywalką stanowiło doskonały punkt obserwacyjny, skąd widać było dokładnie każdego, kto się zbliżał do kuchennych drzwi. Scott, który przez cały czas nie spuszczał z oka Lisy, zadał Gage'owi pytanie, kto oprócz niego miał dostęp do domu.

- Każdy z pracowników agencji może poprosić o klucz. No i właściciele. Oraz byli mieszkańcy, którzy zachowali swoje klucze. Zamki nie były wymieniane.

- Sprawdziłam już, kto miał wtedy dostęp do domu - poinformowała Scotta. Jechali z powrotem do Lexington. Rinko i pozostali wyprzedzili ich furgonetką. Z rozbawieniem zwróciła uwagę, że za kierownicą siedzi Jantzen. Tamci wybierali się do Waffle House; Lisa i Scott odrzucili zaproszenie. - Sekretarka powiedziała, że nikt nie był umówiony. A zarówno właściciele, jak i poprzedni lokatorzy wyprowadzili się do innych stanów.

Scott rozparł się wygodnie na siedzeniu, wyglądał na zmęczonego. Jej także niewyspanie zaczynało się dawać we znaki.

- Nie traciłaś czasu.
 - Nie. Dlaczego dręczysz Rinko? Chcesz mu zepsuć cały dzień?
 - O co ci chodzi?
 - Słyszałam, jak mówiłeś, że ma się stawić w twoim gabinecie jutro o dziewiątej.
 - Odrobina stresu mu nie zaszkodzi. - Uśmiechnął się złośliwie.
 - Chyba go nie zwolnisz? Scott pokręcił głową.
 - Chcę jedynie, żeby na przyszłość wykonywał moje polecenia. Nie martw się o niego.
 - Moim zdaniem świetnie się spisali, znaleźli ten medal.
 - Tak. Następnie wykopali go i zatarli wszelkie ślady, jakie mogły na nim zostać - odparł surowo.
 - Czemu nie wezwałeś zespołu kryminalistycznego? - spytała zmartwiona. - Albo przynajmniej nie zabezpieczyłeś lepiej dowodu, na wypadek gdyby jednak zostały jakieś ślady?
- Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Wiejską drogę, którą jechali, nagle spowił mrok, na niebie zbierały się burzowe chmury.
- Nie chciałem robić niepotrzebnego zamieszania. Ta sprawa od wielu lat nikogo nie interesuje i może lepiej, aby na razie tak zostało. Medalowi przyjrzę się sam, nieoficjalnie.
 - Moje podobieństwo do Angeli Garcii coś znaczy, prawda? - spytała z lękiem Lisa.
 - Wszystko ma jakieś znaczenie.
 - Scott...
 - Skarbie, zanim podejmiemy dalsze kroki, musisz dobrze się zastanowić, czy rzeczywiście chcesz poznać prawdę. Czasami coś takiego wywraca ludziom życie

do góry nogami. Niektóre sprawy lepiej pozostawić bez wyjaśnienia.

- Mów - poleciła Lisa, zbierając całą odwagę. - Co takiego wiesz, czego ja nie wiem?

Ale on tylko wzruszył ramionami.

- Scott. Chcę wiedzieć.

- Michael Garcia włamał się do domu twoich rodziców w Marylandzie. Został aresztowany, ale po jakimś czasie wycofano zarzuty. Kilka tygodni później przeniósł się wraz z całą rodziną do Lexington.

- Ciekawy zbieg okoliczności. - Lisa wzięła głęboki oddech.

- Właśnie.

- Wiesz, że Angela Garcia pracowała w szpitalu, gdzie się urodziłam, prawda? Chociaż czas się nie pokrywa. Mieszkała już wtedy tutaj.

- Wiem.

- To wszystko ma ze sobą istotny związek. Nie poniosła mnie wyobraźnia.

- To raczej pewne. Komuś bardzo zależy na ukryciu prawdy. Tak bardzo, że podłożył ogień pod twój dom i pozbawił cię przytomności w domu Garcíów.

- Tylko jakiej prawdy? - Lisa gorączkowo przeglądała w myślach możliwości, które rozważała już dziesiątki razy. - Widziałam zdjęcia z własnych narodzin. Jestem pewna, że rodzice mnie nie adoptowali. Może jestem dzieckiem z próbówki. Angela Garcia sprzedała swoje jajeczka, a moja matka je wykorzystwała. Albo też moja rodzina jest w jakiś sposób spokrewniona z Garciami. A może to wszystko to tylko jeden wielki przedziwny zbieg okoliczności. Zwykły przypadek.

- Pamiętajmy, że ci ludzie zaginęli. Sprawdziłem wszystkie bazy danych, nie ma po nich śladu od tamtej nocy. Przez te wszystkie lata z nikim się nie skontaktowali, nie

korzystali z kart kredytowych, nie zatrudnili się nigdzie. Dla mnie oznacza to, że prawdopodobnie wszyscy nie żyją. Możliwe, że twoje zagadkowe podobieństwo do kobiet z rodziny Garcia nie ma absolutnie nic wspólnego z domniemaną śmiercią tych czworga.

-Ale...? - W jego głosie Lisa wyczuła powątpiewanie.

Właśnie wjeżdżała do miasta i musiała się trochę bardziej skupić na prowadzeniu. Furgonetka skręciła w lewo, żegnając ich dźwiękiem klaksonu. Na przednią szybę spadło kilka kropel deszczu, zbliżała się ulewa.

- Ale może też być inaczej. Możliwe, że w sprawę zamieszany jest ktoś z twojej rodziny.

- Uważasz, że zabił ich ktoś z moich bliskich? - zawołała z przerażeniem. - Kto? I dlaczego?

- Nie wiem. To tylko jedna z możliwości, którą należy wziąć pod uwagę. Cokolwiek spotkało tę rodzinę, wszystko zdarzyło się dawno temu. Nie możemy im pomóc. I boję się, że tobie mogłoby się coś stać.

- Mam zrezygnować? - Zakręciło jej się w głowie.

- Musisz wiedzieć, co ryzykujesz, decydując się na dalsze prowadzenie śledztwa. Później nie będziesz mogła się wycofać. Masz udane, bezpieczne, szczęśliwe życie, obiecującą karierę, ludzi, którzy cię kochają. Czy odgrzebywanie przeszłości jest na tyle ważne, żeby to stracić? A może lepiej zostawić wszystko tak, jak jest?

- Jesteś prokuratorem, na litość boską! - wykrzyknęła Lisa, zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy. - Być może mówimy o morderstwie. Wielokrotnym morderstwie. Powinieneś za wszelką cenę dojść do prawdy.

- Tak byłoby prościej, prawda? - Na jego ustach pojawił się nikły uśmiech. - Bądź pewna, że mam na uwadze wyłącznie twoje dobro. Nie podejmę żadnych działań, które mogłyby ci zaszkodzić.

- Dziękuję. - Wzięła głęboki oddech. - Za wszystko. Bardzo mi pomagasz. Nie dałabym sobie rady sama. - Skręciła do hotelu. - Ja jednak czuję się dziwnie zobowiązana wobec Garcíów, żeby wyjaśnić, co zaszło tamtej nocy. Inaczej nie odzyskam spokoju. Żałuję, że w ogóle zobaczyłam to zdjęcie, przeczytałam akta... Ale teraz, kiedy już to zrobiłam, nie potrafię odwrócić się plecami i odejść.

Patrzył na nią z dziwną mieszaniną czułości, irytacji i zrezygnowania. Lisa cieszyła się, że ma go po swojej stronie. Cokolwiek odkryją, nie będzie musiała mierzyć się z tą sprawą w pojedynkę. Scott był dla niej opoką, na której zawsze mogła się wesprzeć.

- Chcesz wysadzić w powietrze tę beczkę prochu, co?

- Tak. - Lisa roześmiała się nieco niepewnie.

- W porządku. Na początku tygodnia mają mi przysłać dane medyczne z początku lat osiemdziesiątych, dotyczące wszystkich, którzy mogą być zamieszani w sprawę: twoje, twoich rodziców i Garcíów.

Sprawdzam też każdego, kto był w pobliżu w okresie poprzedzającym zaginięcie. A także osoby mające wstęp do Grayson Springs przed pożarem. Specjalny program zajmuje się przetworzeniem fotografii Garcíów. Postarzymy ich, żeby móc zobaczyć, jak wyglądaliby dziś.

Lisa ustawiła swój samochód na hotelowym parkingu obok jego dżipa. Scott nie przestawał się w nią wpatrywać. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- O co chodzi? - Zmarszczyła brwi.

- Uważam, że powinnaś się poddać testom genetycznym. Moglibyśmy od razu wykluczyć kilka teorii. Albo i dodać, pomyślała.

- Też o tym pomyślałam, ale... - Rozpadało się na dobre. Powietrze przesycone było zapachem deszczu. -

Nie

chcę, żeby mama czegokolwiek się dowiedziała, nie teraz, kiedy jest w takim stanie. A nie potrafię wziąć próbki bez jej zgody. A Barty... Cóż, to całkiem odrębny problem. A... jeśli testy wykażą, że nie jestem ich biologicznym dzieckiem... - Głośno przełknęła ślinę. - Raczej wolałabym tego nie wiedzieć.

- Liso...

- Nie, jednak chcę wiedzieć. Muszę się dowiedzieć. Tylko... to mogą być moje ostatnie chwile z mamą.

Boli mnie, że mogłabym je tracić na coś takiego - mówiła przez zaciśnięte gardło.

Scott popatrzył na nią ze współczuciem i pocałował ją delikatnie. Łagodny z początku pocałunek wywołał falę napiętości, którą nagle przerwał dzwonek telefonu.

Lisa postanowiła nie odbierać.

- Zjemy razem obiad? - spytał Scott, usiłując zapanować nad głosem.

Z żalem pokręciła głową, jednocześnie odsłuchując wiadomość od Robin: „Doktor Spencer przyjdzie o czternastej i chciałby z tobą porozmawiać”.

- Muszę jechać do szpitala - oświadczyła.

- Pojechać z tobą?

- Przecież masz pracę.

- Poczeka jeszcze trochę.

- Nie trzeba. - Uśmiechnęła się do niego. Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa.

- Dobrze - zgodził się wreszcie. - Przyjadę do ciebie później.

Wziął z tylnego siedzenia marynarkę i wysiadł z samochodu, nie zwracając uwagi na deszcz.

Pojechał za nią do szpitala, zczekał, aż zaparkowała, odprowadził ją wzrokiem do wejścia, pomachał i odjechał.

Lisa była dość mocno zaabsorbowana własnymi myślami i dopiero pod drzwiami pokoju mamy zdała sobie sprawę, iż Scott nie pocałował jej na pożegnanie. Wydało jej się to - nie wiedzieć czemu - niepodobne do niego. Coś się z nim dzieje, pomyślała.

Mama miała gości. Pani Dalmain i pani Henderson przerwały jej rozważania na temat życia uczuciowego Scotta. Lisa została wciągnięta do rozmowy, a punktualnie o czternastej zjawił się doktor Spencer.

Martha Grant mogła zostać wypisana już we wtorek, brzmiała dobra wiadomość. Gorsza była taka, że zalecono przeniesienie pacjentki do hospicjum. Najgorsza zaś

- choroba weszła w ostatnie stadium.

- Ona nie zechce iść do hospicjum - mówiła roztrzęsiona Lisa lekarzowi. Powoli docierała do niej wiadomość, że mamie zostało już tylko kilka, może kilkanaście tygodni życia. - Nasz dom co prawda chwilowo nie nadaje się do zamieszkania, ale mogę coś wynająć albo...

Doktor Spencer, niski, szczupły siwowłosy mężczyzna w wieku Marthy, znany ze swojej bezpośredniości oraz oddania pacjentom, pokręcił głową i wyjął z kieszeni fartucha złożoną kartkę. Mama ufała mu bez zastrzeżeń, a Lisa nie widziała powodu, aby kwestionować jej zdanie. Mimo to trudno jej było zaakceptować sytuację.

- Pani mama potrzebuje całodobowej fachowej opieki.

- Wręczył Lisie kartkę. - Pozwoliłem sobie zarezerwować miejsce w Worley Center od wtorku. Tutaj jest nazwisko osoby, z którą należy się kontaktować, odpowie na wszelkie pytania. Oczywiście ma pani pełne prawo wybrać inną placówkę oraz zasięgnąć jeszcze czyjejś opinii. Ja uważam, że to najlepsze rozwiązanie dla pani Grant.

Lisa niechętnie przyznała mu rację. Wiedziała, że lekarzowi leży na sercu dobro pacjentki, lecz domyślając się reakcji mamy, postanowiła poczekać do poniedziałku, zanim jej powie.

Na szczęście Martha miała wielu gości zarówno po południu, jak i wieczorem, więc nie zwróciła uwagi na przygaszony nastrój córki. W dodatku Lisa zaszyła się w kącie ze swoim laptopem, mówiąc, że ma dużo pracy.

Scott złożył wieczorem krótką wizytę chorej, po czym zostawili ją w towarzystwie znajomych i zeszli do szpitalnego bufetu na kolację. Lisa opowiedziała mu o wszystkim, przyniosło jej to ulgę. Miał w sobie tyle spokoju, siły i zdrowego rozsądku. Kiedy wstał, bardzo pragnęła pójść za nim, spędzić kolejną noc z upragnionym mężczyzną, ale nie mogła zostawić mamy. Nie zrobiłaby tego, nawet gdyby nalegał. Tym razem pocałował ją na pożegnanie na oczach kilku zaskoczonych przyjaciółek Marthy.

Po jego odejściu ogarnęło ją nedorzecznie dotkliwie poczucie straty. Zaczynała za bardzo na nim polegać.

Usiadła do komputera, żeby popracować. Mama gawędziła z ostatnimi gośćmi, a gdy Lisa skończyła, chora spała już przy włączonym telewizorze.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się drobnej sylwetce na łóżku, słuchając ciężkiego oddechu Marthy. Bezradność wobec nieuchronnego odejścia ukochanej matki przepełniała ją niewysłowionym smutkiem. Nic nie mogła zrobić, by zatrzymać tykający nieubłaganie zegar. Wyłączyła telewizor, czując, że zbiera się jej na płacz. Powinnam iść spać, pomyślała. Było już po jedenastej, a o ósmej następnego dnia zaczynała pracę. Wiedząc, że nie zdoła zasnąć, postanowiła sprawdzić w wyszukiwarce internetowej znaczek, który odkryła na lalce. MBF i serce.

Wyjaśnienie okazało się zaskakująco proste.

Symbol był własnością firmy produkującej kosztowne lalki na zamówienie klientów indywidualnych. Litery MBF stanowiły skrót od My Best Friend. W latach 1978-1985 wytwarzano zaledwie kilka tysięcy rocznie. Potem firmę wykupiła duża korporacja. Klient wybierał kolor włosów, fryzurę, kolor oczu, skóry oraz ubranka. Lalki celowo upodabniano do ich małych właściolek. Firma sugerowała nawet, aby do zamówienia dołączyć zdjęcie dziewczynki.

Lisa wyszukała numer telefonu i adres producenta zabawek, który wykupił MBF. Postanowiła zadzwonić tam rano.

Wyłączyła komputer i przez chwilę siedziała w zadumie. Ktokolwiek zamówił Katrinę, popełnił błąd. Oczy lalki były niebieskie, a ona miała jasnobrązowe.

Od rana w biurze czekało ją mnóstwo pracy. Pratchett i Ellis zostali wezwani do sądu. Obrona Gaylina wносиła o uznanie swojego klienta za niepoczytalnego. Do Lisy należało odszukanie jego wcześniejszych kartotek medycznych, przeczących temu twierdzeniu. Zrobiła to jakiś czas temu, a teraz musiała zapoznać oskarżycieli z wynikami badań. Natychmiast po powrocie do biura prokuratora musiała z powrotem biec do sądu z kopiami rachunków telefonicznych potrzebnymi podczas sprawy-o zabójstwo, którą prowadziła Kane. Ta zaś z jawną wrogością wyrwała jej z ręki papiery. Znając powód złości koleżanki, Lisa nie przejęła się zbyt. Nie mogła ułagodzić tamtej, chyba że wyrzekłaby się Scotta, a nie miała na to najmniejszej ochoty. Następnie wstąpiła do komisariatu, żeby przejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni razem z funkcjonariuszem, który je zrobił. Korzystając z okazji, zeszła do piwnicy z dowodami, by przejrzeć rzeczy potrzebne na jutrzejszą rozprawę.

Dopiero o trzeciej po południu usiadła przy biurku. Mimo parasola, który wszędzie ze sobą nosiła, była cała przemoczona. Deszcz padał przez cały dzień.

W ramach opóźnionej przerwy na lunch otworzyła puszkę dietetycznej coli oraz paczkę krakersów z automatu, po czym wybrała numer firmy produkującej lalki.

Zanim zdążyła się połączyć z właściwym oddziałem, ujrzała Scotta w oficjalnym granatowym garniturze, z teczką

w dłoni. Szedł do swojego gabinetu w towarzystwie dwóch zastępców! rozmawiał przez telefon komórkowy. Zaskoczyła ją własna reakcja na sam jego widok. Od wczoraj nie mieli okazji się spotkać. Scott tylko zerknął w jej stronę, a Lisa śledziła go wzrokiem, póki nie zniknął za drzwiami. Z bijącym sercem rozejrzała się wokół, czy nikt nie zauważył jej poruszenia. Na szczęście wszyscy wydawali się zajęci swoją pracą.

- W czym mogę pomóc? - Usłyszała głos w słuchawce. Wyjaśniła, że poszukuje nabywcy lalki kupionej na początku lat osiemdziesiątych.

- Przechowujemy tego typu informacje, więc chyba będę mogła pani pomóc. Jaki jest numer seryjny zabawki?

- Numer seryjny?

- Do lalek dołączano certyfikaty potwierdzające autentyczność, a także opatrywano je numerami seryjnymi. Numer powinien być na plecach lalki.

Lisa nie pomyślała o odszukaniu numeru. Wolałaby nie czekać do następnego dnia, aby otrzymać potrzebne informacje.

- Nie mam go.

- A nazwisko i stan, w którym mieszkał kupujący?

- Grant - powiedziała na próbę Lisa. - Z Kentucky lub Marylandu.

- Proszę zaczekać. - Po chwili usłyszała: - Zgadza się. Jedna z naszych lalek została sprzedana niejakiemu panu C.B. Grantowi z Lexington w Kentucky, w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Barty. Ponad trzy miesiące przed jej urodzeniem. Zmarszczyła z namysłem brwi; czyżby zamówił lalkę, czekając na swoje pierwsze dziecko?

- Czy data, którą pani podała, to data zamówienia czy odebrania lalki?

- Wszystkie nasze lalki były raczej dostarczane niż

odbierane. Dlatego przechowujemy dane adresowe. To data złożenia zamówienia i dokonania wpłaty.

- A kiedy dostarczono zabawkę?

- Chwileczkę... Nie, nie mam tych danych. Zazwyczaj realizacja zamówienia trwała około czterech miesięcy.

Kwiecień, miesiąc jej urodzin.

Tylko skąd Barty mógł wiedzieć, jak będzie wyglądała, jeszcze przed jej urodzeniem?

Musiałby być niezłym jasnowidzem, gdyby zgadywał. Pomylił się jedynie co do koloru oczu.

- Czy ma pani dokumentację tego konkretnego zamówienia? - upewniła się Lisa.

- Tak.

- Czy jest w niej zdjęcie dziewczynki? - spytała, z trudem przelękając ślinę.

- Nie. Fotografie odsyłało razem z zamówieniami. Lisa podziękowała i odłożyła słuchawkę. Miała ochotę

natychmiast pobiec do Scotta, by mu powiedzieć, czego się właśnie dowiedziała. Rozejrzała się jednak i zrezygnowała z tego pomysłu. Zbyt wiele ciekawskich spojrzeń odprowadziłoby ją do drzwi gabinetu szefa, gdzie z własnej woli do tej pory nigdy nie zaglądała. Nie obchodziło jej, co tamci o niej pomyślą, ale martwiła się o Scotta. Ciężko zapracował na swoją pozycję, nie chciała go narażać na żadne nieprzyjemności w pracy.

Postanowiła zadzwonić do Bartnego. Nie odbierał, ale przyjęła to bez zdziwienia. Prawdopodobnie nie miał ochoty z nią rozmawiać. Nagrała wiadomość, prosząc ojca o kontakt.

Coraz bardziej nabierała podejrzeń, iż Katrina wcale nie została zamówiona dla niej, lecz należała do Marisy Garcii.

Pozostawało jednak zagadką, czemu Barty miałby zamawiać lalkę dla Marisy. Niezrozumiała była też późniejsza zmiana właścicielki. Natomiast faktem było, że Katrina o wiele bardziej przypominała Marisę niż Lisę. Zwłaszcza

jeśli tamta miała niebieskie oczy. Ponadto strój lalki wyglądał identycznie jak rzeczy, w które była ubrana dziewczynka na zdjęciu. Jaki z tego wniosek?

Być może Barty wykorzystał zdjęcie Marisy, zamawiając lalkę dla jeszcze nienarodzonej córki, ponieważ się domyślał, że będzie podobna do tamtej. Ze względu na pokrewieństwo. Jeżeli doszło do zapłodnienia in vitro, Barty z pewnością o tym wiedział. Michael Garcia włamał się do domu Grantów w Marylandzie. Czyżby powodem była jego wściekłość z powodu odkrycia, iż materiał genetyczny należący do jego żony lub też zarodek należący do nich obojga został wykorzystany do zabiegu? Wszystkie fakty musiały się jakoś ze sobą łączyć. Na razie Lisa nie miała pojęcia, w jaki dokładnie sposób.

Nagle przyszła jej do głowy myśl, że Barty mógł być zamieszany w zaginięcie Garcíów. W ich zamordowanie. Scott wspomniał, że sprawcą zbrodni mógł być ktoś z najbliższego otoczenia Lisy. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, iż najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest właśnie Barty. Poczula, że zaciska się jej żołądek. Chwyciła telefon i wysłała wiadomość do Scotta. „Muszę z tobą porozmawiać - napisała. - Przyjedziesz po pracy do szpitala?”.

Kolejne dwie minuty spędziła ze wzrokiem utkwionym w telefon w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Cześć. Chciałaś się ze mną widzieć? - spytał nagle, stając przy jej biurku.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zbrakło jej tchu. Z trudem oparła się pokusie, by rzucić mu się w ramiona. Posłała Scottowi znaczące spojrzenie, przypominając, iż nie są sami.

- Jest po piątej - powiedział głośno. - Muszę sobie zrobić przerwę. Pójdziemy na kolację?

Umawialiśmy się, że będziemy dyskretni - zaprotestowała Lisa.

Biegli do jej samochodu w strugach deszczu, rozchlapując stopami wodę. Scott trzymał parasol i obejmował Lisę w talii. Zdecydowali, że pojedą jej samochodem do włoskiej knajpki nieopodal prokuratury, a potem do szpitala, skąd Andy odwiezie go z powrotem do pracy.

- Do diabła z dyskrecją - odparł, przekrzykując głośny szum ulewy. - Nie mam zamiaru kryć się po kątach. Jak już mówiłem, o ile powstrzymasz się od całowania mnie na terenie biura, wszystko powinno być w porządku.

Zorientowała się, że siedzi na miejscu dla pasażera we własnym samochodzie, dopiero kiedy Scott zamknął za nią drzwi. Uśmiechnęła się do siebie.

- Zapomniałeś, że to mój samochód? - spytała z przekąsem.

- Chcesz prowadzić? I tu ją miał.

- Nie - przyznała, podając mu kluczyki.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. Uwielbiam jeździć jako pasażer.

- Kłamczuch - stwierdziła, zapinając pasy.

- Tylko kiedy sytuacja tego wymaga. - Scott uśmiechnął się szeroko.

Na światłach pochylił się, by ją pocałować. To był zwykły krótki całus, ale Lisa poczuła dreszcz na całym ciele.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać? - spytał. Westchnęła głęboko. Cały dobry nastrój znikł.

- Barty jest odpowiedzialny za zaginięcie Garcíów, prawda? Czy dlatego radziłeś mi, żebym przestała się tym interesować?

Nie odzywał się przez dłuższy czas.

- Nie będę zaprzeczał, że niektóre fakty na to wskazują - powiedział wreszcie. - Jednak brakuje niezbitych dowodów, że miał jakiś związek ze sprawą. Nie mam nic, co by mi pozwoliło nawet myśleć o postawieniu mu jakichkolwiek zarzutów.

- Ale sądzisz, że takie dowody istnieją. Pomyślała o Katrinie. Nie można było jednoznacznie stwierdzić, czy należała do Marisy Garcii. Tak jak zauważył Scott, przypominała także Lisę. Ale jej nie było jeszcze na świecie, kiedy wykonano lalkę. I nie miała niebieskich oczu ani sukienki przypominającej strój Katriny.

Uznała, że dokładne prześledzenie losów lalki może rozwiać wszelkie wątpliwości.

Zatrzymali się przed restauracją.

- On jest twoim ojcem.

- Wiem - odrzekła z trudem. Gardło miała ściśnięte.

- Poczekaj. - Scott sięgnął po parasol leżący na tylnym siedzeniu. - Podejdę do ciebie od drugiej strony. Skinęła głową na zgodę, ale otworzyła drzwi, zanim zdążył to zrobić, i wysiadła. Wbiegli razem do restauracji.

Lisa bardzo lubiła lokal Joe Bologna's z jego domową atmosferą i smakowitymi zapachami, dziś jednak nie potrafiła się tym wszystkim cieszyć. Dopóki kelnerka krążyła przy ich stoliku, podając drinki, zakąski i sałatki, rozmawiali o błahych rzeczach. Kiedy zostali sami, Scott popatrzył poważnie na Lisę.

- Wczoraj dostałem wasze karty medyczne, twoich rodziców i twoją. Jeszcze ich dokładnie nie obejrzałem, ale już natknąłem się na coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć.

Lisa przerwała jedzenie i powiedziała z trudem:

- Słucham.

- Jedz spokojnie. Po pierwsze, masz tę samą grupę krwi, co twój ojciec. Co oczywiście nie daje stuprocentowej pewności, że jesteś biologicznym dzieckiem swoich rodziców, ale też tego nie wyklucza.

- A po drugie?

- Byłaś bardzo chorym noworodkiem.

- Naprawdę?

- Nie wiedziałaś?

- Nikt mi nic nie mówił. - Pokręciła głową.

- Urodziłaś się za wcześnie, w siódmym miesiącu, ważyłaś niewiele ponad dwa kilogramy.

- O tym wiedziałam.

- Miałaś policystyczne nerki, to wada dziedziczna.

- To poważna choroba?

- Trzy czwarte dzieci nie dożywa pierwszych urodzin.

- To dla mnie zupełna nowość. Nigdy nie miałam problemów ze zdrowiem.

Podano im danie główne; Lisa stwierdziła, że nie tknie swojej lasagne.

- Co zapewne plasuje cię w grupie szczęśliwych dwudziestu pięciu procent - odparł Scott, zabierając się z apetytem za swoje spaghetti.

- Nigdy nie słyszałam o tej chorobie. Mówiłeś, że jak ona się nazywa?

- Autosomalna recesywna wielotorbielowatość nerek. ARPKD - wyrecytował. - Czemu nie jesz?

- Jakoś nie jestem głodna. Nie przypominam sobie,

żebym kiedykolwiek była na coś takiego leczona. Właściwie na nic nie chorowałam, jeśli nie liczyć ospy wietrznej, którą przeszedłam, mając sześć lat.

- Większość dzieci, którym udaje się przeżyć, odczuwa dolegliwości w późniejszym wieku.

- Zawsze byłam okazem zdrowia. - Lisa pokręciła głową.

- Wiem. To znaczy, tak myślałam.

- Spytam mamę.

- Spytaj. Ciekaw jestem jej wyjaśnień. - Popatrzył wyczekująco, widząc, że Lisa chce coś powiedzieć.

- Dowiedziałam się, co oznaczają litery MBF na lalce - wyznała z ociąganiem i zamilkła.

- Mam zgadywać czy mi powiesz? - spytał. Zdecydowała się opowiedzieć mu o wszystkim, choć nie była pewna, czy dobrze robi. Niczego już nie była pewna.

Deszcz przestał padać, ale ciemne chmury nadal wisiały nisko nad ziemią. Liczne kałuże błyszcząły w świetle ulicznych lamp jak klejnoty. Było dopiero wpół do siódmej, lecz mimo wczesnej pory zapadł już zmrok.

- Wolałabym tego nie robić - powiedziała, gdy wrócili do samochodu. Scott odruchowo usiadł za kierownicą i Lisa nie miała ochoty kłócić się z nim o to, kto ma prowadzić. - Słyszysz? - spytała, kiedy nie zareagował. Uruchomił silnik i włączył się do ruchu. - Nie chcę ciągnąć tego śledztwa.

- Słyszę. To prawdopodobnie słuszna decyzja. Przepęlniona poczuciem winy pomyślała o Gardach.

Ich twarze będą ją prześladować do końca życia. Jednak ważniejsze *od prawdy były dla niej więzy krwi.

- To Barty! - wybuchnęła. - Nie mogę tego zrobić. On jest moim ojcem.

- Rozumiem. - Wiedziała, że Scott naprawdę rozumie i stanowiło to dla niej pewną pociechę.

- Nienawidzę go za to, że nas porzucił. Zanieczywał mnie. - Roześmiała się gorzko. - Dzwoniłam do niego dziś po południu, żeby spytać o lalkę. Nie odebrał. Nie oddzwonił. Nie chce mieć ze mną zbyt wiele do czynienia. - Westchnęła. - Mimo to nie życzę mu, żeby został skazany za morderstwo. Samo takie podejrzenie mogłoby go zniszczyć. A także jego drugą rodzinę. Nie wiem sama, czemu mnie to obchodzi, ale tak jest. Głupia jestem, co?

- Nie. Po prostu jesteś przyzwoitym człowiekiem. Ja sam nie potrafię do końca skreślić własnego ojca. - Scott uśmiechnął się smutno. - Rodzina potrafi być przekleństwem. - Zaparkował auto pod szpitalem. - Przypuszczałem, że właśnie tak zareagujesz.

- Wiem, że źle robię. Prawda o Garciach powinna wyjść na jaw. Należy im się to. Tylko że tu chodzi o mojego ojca - szepnęła Lisa przez łyzy.

- Wiem - odparł ze współczuciem Scott i ją* pocałował. Przywarła do niego z całych sił.

-Masz mi coś... do powiedzenia, Annaliso? - Martha Grant uśmiechnęła się do córki po wyjściu Scotta i Andy'ego.

Lisa popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Mama siedziała na swoim wózku i wyglądała dużo lepiej. Odłączono wszystkie kroplówki i monitory, tylko nocą korzystała z aparatu tlenowego. Pielęgniarki mówiły, aby spędzała jak najwięcej czasu poza łóżkiem. Wróciły jej kolory, oczy błyszczały radością. Lisa siedziała na krześle po drugiej stronie stolika i podawała mamie kolację. Nie mogła się pogodzić ze świadomością, iż mimo pozorów powrotu do formy, stan chorej się pogarsza i za chwilę będzie jej musiała powiedzieć o przeprowadzce do hospicjum.

- Co masz na myśli? - spytała.

- Ciebie i Scotta. - Lisa się domyśliła, że panie, które

widziały ich wczorajszy pocałunek, nie omieszkały poinformować o wszystkim mamy. Nie przejęła się tym.

- Spotykamy się - odrzekła, nie zamierzając wdawać się w szczegóły. - To nic poważnego, miałam zamiar wkrótce ci o tym powiedzieć. O ile cała sprawa przetrwa dłużej niż kilka dni.

Nie chciała wprowadzać matki w błąd, dając do zrozumienia, że łączy ich wielkie uczucie. Sama musiała się najpierw zorientować, co właściwie jest między nimi. Na razie namiętność ograniczała jej zdolność logicznego myślenia. Przecież planowała powrót do Bostonu...

- Kiedy to... się zaczęło? - Martha bezskutecznie usiłowała opanować entuzjazm.

- Czwartego lipca. Na przyjęciu w country clubie coś nas do siebie przyciągnęło.

- Tak się... cieszę. Zawsze go... lubiłam. Od razu potwornie powrocie... pomyślałam, że... jesteście dla siebie... stworzeni. Powinnaś... - Jej słowa przerwało wejście pielęgniarki.

- Doktor Spencer prosił, żeby paniom przekazać, iż karetka przewiezie panią Grant do Worley Center o dziesiątej.

Martha zwróciła zdumiony wzrok na Lisę, która gwałtownie opuściła łyżkę.

- Dokąd?

Doskonale wiedziała, co to jest. Rozwagały kiedyś różne możliwości, zanim podjęła decyzję, że chce umrzeć w domu. Lisa złożyła wtedy obietnicę, której dziś nie była w stanie dotrzymać. Podziękowała pielęgniarce, a ta skinęła głową i wyszła.

- Jutro cię wypisują - zwróciła się do mamy z udawanym optymizmem. - Nie możemy jeszcze wrócić do Grayson Springs, doktor Spencer zaproponował więc Worley Center.

- Pogorszyło się... prawda? - Martha nie dała się oszukać.

Lisa bardzo chciałyby skłamać i oszczędzić jej rozpaczy, ale po raz kolejny złamałyby obietnicę.

Przyrzekła mamie, że nigdy nie będzie ukrywać przed nią jej stanu.

-Tak.

- Och. - Martha zbladła i zacisnęła dłonie na poręczach wózka.

- Gdyby nie pożar, nie jechałabyś tam jutro. - Lisa uklękła przed matką. - Choroba nie osiągnęła jeszcze tak zaawansowanego stadium. Po prostu dom nie nadaje się do zamieszkania, a...

- Zbliża się koniec - dokończyła za nią Martha, odzyskując spokój. - Dobrze... Poradzę sobie...

Przeczuwałam to... od jakiegoś... czasu. Nie boję się... Proszę... nie zamartwiaj się... o mnie. Ale mam...

jedną prośbę... Annaliso. Zabierz mnie... do domu... Dziś. Choć na chwilę... Żebym mogła... zobaczyć go... po raz ostatni.

- Mamo...

- Bardzo... proszę.

- Pada deszcz.

- Błagam, Annaliso.

30

Ale się cieszę - Martha była zachwycona. - Pierwszy raz... uciekam ze szpitala.

Lisa odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Schowała złożony wózek do bagażnika, a mamę posadziła obok siebie z przodu. Nie potrzebowała niczyjej pomocy, bo Martha była lekka jak piórko. Zapięta pasami siedziała teraz bezpiecznie w samochodzie. Lisa zgodziła się spełnić prośbę matki wyłącznie dlatego, że odmowa nie przeszłaby jej przez gardło.

Jechały do Grayson Springs.

- Doktor Spencer zabije mnie, jak się dowie - powiedziała tonem wymówki, udając dobry humor.

- Biorę to... na siebie - zachichotała Martha, wyglądając przez okno. - Jak dobrze... zobaczyć świat. Możesz... odsunąć szybę, żebym... mogła poczuć... zapach deszczu?

Spełniła jej prośbę, otwierając do połowy swoje okno. Do wnętrza samochodu wpadło ciepłe, wilgotne powietrze, pachnące ziemią. Martha odetchnęła głęboko.

- Uwielbiam deszczowe noce - powiedziała. - W taką się urodziłaś.

- Naprawdę?

- Tak. Twój tatuś... wioził mnie... do szpitala... w strugach deszczu. Wtedy... nie myślałam o pogodzie.

Byłaś...

253

wcześniekiem. Bałam się... A jednocześnie, cieszyłam... że będę matką.

- Czy urodziłam się chora? - Lisa skorzystała z okazji, aby zadać dręczące ją pytanie. - Z wadą nerek?

- Skąd wiesz? - Martha nie kryła zdumienia. - Tak właśnie... było. Na początku... wydawało się... że wszystko jest... dobrze. Dopiero... następnego dnia... lekarz powiedział mi... o twojej chorobie... ARPKD... Nic mi to... nie mówiło... Ostrzegano mnie... że możesz... nie przeżyć. Ze większość... noworodków z tą... wadą... umiera. - Zamilkła, a jej twarz okryła się bladością.

- Mamo... - przestraszyła się Lisa.

- Nic mi... nie jest... Zamyśliłam się. To była... najstraszniejsza chwila... w moim życiu. Gdybyś umarła... ja także bym... nie przeżyła.

- Ale wyzdrowiałam.

- Tak - uśmiechnęła się Martha. - Dzięki Bogu... Modliłam się o to... na kolanach... przy twoim... inkubatorze. Błagałam Boga, aby... nie odbierał mi... mojej córeczki. Lekarze mówili, że... trzeba czekać. Siedemdziesiąt pięć procent... maluchów umiera... w ciągu pierwszych kilku miesięcy. Chcieli cię... zatrzymać w szpitalu, ale się nie zgodziłam. Zabrałam cię... do domu... do Grayson Springs. Podjęłam słuszną... decyzję. Dziadkowie się nami... zaopiekowali. Prawie nie wypuszczałam cię... z objęć. Płakałam i modliłam się... dzień i noc. A ty... wyzdrowiałaś. To było jak cud... Annaliso. Prawdziwy cud.

- Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- Chciałam zapomnieć... to był taki straszny czas. Bałam się... zapeszyć. Obawiałam się, że jak zacznę o tym mówić... albo choćby myśleć... znowu zachorujesz - uśmiechnęła się. - Wiem, że to głupie... Ale lęk okazał się... silniejszy. Później byłaś... okazem zdrowia. Zachorowałaś tylko raz... na ospę wietrzną.

Wyjeżdżały z miasta na dwupasmową nieoświetloną szosę prowadzącą do okręgu Woodford. Lisa włączyła światła drogowe; w lusterku wstecznym dostrzegła dwa inne samochody, jeden blisko, drugi nieco w tyle. Przez otwarte okno do środka wpadał deszcz. Zamknęłaby je, gdyby nie mama.

- Ospa była straszna - oznajmiła Lisa tonem lekkiej pogawędki. - Swędziało i piekło jak diabli.

- Ciągłe się drapałaś... A ja kąpałam cię... w sodzie oczyszczonej.

-1 swędziało jeszcze bardziej!

- Soda miała... wyciągnąć wszystkie krosty... na wierzch... żebyś prędzej... wyzdrowiała - wyjaśniła ze śmiechem Martha.

- Torturowałaś mnie, mamó - Lisa także się roześmiała.

- Własne dziecko. Powinnaś się wstydzić.

Dojeżdżały do mostu na granicy z okręgiem Woodford. Z daleka widać było niski kamienny murek i czarną, błyszczącą jak ropa wstążkę rzeki. Poziom wody znacznie się podniósł z powodu deszczu i rzeka groziła wylaniem.

-Cieszę się... że jesteś ze Scottem - mówiła mama.

- Bałam się... że kiedy odejdę... zostaniesz sama.

- Nie mam zamiaru nigdzie cię puścić.¹ Nie tak prędko

- Lisa rzuciła jej groźne spojrzenie. - A jeśli chodzi o mnie i o Scotta, to jeszcze zobaczymy.

- Szkoda, że... - zaczęła Martha, lecz urwała, gdy coś uderzyło gwałtownie w samochód od tyłu.

Rozległ się przeraźliwy huk i wóz przekoziółkował w powietrzu. Lisa krzyknęła przeraźliwie, zacisnęła kurczowo dłonie na kierownicy i instynktownie zahamowała. Opony ślizgały się na mokrym asfalcie, zapachniało paloną gumą.

- Annaliso! - zawołała Martha.

Półprzytomna ze strachu Lisa kręciła kierownicą w prawo, próbując zawrócić jaguara ku środkowi jezdni, tylne

koła jednak zsunęły się już z szosy, pociągając za sobą całe auto. Mokra trawa była śliska jak lód, samochód toczył się bezwładnie, podskakując na wybojach i niebezpiecznie szybko zbliżał się do drzew. Lisa z całej siły nacisnęła pedał hamulca, lecz nagle coś pękło i jej stopa nie napotykała już oporu. Nie mamy hamulców, uświadomiła sobie z przerażeniem i niedowierzaniem. Czas stanął w miejscu. Każda sekunda zdawała się rozciągać w nieskończoność. Bezsilnie naciskała hamulec i manewrowała kierownicą, zdając sobie sprawę, że nic nie może już zrobić. Była bezsilna, straciła kontrolę nad samochodem, który minął o włos kamienny murek mostu. Tuż przedtem, zanim poleciały w dół, Lisa zauważyła po prawej stronie oślepiające światła innego auta. Jaguar wpadł do rzeki. Poduszka powietrzna uderzyła ją mocno w twarz, zakreśliła jej się w głowie, ale otrzeźwiła ją ciepła woda wlewająca się przez otwarte okno. Samochód tonął bardzo szybko, najpierw pograżył się tył, siedzenie zniknęło już pod wodą.

- Mamo! - krzyknęła w panice Lisa, usiłując wydostać się z krępującego ją pasa bezpieczeństwa.

Martha Grant przypominała szmacianą lalkę porzuconą na siedzeniu. Lisa przeraziła się, że matka straciła przytomność lub nie żyje. Odetchnęła z ulgą, kiedy mama obróciła głowę w jej stronę. Pozostało im kilka minut na wydostanie się z auta. Lisa nacisnęła klakson, mając nadzieję, że ktoś to usłyszy. Nie były przecież same na drodze. Ktoś w nie uderzył. Gdzie się podział? Głośno wzywała pomocy, cały czas walcząc z pasami, ale nie mogła ich odpiąć, za bardzo trzęsły jej się ręce. Woda dotarła już do deski rozdzielczej.

- Annaliso. - Mama wpatrywała się w nią intensywnie.

- Wydostanę cię. - Lisa odpięła wreszcie swój pas i sięgnęła do pasa nfatki. Woda sięgała im już do piersi.

- Nie - zaprotestowała Martha. Była przerażona. - Lada chwila pójdziemy na dno. Zostaw mnie. I tak umieram. Annaliso...

- Nie zostawię cię. Nie ma mowy - zaprotestowała Lisa, nie przestając szarpać się z zapięciem pasa. - Do cholery, czemu to...

Wystawiła głowę przez okno i po raz kolejny krzyknęła, wzywając pomocy. Udało jej się wyswobodzić matkę, ale woda była coraz wyżej. Od zatonięcia dzieliły je sekundy.

W oddali dał się słyszeć dźwięk syren alarmowych.

Martha chwyciła powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg, woda sięgała jej już do ust. Lisa uniosła mamę do góry, nie zważając na jej protesty. Krzyczała z całych sił.

Nie słyszała syren alarmowych. Nie słyszała niczego oprócz szumu wody i własnego oszalałego pulsu. Ciepła woda, owijała się wokół nich jak żywa istota. Już tylko głowa Lisy wystawała ponad powierzchnię. Martha unosiła się bezwładnie twarzą do góry. Lisa chwyciła ją i pociągnęła za sobą do okna.

- Pomocy! - zawołała. - Toniemy!

Za późno, zdała sobie sprawę. Nie doczekają się ratunku. Połykając litry brudnej wody, walczyła z naporem żywiołu, przepychając się przez otwartą szybę. Nie wypuszczała przy tym dłoni matki, która całkiem zniknęła w ciemnej toni.

- Mamo! - zawołała rozpaczliwie, choć nie spodziewała się odpowiedzi. Modliła się, żeby mamie zostało choć trochę powietrza. Sama zdołała się wydostać na powierzchnię. Przytrzymując się krawędzi okna, poruszała nogami, by utrzymać się na wodzie. Wreszcie udało jej się wyciągnąć także Marthę. Matka była nieprzytomna. - Mamo!

Ledwie dostrzegała, co się dzieje na brzegu. Nadciągała pomoc przy akompaniamencie głośnych syren i niebieskich migających świateł. Lisa bała się jednak, że zbyt późno.

Samochód poszedł na dno z głośnym pluskiem. Tak po prostu. Ledwie zdążyła puścić krawędź okna, na której zaciskała palce. Próbowwała płynąć z matką w ramionach, ale wciągał ją wir powstały po tonącym aucie. Martha wyślizgnęła jej się z rąk.

Nie!

Lisa gorączkowo przeszukiwała toń. Wreszcie, bliska utonięcia, musiała dać za wygraną. Wciągnęła haust powietrza, instynktownie walcząc o przetrwanie, choć w środku wszystko w niej krzyczało z rozpaczy.

Ciało Marthy Grant wyłowiono dopiero po kilku godzinach. Lisa czekała na brzegu owinięta w koc, który ktoś zarzucił jej na ramiona. Trzęsła się i płakała, stanowczo odmawiając odejścia. Opowiedziała policji, co zaszło. Dowiedziała się, że sprawca wypadku uciekł z miejsca zdarzenia. Spytali ją, czy kogoś zawiadomić. Scott przyjechał po piętnastu minutach.

Rzuciła mu się w ramiona. Był z nią przez cały czas, tulił, kiedy płakała, rozmawiał przyciszonym głosem z policją, chronił Lisę przed reporterami.

Deszcz już nie padał, lecz noc była wietrzna i pochmurna. Wiatr niósł ze sobą zapach rzeki, doprowadzając Lisę do szaleństwa. Nie mogła oderwać wzroku ani myśli od czarnej otchłani, która pochłonęła jej matkę. Całe pobocze zajmowały radiowozy, karetki oraz pojazdy mediów. Oprócz migających świateł ostrzegawczych miejsce tragedii oświetlały telewizyjne reflektory. Akcję ratunkową pokazywano na żywo publiczności zebranej przed odbiornikami. Lisa dowiedziała się o transmisji od wstrząśniętej Noli, która przyjechała, natychmiast po zobaczeniu relacji w telewizji. Podobnie jak Joel z ojcem, Robin, Andy i Lynn, a także wiele innych osób. Zwarta grupa stłoczona na brzegu za policyjnymi barierkami obserwowała z przerażeniem ratowników przeszukujących rzekę.

Ale to Scott stanowił dla Lisy największe oparcie w tych trudnych chwilach, w jego ramionach płakała, kiedy ciało mamy wynoszono na brzeg.

Zawiózł ją do swojego domu, chociaż Nola oraz Robin i Andy proponowali, żeby pojechała z nimi. Pokręciła tylko głową i z nim poszła. U niego instynktownie szukała pociechy. W domu pomógł jej wziąć prysznic, wezwał lekarza, podał środki uspokajające i pozwolił wypłakać się w swoich ramionach, póki nie zasnęła z wyczerpania. Był przy niej, kiedy się obudziła, zrobił jajecznicę na śniadanie i dopilnował, żeby Lisa choć trochę zjadła, zanim razem pojechali do domu pogrzebowego. Nie poradziłaby sobie bez niego.

Na trzeci dzień musiał wrócić do pracy, ale pilnował, aby Lisa nie zostawała sama w jego przestronnym mieszkaniu na ostatnim piętrze dawnego magazynu w centrum miasta. Nola przesiadywała z nią godzinami. Dzięki niej Lisa dokonała pewnego niepokojącego odkrycia. Przyjaciółka przyniosła albumy ze zdjęciami. Przeglądając je w poszukiwaniu zdjęcia matki, które zamierzała wystawić podczas uroczystości pogrzebowych, natknęła się na fotografię siebie samej, niespełna trzyletniej. Siedziała na schodkach wiodących do Grayson Springs, a u jej stóp leżał duży czarny pies. Taki sam jak na zdjęciu Gardów. Pod zdjęciem mama napisała swoim starannym charakterem: „Annalisa i Lucy”.

Cóż za przedziwny zbieg okoliczności, pomyślała obojętnie Lisa, która potrzebowała w tych dniach całej energii życiowej, aby po prostu przetrwać.

Oprócz Noli towarzystwa dotrzymywali jej Robin i Andy. Ich rozpacz była równie wielka. Usiłując ich pocieszać, Lisa sama znajdowała pocieszenie. Odwiedzał ją także Joel. Ze względu na Lisę on i Scott zawiesili broń. Barty przyjechał z Jill i dziećmi złożyć obowiązkową półgodzinną

wizytę kondolencyjną. Lisa się ucieszyła z obecności jego drugiej rodziny. Jill oraz jej synowie wzięli na siebie cały ciężar rozmowy, dzięki czemu wymieniła z ojcem jedynie kilka niezręcznych zdań. Odwiedzali ją także znajomi i sąsiedzi. Przynosili kwiaty, karty kondolencyjne oraz inne dowody życzliwości i pamięci. Chase przychodził bardzo często, jego koledzy także. Podobnie Rinko i Jantzen. Brat Scotta, Ryan, którego ledwie pamiętała, był u niej kilka razy. Przyjaciółki Marthy wypełniały po brzegi lodówkę Scotta domowymi specjałami, dzięki czemu każdego wieczora odbywało się improwizowane przyjęcie dla wszystkich obecnych w porze kolacji. Większość kolegów z pracy pragnęła złożyć Lisie wyrazy współczucia. Pod koniec tygodnia wszyscy w biurze prokuratora wiedzieli o jej związku ze Scottem. Nie przeszkadzało jej to, Scottowi chyba także nie. Ewentualne problemy mogące z tego wyniknąć rozwiążą kiedy indziej. Po pogrzebie, po zakończeniu medialnej hysterii oraz złapaniu sprawcy wypadku. Jeszcze nie ustalono, jakie zarzuty zostaną postawione tamtemu kierowcy. Rutynowa sekcja zwłok Marthy Grant wykazała, że przyczyną śmierci nie było utonięcie, lecz zatrzymanie pracy serca pod wpływem stresu. Biorąc pod uwagę stan zdrowia chorej, sprawca najprawdopodobniej odpowie za nieumyślne spowodowanie śmierci, nie zabójstwo. Chyba że...

- A jeśli to nie był wypadek?

Lisa wyartykułowała wreszcie podejrzenie dręczące ją od samego początku. Był niedzielny późny wieczór, dochodziła, wpół do dwunastej. Pogrzeb zaplanowano na poniedziałek o piątej po południu. Niemal cały miniony dzień Lisa spędziła w domu pogrzebowym, przy matce, leżącej w pięknej trumnie okutej brązem, którą wybierali razem ze Scottem. Przyjechał po nią o dziesiątej,

nalegając, żeby wróciła z nim do domu, mimo że ludzie ciągle przychodzili, by pożegnać zmarłą. Teraz Lisa siedziała skulona na czarnej skórzanej kanapie, przerzucając kanały. Celowo omijała wiadomości, gdzie podawano coraz to nowe informacje na temat wypadku, w którym straciła życie właścicielka słynnej stadniny Grayson Springs. Ze skórzaną kanapą sąsiadowały dwa pasujące do niej fotele. Ogromny plazmowy telewizor został przytwierdzony do ściany z cegieł. Wszystkie ściany w przestronnym pomieszczeniu pełniącym rolę kuchni, jadalni oraz salonu były niczym nieosłoniętym ceglany murem. Olbrzymie okna w stalowych ramach ukazywały gwiazdziste niebo nad Lexington. Błyszczące dębowe podłogi oraz sprzęty ze szkła i stali uzupełniały nowoczesny minimalistyczny wystrój. Mieszkanie miało dwie sypialnie. Jedną dużą, którą dzieliła ze Scottem, oraz mniejszą, przeznaczoną na domowy gabinet do pracy. Były tu także dwie łazienki. Idealne gniazdko kawalerskie, ale Lisa poczuła się w nim jak w domu.

- Celowe działanie? - Scott wyjrzał z części kuchennej, gdzie właśnie wyrzucał do kosza resztki kolacji. Oboje wzięli już prysznic - osobno, ponieważ nawet oszałamiający seks nie mieścił się teraz w kręgu zainteresowań Lisy, a on to szanował i nie nalegał, mimo że codziennie zasypiała w jego ramionach - i przebrali się po powrocie z domu pogrzebowego. Scott miał na sobie luźne szare spodnie i białą koszulę, a Lisa cienką bawełnianą koszulę nocną i niebieski szlafrok.

- Trzeba rozważyć, czy to możliwe. Sprawdziłem już, że twój ojciec był w tym czasie na przyjęciu dobroczynnym, widziało go tam kilkadziesiąt osób.

Lisa zadrżała na samą myśl, iż jej ojciec jest pierwszym podejrzanym o zabicie matki.

- Nie zrobiłby tego osobiście - powiedziała.

- Prawdopodobnie nie - przyznał Scott.

- Jeżeli to on, chcę, żeby go skazano. Za wszystko. Nieważne, czy to mój ojciec, czy nie.

- Zgadzam się. Śmierć pani Marthy wszystko zmienia. Zajmę się śledztwem. Ufasz mi na tyle, żebym mógł je poprowadzić?

Skinęła głową. Ufała mu bezgranicznie.

- To przestań się już zamartwiać. Będę cię o wszystkim informował. - Usiadł obok niej na kanapie i wyjął jej z ręki pilota. - Pooglądamy jakiś film?

Oparł się wygodnie i przeglądał telegazetę. Lisa popatrzyła na jego potargane włosy i nieogolone policzki. Wyglądał na zmęczonego. Trudno się dziwić, pomyślała. Zbliżały się dwa ważne procesy, w biurze jak zwykle było dużo pracy, a na dodatek nie sypiał zbyt dobrze z jej powodu. Lisa często budziła się z krzykiem, gdyż dręczyły ją koszmary, i za każdym razem przeżywała od nowa ten wypadek.

Wspólne oglądanie filmów stało się ich zwyczajem.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie robisz - powiedziała, przytulając się do Scotta.

- Nie ma za co - odparł nieco chłodno i przeniósł wzrok z Lisy na telewizor. - Może „Dzień Niepodległości”?

- Czemu nie? - Wiedziała już, że Scott lubi kino akcji. Ułożyła się wygodnie, mając nadzieję, że czeka ją półtorej godziny odpoczynku od myślenia. Zasnęła w trakcie filmu. Wystraszyła się, kiedy Scott ją wziął na ręce.

- Spokojnie - szepnął. - Już koniec. Zaniosę cię do łóżka. Natychmiast odprężyła się w jego ramionach.

Nic złego

nie mogło jej spotkać, kiedy Scott przy niej był. Zasnęła ponownie, jeszcze zanim ją położył. Śniła o mamie, widziała jej bladą twarz znikającą w czarnej toni. Usiadła gwałtownie. Drżała i z trudem łąpała powietrze.

- Lisa? - mruknął zaspanym głosem Scott. Zegar wskazywał trzecią dwadzieścia dwie, w sypialni panował mrok. Zorientowała się, że zasnęła w jego ramionach, a teraz go obudziła, zrywając się tak nagle. Leżał na wznak i patrzył na nią, przecierając oczy.

- Wszystko w porządku. Śpij - szepnęła. Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. Lisa z wdzięcznością wtuliła się w jego pierś.

- Zły sen? Kiwnęła głową.

- Tęsknię za nią - powiedziała z westchnieniem. Głos jej drżał. - Była przy mnie całe życie. To moja jedyna rodzina.

- Skąd. Masz mnie.

- Mama za tobą przepadała. - Lisa zamknęła oczy.

- Prosiła mnie, żebym się tobą zaopiekował. Tamtej nocy w szpitalu, kiedy byłaś zajęta rozmową z kochaniem. Obiecałem jej to. - Zamilkł, w jego ciele można było wyczuć napięcie. - Wiedziała, że jestem w tobie zakochany, zanim ja sam to sobie uświadomiłem.

Lisa szeroko otworzyła oczy, na moment zapomniała o oddychaniu.

- Co powiedziałaś? - spytała słabym głosem.

- To, co słyszałaś. Jestem w tobie zakochany.

- Jesteś we mnie zakochany - powtórzyła. Nie była kompletnie zaskoczona, a jednak nie spodziewała się takiego wyznania. - Mój Boże, Scott!

- Mój Boże, Scott? Co to ma, do cholery, znaczyć? Wzięła głęboki oddech.

- To znaczy, że ja także jestem w tobie zakochana

- powiedziała jasno i wyraźnie, z pełnym przekonaniem, po czym objęła go mocno i pocałowała. - Kocham cię

- powtórzyła jeszcze z ustami przy jego ustach.

Kochali się. I po raz pierwszy od śmierci mamy przespała całą noc bez żadnych koszmarów w ramionach Scotta.

Pogrzeb był dla niej strasznym przeżyciem. Jedyne obecność Septta pozwoliła jej to wszystko przetrzymać. Kościół pękał w szwach, lokalne media stały się w komplecie. Policja musiała ustawić barierki na cmentarzu, aby zatrzymać wścibskich dziennikarzy. Po ceremonii zaproszono przybyłych na tradycyjne przyjęcie, zazwyczaj urządzone w domu zmarłego; z oczywistych dla wszystkich względów odbyło się ono w country clubie. Lisa, ubrana w czarną sukienkę, stała w głównej jadalni, usiłując prowadzić uprzejmą rozmowę z przyjaciółką mamy. Z trudem skupiała się na słowach rozmówczynie. Miała zapuchnięte oczy i czerwony nos, nie płakała tylko dlatego, że już zabrakło jej łez.

- Mogę na chwilę przeprosić? - Nagle pojawił się przy nich Scott i posłał czarujący uśmiech zachwyconej nim starszej pani. W czarnym garniturze wyglądał zabójczo. Wziął pod rękę Lisę i wyprowadził ją na pusty korytarz.

- O co chodzi? - spytała, dostrzegając jego ponurą minę.

- Przed chwilą zadzwonił Watson. Prosi, żebyśmy natychmiast przyjechali do Grayson Springs. - Zawahał się i pogładził ją uspokajająco po ramieniu. - W ogrodzie pod fontanną znaleziono szczątki dziecka.

Przed bramą posiadłości zebrał się spory tłum. Lisa nie miała nic przeciwko temu, gdyż ci ludzie odwracali uwagę od samego domu, który boleśnie kojarzył jej się z mamą. Uspokój się, nakazała sobie surowo, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Płacz na oczach gapiów i kamer stanowczo nie był w jej stylu.

Oprócz radiowozów policyjnych, karetki oraz samochodu koronera, których należało się spodziewać, były także wszędobylskie wozy transmisyjne rozmaitych lokalnych stacji telewizyjnych, ciężarówki firmy budowlanej oraz prywatne auta, którymi najprawdopodobniej przyjechali ciekawscy sąsiedzi. Scott skręcił na trawę, by ominąć zaparkowane pojazdy i podjechać jak najbliżej. Wysiedli z samochodu i resztę drogi do ogrodu pilnowanego przez policję przeszli pieszo. Ekipy telewizyjne, niemające wstępu na teren posiadłości, filmowały wszystko z oddali. Jeden z reporterów rozpoznał Lisę i zawołał ją, prosząc o wywiad. Pokręciła głową, nie zatrzymując się. Scott uniósł taśmę policyjną, by Lisa mogła przejść, po czym za nią podążył. Nieopodal ganku policjant rozmawiał z kilkoma robotnikami. Brygadzista Bill Bruin pomachał do Lisy, która odwzajemniła pozdrowienie. Niedaleko ogrodu różanego stał żółty buldożer. Podeszli bliżej i zobaczyli uszkodzony murek,

a obok niego przewróconą fontannę. Kobieta w niebieskim kombinezonie technika kryminalistycznego robiła zdjęcia, a dwóch mężczyzn klęczało obok miejsca, gdzie przedtem stała rzeźba. Wokoło kwitły róże, a ich zapach był jeszcze intensywniejszy dlatego, że wiele krzewów zostało zmiażdżonych.

Detektyw Watson, który wcześniej wpatrywał się w otwór pośrodku fontanny, wyszedł im na spotkanie.

- Witamy, panno Grant. Cześć, Buchanan. - Skinął jej głową i podał rękę Scottowi. - Na początek proszę przyjąć ode mnie serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci matki, panno Grant.

- Dziękuję.

- Co tu macie? - spytał szorstko Scott.

- Mówiłem ci przez telefon: szczątki dziecka. Zostało zakopane pod fontanną. Robotnik stracił kontrolę nad buldożerem i niechcący przewrócił rzeźbę. Zobaczył pod nią kości. - Watson zerknął na Lisę. - Wiadomo pani cokolwiek na ten temat?

- Nie. - Pokręciła głową, czując jak krew ścina jej się w żyłach. Jakie dziecko? Posiadłość należała do rodziny Grantów od pokoleń.

- Od jak dawna tu były? - zwrócił się do Watsona Scott, kładąc rękę na ramieniu Lisy.

- Tego dowiemy się po badaniach. Panno Grant, ile lat ma ta fontanna?

- Stała tu, odkąd sięgam pamięcią. - Wzięła głęboki oddech; zaczynało jej się kręcić w głowie. - Proszę spytać Robin albo Andy'ego.

- Nie omieszka. Na razie nie ma ich w domu, a telefony komórkowe nie odpowiadają.

Lisa straciła w wypadku swój telefon razem z całą torebką, zegarkiem i innymi rzeczami. Nie wiedziała, która jest teraz godzina, ale przypuszczała, że zbliża się dziewiąta.

Andy i Robin wcześniej kładli się spać i zazwyczaj nigdzie nie wychodzili o tej porze.

- Byli na pogrzebie - powiedziała. - Pewnie wstąpili gdzieś po drodze.

- W jakim wieku było dziecko, którego szczątki znaleźliście? - spytał Scott.

- Niemowlę - odparł Watson. - Właściwie nawet noworodek. Nie mamy jednak do czynienia z późnym poronieniem ani niczym w tym rodzaju. Na więcej informacji trzeba poczekać.

- Jaka... była przyczyna śmierci? - chciała wiedzieć Lisa.

- Będziemy to wiedzieli po szczegółowej sekcji. - Watson wzruszył ramionami.

- Chłopiec czy dziewczynka? - Scott spojrzał w stronę fontanny, gdzie ludzie z biura koronera oglądali właśnie małą czaszkę.

- Dziewczynka.

- Scott. - Zrobiło jej się słabo. - Pójdę na chwilę przy-siąść na murku. Zaraz wracam.

Pokiwał tylko głową z roztargnieniem i cofnął rękę z jej ramienia. Dzień dobiegł końca, słońce już zaszło, na linii horyzontu pozostało kilka różowych i pomarańczowych promieni. Było parno i w powietrzu roiło się od owadów. Ukazywały się pierwsze gwiazdy. Lisa usiadła na ciepłym betonie, obrzucając pełnym żalu spojrzeniem ukochane znajome miejsca.

Mamo.

Zacisnęła dłonie w pięści. Musiała się skupić na otaczającej ją rzeczywistości. Potwornej rzeczywistości, która jednak wydawała się lepsza od rozdzierającej tęsknoty za tym, co minęło. Scott rozmawiał z detektywem Watsonem. Stali obaj nad drewnianą skrzynką, w której jedna po drugiej umieszczano małe kosteczki.

Lisa spojrzała na dom i ujrzała w oknie twarz Robin. Zamierzała powiedzieć o tym detektywowi Watsonowi, lecz widząc, że jest zajęty rozmową, postanowiła przyprowadzić gospodynię. Po drodze pomachała robotnikom przesłuchiwanym przez policję i przyspieszyła kroku, kiedy zauważyła, że odprowadza ją obiektyw kamery. W domu od progu zaatakowała ją dotkliwa pustka. Brakowało w nim mamy.

Musisz być silna, powiedziała do siebie.

- Robin? - zawołała. - Robin?

Hol wydawał się martwy, był ciemny, pusty, ponury. Wszędzie leżał kurz i pachniało stęchlizną.

Lisa zamknęła oczy, wzdychając z bólem. Nagle usłyszała za plecami jakiś dźwięk.

- Robin? - spytała, próbując przywołać na twarz uśmiech.

Nim zdążyła się odwrócić, upadła bezwładnie na podłogę.

Lisa?! - zawołał Scott.

Przeszukiwał dom z latarką pożyczoną od jednego z robotników. Kilkanaście osób widziało, jak wchodziła do środka. Postanowił biec za nią, kiedy tylko się zorientował, że nie ma jej na murku, i dowiedział się, dokąd poszła. Była sama zaledwie przez dziesięć minut.

A teraz nie mógł jej znaleźć.

- Lisa! - Jego wystraszony głos odbijał się echem od ścian. Przeszukali bezskutecznie wszystkie zakamarki. - Lisa!

Scott wyczuwał, że stało się coś. Zimny pot zrosił mu czoło. Wokół panowała złowieszcza cisza.

- Lisa! - Nadal nie odpowiadała.

Wybiegł z domu, wołając na pomoc Watsona.

Lisa ocknęła się z bolącą głową, w niewygodnej pozycji. Było jej duszno, nie miała czym oddychać.

Obijała się o twarde powierzchnie ciasnego pomieszczenia. Nie mogła się ruszyć. Wciągnęła w płuca stęchłe powietrze i otworzyła oczy.

Wokół panowała całkowita ciemność, nie widziała zupełnie nic. Leżała na boku, z kolanami pod brodą i rękoma związanymi na plecach. Nogi także miała skrępowane. I zakneblowane usta.

Ogarnięta paniką, usiłowała zrozumieć, gdzie jest i co się stało.

Wszystko wskazywało na to, że zamknięto ją w jakiejś metalowej skrzyni. Zostałam porwana, uświadomiła sobie z przerażeniem.

Ludzie szeryfa otoczyli teren i nie wypuszczali nikogo. Dom został gruntownie przeszukany, centymetr po centymetrze, nawet miejsca najbardziej zniszczone przez pożar i grożące zawaleniem. Sprawdzono każdy pojazd znajdujący się na terenie posiadłości, zaglądano do wszystkich budynków gospodarczych. Do poszukiwań włączyła się policja stanowa, pomagali funkcjonariusze z Lexington. Nie natrafiono na najmniejszy ślad Lisy Grant. Scott umierał ze strachu.

Watson próbował go pocieszać, mówiąc, że pewnie znudziło ją czekanie na niego i zabrała się z kimś do domu. Scott stanowczo odrzucił taką możliwość, mimo to wydzwaniał do swojego mieszkania co parę minut, aż całkiem zappełnił automatyczną sekretarkę, po czym poprosił Ryana, żeby tam pojechał.

Spełniwszy prośbę brata, Ryan osobiście zjawił się w Grayson Springs z informacją, że Lisy nie ma w mieszkaniu. Razem z Chase'em zgłosił się do pomocy w akcji poszukiwawczej. Nola i Joel przyjechali po otrzymaniu wiadomości od Scotta. Zadzwoił do nich, żeby potwierdzić to, co już przeczuwał: że Lisy nie ma u żadnego z nich. Natychmiast zaczęli telefonować do jej znajomych i przyjaciół. Nikt nie widział Lisy i nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Ludzie tłumnie ściągali do Grayson Springs. W ogrodzie odbywało się coś w rodzaju makabrycznego festynu. Dziennikarze byli zachwyceni. Nie dość, że znaleziono szczątki dziecka, to jeszcze zaginęła młoda piękna spadkobierczyni jednej z najsłynniejszych posiadłości w okolicy. To dopiero rewelacja z ostatniej chwili!

Scott szalał z niepokoju. Lisie przydarzyło się coś strasznego, nie miał wątpliwości. Musiał jakimś cudem pokonać strach i spróbować jej pomóc.

Widział tylko dwie możliwości: albo została uwięziona gdzieś w domu, albo ktoś ją uprowadził. Raczej to drugie, uznał. Znał nawet nazwisko porywacza.

Pojazd wiozący metalową skrzynię, w której była uwięziona, zatrzymał się. Lisa usłyszała trzaśnięcie drzwi. Jednych drzwi, a więc porywacz działał w pojedynkę. Jeśli zamierzała przeżyć, musiała zachować zimną krew i trzeźwy umysł. Nie miała złudzeń co do zamiarów napastnika. Chciał ją zabić.

Pozbawił ją przytomności uderzeniem w głowę, wywłókł z domu, skrępował taśmą i wrzucił do tej okropnej metalowej pułapki, a potem wywiózł z Grayson Sprins, daleko od Scotta, bez jakiegokolwiek nadziei na ratunek. Odgadła, że dotarli do miejsca, gdzie zamierzał pozbawić ją życia.

Boże, podzielę los Garcíów! Nikt mnie więcej nie zobaczy, pomyślała z przerażeniem.

Musiała coś zrobić, żeby się ratować. Łamiąc paznokcie, gorączkowo walczyła z taśmą krępującą jej nadgarstki. Gdyby tylko mogła dosięgnąć swoich szpilek... Może udałoby się rozedrzeć taśmę obcasem.

Hałas i drżenie podłogi powiedziały jej, że ktoś właśnie wskoczył do środka pojazdu.

Nie zdążę, nie zdążę, nie zdążę... - myślała, szarpiąc krawędzie taśmy.

Drgnęła ze strachu, kiedy porywacz mocno uderzył czymś w metal, a potem znieruchomiała. Prawie przestała oddychać, niczym zwierzę złapane w potrzask.

Pokrywa otworzyła się z głośnym skrzypnięciem i oczom Lisy ukazała się ciemna pozbawiona twarzy postać. W ręku

porywacza coś błysnęło. Na próżno próbowała uchronić się przed ciosem, który na chwilę pozbawił ją przytomności.

Gdy się ocknęła, niósł ją przewieszoną przez ramię głową w dół. Zanim odzyskała jasność myślenia, wydawało jej się, że to strażak ratuje ją z pożaru w Grayson Springs. Dopiero ucisk krepującej ją taśmy uprzytomnił Lisie grozę jej położenia. Porywacz niósł ją w głąb lasu, gdzie z pewnością zamierzał dokonać morderstwa. Jej oszalały z przerażenia umysł wysyłał sygnały, aby walczyła. Lisa nie chciała tego robić. Gdyby zaczęła szarpać się i krzyczeć, ryzykowała kolejny cios w głowę, którego mogłaby nie przeżyć.

O Boże, czy to Barty?

Ta myśl sprawiła jej większy ból niż fizyczne obrażenia. Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku? Przecież to niemożliwe, żeby nie żywił żadnych uczuć w stosunku do rodzonej córki. Może gdyby zdołała jakoś do niego dotrzeć...

Nie miała więcej czasu na myślenie. Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk strachu i rozpacz. Nie zdoła się już uratować. Napastnik zrzucił ją brutalnie w jakąś przepaść.

Barty Grant zdążył wrócić z pogrzebu byłej żony do domu, kiedy dotarła do niego wiadomość o zaginięciu córki. Natychmiast wyruszył z powrotem do Lexington. „Około dwudziestu minut temu był tutaj” - brzmiała odpowiedź Sanforda Peytona na pytanie Scotta o miejsce pobytu ojca Lisy. Peyton senior przyjechał do Grayson Springs zaraz po swoim synu. Scott przyjął tę informację z pozorną obojętnością, nie chcąc zdradzać długoletniemu przyjacielowi Granta swoich podejrzeń. Wychodząc z kuchni, w której rozmawiali, chwycił nawet jedną z kanapek

przygotowanych przez panią Baker w ramach poczęstunku dla przyjaciół, rodziny i funkcjonariuszy z przyniesionych przez kogoś produktów. Gospodyni, krzątając się, nie przestawała mówić, jak bardzo byłaby przerażona pani Martha, gdyby wiedziała, co się wydarzyło. Robin i Andy wrócili wreszcie do domu. Po pogrzebie, wyjaśnili Watsonowi, że wybrali się na przejażdżkę, aby uspokoić nerwy.

Tymczasem w Grayson Springs trafili na kolejny dramat. Oboje byli tak roztrzęsieni, że zdaniem Scotta bardziej przeszkadzali, niż pomagali. Próbował pocieszyć panią Baker, po czym zostawił Watsona na czele poszukiwań, a sam wyszedł, wyrzucając po drodze niezjedzoną kanapkę. Postanowił poczekać na Granta z daleka od tłumy gapiów, na początku zwirowej drogi wiodącej ku posiadłości. Chciał z nim porozmawiać w cztery oczy, zanim ten doświadczony prawnik zdąży się zorientować, że jest głównym podejrzanym. W oficjalnym przesłuchaniu nic z niego nie wyduszą, co może się skończyć tragicznie dla Lisy, myślał.

Grant zjawiał się po dwunastu minutach, najdłuższych w życiu Scotta, który spędził ten czas na modlitwie, choć nigdy nie był szczególnie religijny. Strasznie się bał, że nie zdąży uratować Lisy. Skoro Grant przyjechał tutaj, ona mogła już nie żyć.

- Jesteś pewien? Ten gość to sędzia - wahał się Ryan.

Scott wtajemniczył brata w swoje poczynania i poprosił o pomoc. Zamierzał posunąć się nawet do gróźb i przemocy, byle tylko się dowiedzieć, co z Lisą. Ryan zgodził się mu towarzyszyć, a co ważniejsze pożyczyć broń, którą kupił bez zezwolenia i przechowywał w schowku pod deską rozdzielczą.

Scott nie odpowiedział; zatrzymał się z piskiem opon w poprzek drogi, zagradzając przejazd białemu lexusowi. Auto stanęło.

- Cholera - mruknął Ryan.

Scott przystawił lufę pistoletu do głowy Granta, wkładając rękę przez otwartą szybę.

- Co do...? - Ojciec Lisy wpatrywał się w niego z niebotycznym zdumieniem.

-Wysiadaj.

- To ty, Buchanan? Na litość boską, straciłeś rozum?

- Wysiadaj! - wrzasnął Scott, szarpiąc Granta za poję marynarki. Wywłócił go zza kierownicy i wepchnął na tylne siedzenie. Wsiadł tuż za nim, nie opuszczając broni. Ryan zajął miejsce za kierownicą i podjechali pod opuszczony dom ojca. Po wyłączeniu świateł samochód stał się niewidoczny.

- Nie ruszaj się - warknął Scott, kiedy jego więzień chciał wysiąść w ślad za Ryanem. - Porozmawiamy sobie.

- To porwanie, Buchanan. - W głosie sędziego pobrzmiwały nutki strachu połączonego z wściekłością. Scott żałował, że nie widzi jego wyrazu twarzy w panujących ciemnościach.

- Gdzie jest Lisa? - spytał groźnym szeptem.

- Co? Skąd mam wiedzieć.

Scott z trudem oparł się pokusie, by uderzyć tamtego pięścią w twarz.

Lisa zaginęła dwie godziny temu i modlił się, aby jeszcze żyła.

- Dla ułatwienia najpierw powiem, co już wiem. Twoja córka urodziła się przedwcześnie z niebezpieczną wadą nerek. W Grayson Springs, pod fontanną w ogrodzie, odkryto szczątki noworodka. Zapoznałem się niedawno z kartą medyczną kobiety o nazwisku Angela Garcia. - Uśmiechnął się ironicznie, widząc gwałtowną reakcję Granta. - Widzę, że to nazwisko nie jest ci obce. W chwili zaginięcia owa kobieta była w ósmym miesiącu ciąży.

Wiem także, że regularnie, przez pięć lat dostawała od ciebie pieniądze, aż do dnia, w którym rozplynęła się w powietrzu. Wystawiałeś czeki za pośrednictwem lipnej firmy. Mam podpisane przez ciebie rachunki. Rodzina Garcíów zniknęła kilka miesięcy po przeprowadzce w te strony. Michael Garcia przechwalał się w obecności kilku osób, że niebawem otrzyma dużą sumę pieniędzy. - Grant wyglądał na przerażonego. - Założę się, że dziecko pochowane pod fontanną miało ARPKD. Podobnie jak nowo narodzona córka pani Marthy. Lisa nie cierpi i nigdy nie cierpiała na tę chorobę. Jest twoją córką, to się zgadza. Ale nie urodziła jej Martha Grant, tylko Angela Garcia.

Ojciec Lisy wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Starsza córka Angeli także była twoim dzieckiem, prawda? Kupiłeś jej lalkę na piąte urodziny. To także jestem w stanie udowodnić. Jak zapewne wiesz, Lisa wciąż ją ma, a producent przechowuje dane wszystkich klientów. Przez te wszystkie lata miałeś romans z Angelą Garcia w Waszyngtonie. Pod nosem jej męża oraz własnej żony. Utrzymywałeś nawet kontakt z Marisą. Nazywała cię wujkiem? Płaciłeś na jej utrzymanie, tak? Stąd regularne przekazy pieniężne dla Angeli. Kiedy drugi raz zaszła w ciążę, jej mąż się zorientował, a może was przyłapał. Z pewnością nie był zadowolony. Zażądał dużej sumy w zamian za milczenie, tak? Ociągałeś się z zapłaceniem, przeprowadził się zatem razem z Angelą i dziećmi bliżej ludzi, przed którymi chciałeś ukryć swoje drugie życie. Wiedziałeś, że ten facet nigdy nie zostawi cię w spokoju, nieważne, ile mu dasz pieniędzy. Postanowiłeś wynająć płatnego zabójcę albo załatwiłeś to sam. Zamordowałeś wszystkich poza noworodkiem. Jakimś cudem dziecku udało się przyjść na świat i przeżyć. Tym noworodkiem była Lisa. Zamieniłeś dzieci i usunąłeś umierającą córeczkę

Marthy. A teraz postanowiłeś pozbyć się jedyne go niepodważalnego dowodu swoich zbrodni. Własnej córki.

- Nie! - Grant sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał dostać zapaści. - To wcale nie tak! Ja...

- Zamknij gębę. - Scott chwycił go brutalnie za gardło, jednocześnie dotykając jego skroni zimną lufą pistoletu. - Chcę usłyszeć tylko jedno: gdzie jest Lisa?

- Nie wiem! Nie skrzywdziłbym własnego dziecka! Za kogo ty mnie uważasz?

- Zawrzyjmy umowę - wycedził przez zęby Scott. - Jeśli odzyskam ją całą i zdrową, zapomnę o wszystkim, co wiem. To, co zrobiłeś Garciom, pozostanie wyłącznie między tobą a Bogiem. Pytam po raz ostatni: gdzie ona jest?

- Przysięgam, że nie wiem! - zawołał Barty. Dłoń Scotta zacisnęła się mocniej na gardle sędziego. - Jezus, Buchanan, pozwól mi coś powiedzieć.

- Masz minutę - oświadczył Scott, posyłając mu mordercze spojrzenie i zmniejszając ucisk na krtań. Grant głośno zaczerpnął powietrza.

- Dobrze. Przyznaję, że Lisa jest moim dzieckiem. Co do tego się nie mylisz. Miałem romans z Angelą. Marisa także była moją córką. Ten podły bydlak, Garcia, dowiedział się o wszystkim i zaczął mnie szantażować. Krzyczał, że zabije żonę, a potem mnie zdemaskuje przed rodziną, chyba że mu zapłacę milion dolarów za milczenie. Nie miałem tyle. Cały majątek należał do rodziców Marthy. Tak też mu powiedziałem, a ten łajdak sprowadził się tutaj. I zamieszkał w pobliżu Grayson Springs. Zagroził, że powie o wszystkim moim teściom. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Kochałem Angie, Marisę, a także Tony'ego, choć nie był moim synem. Nie wiem, co się z nimi stało - mówił z żalem. - Pewnego dnia po prostu zaginęli. Dopiero kiedy Lisa zaczęła dorastać,

a podobieństwo stawało się coraz wyraźniejsze, nabrałem podejrzeń... - Urwał.

Scott umierał ze strachu na myśl, że rzeczywiście się pomylił. Jak wtedy znajdzie Lisę?

- Jakich podejrzeń? - spytał ochryple.

- Że to sprawka staruszka. Ojca Marthy. To on coś im zrobił, z pomocą tego przekłętego Frye'a.

Była śmiertelnie przerażona i obolała, ale nie martwa. Spadła z dużej wysokości do wody. Porywacz wrzucił ją do studni, tak jej się przynajmniej wydawało. Do starej nieużywanej zamkniętej studni. Nic nie widziała ani nie słyszała żadnego dźwięku poza pluskiem wody, kiedy się poruszała. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny i wilgoci. Woda sięgała jej do ramion, była zimna, lecz nie lodowata. Lisa wyczuwała pod palcami śliskie cegły i dotykała bosymi stopami mulistego dna wyścielonego zgniłymi liśćmi.

Aby utrzymać się przy życiu, musiała stać, bez względu na zmęczenie. Gdyby zasnęła z wyczerpania, utonąłaby. Z upływem kolejnych przeciągających się w nieskończoność minut zmęczone mięśnie drżały coraz mocniej, wyziębiony organizm dawał jasne sygnały, że długo już tego nie wytrzyma.

Andy Frye milczał jak grób.

- Oszalałeś - mruknął tylko z pogardą, kiedy Scott zacisnął dłonie na jego szyi.

Buchanan nie mógł mu zbyt wiele zrobić w obecności świadków. Głównie dlatego, że dwóch funkcjonariuszy odciągnęło go siłą. Musiał przekazać sprawę Watsonowi i zdać się na niego. Inaczej zostałby przewieziony do aresztu razem z Frye'em.

- On wie, gdzie jest Lisa. Musisz mi pozwolić to z niego wydobyć - błagał niemal na kolanach Watsona.

Detektyw był jednak nieprzejednany; nie zamierzał dopuścić de-znęcania się nad zatrzymanym. Jednak zachowanie Frye'a zdawało się potwierdzać podejrzenia, że jest on odpowiedzialny za zaginięcie Garcíów oraz Lisy.

Sprawca trafił pod ochronę systemu prawnego, a ofiary nadal nie odnaleziono. Scott niemal wariował, widząc swoją bezsilność. Nagle przypomniał sobie o pani Baker.

Lisa całkowicie straciła poczucie czasu. Nie wiedziała, czy stoi oparta o śliską ścianę studni kilka minut, godzin czy też dni. Opadała z sił. Udało jej się za to oswobodzić z krępującej ręce i nogi taśmy.

Pozbywszy się knebla, zaczęła krzyczeć, najgłośniej jak mogła. Wrzeszczała godzinami, mimo bólu gardła, lecz nikt nie przychodził. Nie poddawała się jednak. Mogła robić tylko dwie rzeczy: krzyczeć i modlić się.

Błagała Boga, aby nie pozwolił jej umrzeć. Szukała różnych sposobów ucieczki. Miała pod stopami coś, co uznała za kamienie, które mogłaby jakoś wykorzystać. Na przykład do wybicia w starym murze otworów, spróbowałaby się po nich wdrapać... Podniosła jeden z takich kamieni, lecz okazało się, że trzyma w dłoniach czaszkę. Minęło kilka chwil, zanim się zorientowała. Wyczuła pod palcami oczodoły oraz zarys szczęk i upuściła ją z krzykiem.

Czaszek było co najmniej trzy, tyle naliczyła. O jedną za mało, uznała. Nie miała wątpliwości, do kogo należały. I zaczynała się domyślać, kto wrzucił Garcíów do tej potwornej studni na pewną śmierć.

Bynajmniej nie Barty, lecz ktoś, kogo lubiła o wiele bardziej: Andy Frye.

Panią Baker przewieziono do okręgowego aresztu pod zarzutem współudziału w morderstwie. Płakała i cała się trzęsła. Nie chciała nikogo skrzywdzić, zawodziła. Janice

Bernard, od dwudziestu lat sprawująca urząd prokuratora okręgu Woodford, przychyliwszy się do usilnych nalegań Scotta, przedstawiła Robin propozycję współpracy: niech wyzna wszystko, co wie, w zamian za rezygnację z oskarżenia o współudział w zbrodni. Robin zgodziła się za radą swojego adwokata. Scott mógł jedynie asystować przy przesłuchaniu, nie mając uprawnień do podejmowania jakichkolwiek decyzji. Lisa została uprowadzona ponad jedenaście godzin temu. Miał nadzieję, że znajdują ją żywą.

Pierwsze pytanie zadane Robin Baker brzmiało: Gdzie jest Lisa Grant?

- Nie wiem - padła odpowiedź.

Scott, który obserwował przesłuchanie zza weneckiego lustra, wybiegł z impetem na korytarz, gotów rzucić się na tę straszną kobietę i siłą wydrzeć z niej prawdę. Przystanął na chwilę przed dwoma strażnikami pilnującymi wejścia do sali i właśnie wtedy nadszedł Chase.

- Co jest? - spytał z zapartym tchem, wiedząc, że bratanek nie przyszedłby, gdyby nie miał ważnych wiadomości.

- Znaleźliśmy ją.

Scott zrobił kilka kroków w tył i oparł się o ścianę.

- Z pomocą wykrywacza metalu. W studni za domem Gardów. - W głosie Chase'a słychać było dumę i podniecenie. Scott niemal osunął się na podłogę.

-Żyje?

- Myślisz, że bym się tak cieszył, gdyby nie żyła? - odparł z wyrzutem chłopak. - Nawet bym tu nie przychodził. Rinko albo tata musieliby ci powiedzieć. Oczywiście, że żyje.

Scott zamknął oczy, czując obezwładniającą ulgę.

Zanim Scott dotarł na miejsce, Lisa została już wyciągnięta na powierzchnię. Studnia była na skraju lasu, niedaleko miejsca, gdzie wcześniej grupa nastolatków znalazła medal Marisy. Natrafili na metalową pokrywę już w niedzielę. Po zaginięciu Lisy Rinko wpadł na pomysł, aby poszukać jej w starym domu Gardów, jako że wszystko tam się zaczęło. Pojechali wszyscy, razem z Jantzen. Nagle ktoś - nie potrafili się zgodzić kto - przypomniał sobie o studni. Postanowili do niej zajrzeć. Nie mogli jej odszukać, więc Noah przywiózł z domu wykrywacz metalu. Potem wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. Scott zaparkował swojego dżipa obok samochodów policyjnych oraz furgonetek należących do stacji telewizyjnych. Przed domem zebrał się spory tłum. Wśród pojazdów dostrzegł wóz techników kryminalistycznych. Przyjechali, żeby zabrać szczątki znalezione przez Li-sę. Podobnie jak większość zainteresowanych, Scott nie miał wątpliwości, że czaszki należą do Garcíów. Ruszył w stronę karetki z otwartymi drzwiami. W środku była Lisa opatrywana przez sanitariuszy. Chase i jego koledzy stali nieopodal, wyglądając na szalenie dumnych z siebie. Niech Bóg błogosławi tego chłopaka z wykrywaczem metali, pomyślał Scott. Jantzen i Rinko rozmawiali z policjantami. Rinko, którego w zeszłym tygodniu Scott dość ostro

zganiał za kontynuowanie śledztwa wbrew otrzymanym poleceniom, spojrzał na niego z obawą. Ale jego szef nie zwracał uwagi na nikogo poza Lisą. Była blada i przerażona, z jej czarnych włosów ściekały strużki wody. Z żałobnego stroju zostały strzępy, gdzieś po drodze straciła buty. Przemoczona i brudna pozostawała jednak nadal najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu.

- Hej - wykrztusił przez ściśnięte gardło, biorąc ją za rękę.

- Scott... - Posłała mu zmęczony uśmiech i zacisnęła palce na jego dłoni. - Bałam się, że już cię nie zobaczę. Patrząc w ogromne karmelowe oczy Lisy, uświadomił sobie, że jej piękna twarz już na zawsze wryła mu się w serce.

Nie zdołał wykrztusić ani słowa, pokiwał tylko głową.

- To nie był mój ojciec.

- Wiem.

- Tylko Andy.

- Zamknęliśmy go. Między innymi pod zarzutem zamordowania Garcíów.

- Panie Buchanan - odezwał się sanitariusz, który właśnie okrył Lisę kocem. Scott nie mógł sobie przypomnieć imienia mężczyzny, ale pamiętał, że go zna. - Mógłby się pan trochę odsunąć? Trzeba zamknąć drzwi.

- Nie zostawiaj mnie. - Lisa ścisnęła kurczowo jego dłoń.

- Za nic w świecie. Jadę z wami - zwrócił się do sanitariusza, a ten pokiwał głową.

Scott trzymał ją za rękę przez całą drogę.

Na miejscu stwierdzono wstrząśnienie mózgu i liczne drobne obrażenia. Nic, co by wymagało dłuższego pobytu w szpitalu. Czekali zatem w izbie przyjęć, aż Lisa będzie mogła jechać do domu. Wzięła już prysznic i przebrała się w żółtą bluzkę, dzinsy oraz sandały. Ubranie przyniosła

Nola; od razu po otrzymaniu wiadomości o odnalezieniu się przyjaciółki przybiegła do szpitala. Zresztą nie tylko ona. Pielęgniarka śmiała się, że potrzebna im większa izba przyjęć, skoro mają się tu pomieścić takie tłumy. Barty Grant, który przyszedł odwiedzić córkę, podał rękę Scottowi. Lisa ucieszyła się z wizyty ojca, choć nie bardzo mogli rozmawiać wśród tylu osób. Wreszcie zniecierpliwiony personel wyprosił wszystkich poza Scottem, który i tak nigdzie by nie poszedł, tym bardziej że Lisa dała jasno do zrozumienia, iż życzy sobie, by został. Siedział więc na krześle przy łóżku ukochanej. Właśnie skończył rozmawiać z Watsonem. Testy potwierdziły, że dziewczynka, której szczątki znaleziono w Grayson Springs, chorowała na ARPKD. Miał jeszcze jedną rzecz do powiedzenia Lisie, ale odkładał to na później. Może jutro, kiedy już trochę ochłona.

- Co powiedział? - Popatrzyła na niego badawczo. Scott westchnął. Ostatnio prawie o niczym jej nie mówił,

nie chcąc, by miała jeszcze więcej powodów do zmartwień. Nie wiedziała o ciąży Angeli Garcii. Nie wiedziała, że jest jej córką.

- Porozmawiamy w domu - zaproponował. Wolał, żeby nie dowiadywała się o tym wszystkim w anonimowym wnętrzu izby przyjęć. Lisa pokiwała głową ze smutnym uśmiechem.

- A propos: zdaje się, że powinnam poszukać sobie własnego kąta.

Popatrzył na nią bez słowa.

- O co chodzi?

- Możesz, u mnie zostać, jak długo zechcesz - powiedział z udawaną swobodą. - Szkoda zachodu, żeby coś wynajmować, skoro i tak zamierzasz wrócić niedługo do Bostonu. - Nie miał zamiaru okazywać, jak bardzo go to smuci. No cóż, od samego początku znał jej plany.

- Nie wiem, czy wrócę do Bostonu. - Lisa spojrzała na niego uważnie. - To zależy.

- Od czego? - spytał, czekając z zapartym tchem na odpowiedź.

- Od kogo - poprawiła, uśmiechając się do niego. - Od ciebie.

Czyżby go podpuszczała? Nieważne, zdecydował. I tak musiał spytać.

- A może tu zostaniesz? I wyjdiesz za mnie?

- Oświadczasz mi się? - Otworzyła szeroko oczy. -No.

- Niewiarygodne! - Lisa wlepiła w niego zafascynowany wzrok. Nagle Scott poczuł się nieswojo, wstał i zaczął chodzić po sali.

- Tak brzmi twoja odpowiedź? -Nie.

Popatrzył na nią spod zmrużonych powiek.

- Nie, to nie jest moja odpowiedź - oświadczyła dobitnie Lisa. - Moja odpowiedź brzmi: tak.

Scott odetchnął głęboko i podszedł, żeby ją pocałować. Ich namiętny uścisk przerwało nadejście pielęgniarki z kartą wypisu.

W domu Scott oświadczył się jak należy. Przykląkł przed Lisą i powiedział, że ją kocha nad życie.

Wygłosił wszystkie te sentymentalne bzdury, których przenigdy by się po sobie nie spodziewał. A każde słowo było prawdziwe.

Potem pocałowali się i zaniósł ją do łóżka, gdzie natychmiast zasnęli.

Kochali się dopiero nad ranem. Później wtulona w niego, wysłuchiwała całej historii.

- Moja mama? Nie była moją prawdziwą mamą? Przecież tak bardzo mnie kochała. A ja kochałam ją.

Wszystko to... Całe moje życie było kłamstwem.

Scott miał wrażenie, jakby sztylet przeszył jego serce, tyle bólu brzmiało w słowach Lisy. Nagle zdał sobie sprawę, że tak już będzie. Jej cierpienie to także jego cierpienie. Miłość jest straszna, pomyślał, ale nie było odwrotu. Przytulił Lisę i powiedział:

- Miłość Marthy Grant nie była kłamstwem. Kochała cię ponad wszystko, byłaś dla niej całym życiem. A ty ją uwielbiałaś jak każda oddana córka. Tylko to się liczy. Tak jest w prawdziwej rodzinie.

Pocałował ją mocno i kochali się jeszcze raz. A potem jeszcze.

Po południu Lisa poczuła się na tyle dobrze, że pojechała do aresztu, aby zza weneckiego lustra posłuchać, co ma do powiedzenia Robin. Przesłuchanie prowadziła prokurator okręgu Woodford, Janice Bernard, energiczna siwa kobieta po sześćdziesiątce, a towarzyszył jej detektyw Watson. Rozpoczęta poprzedniego dnia rozmowa została przerwana, gdy odnaleziono Lisę i szczątki tamtych trojga. Naturalnie Lisie towarzyszył Scott, bo teraz prawie się nie rozstawali. Szaleli za sobą, a poza tym nie doszli jeszcze do siebie po szoku spowodowanym porwaniem.

- Ale jutro - powiedział z udaną surowością Scott - wracamy do normalnego życia. I do pracy. Już nie mogła się doczekać tej normalności u jego boku. Może być zabawnie, pomyślała. Życie nigdy nie będzie takie, jakie było przed śmiercią mamy, co nie znaczy, że zabraknie w nim szczęśliwych chwil. Barty spytał, czy może się do nich przyłączyć. Raczej ze względu na Garcíów niż na nią czy Marthę, jak podejrzewała Lisa, która wciąż miała do niego wiele żalu. Dobrze, że przynajmniej nie jest mordercą, stwierdziła, niemniej jednak - jeśli chodziło o nią - nadal pozostawał w grupie złoczyńców.

Robin siedziała za długim stołem konferencyjnym w małym beżowym pokoju bez okien. Na jej widok

Lisa

poczuła falę mdłości. Mama kochała tę kobietę i ufała jej bezgranicznie. Ona także.

- Pani Baker - Janice Bernard rozpoczęła przesłuchanie.

- Mamy dowody, iż to Andrew Frye strzelał do członków rodziny Garcíów. Nie potrzebujemy już pani pomocy. Skorzystamy z każdego pretekstu, aby wycofać się z umowy zawartej w celu odnalezienia Lisy Grant. Takim pretekstem może być przyłapanie pani na kłamstwie. Skłamała pani, twierdząc, że nie wie, gdzie jest porwana. Proszę mi to łaskawie wyjaśnić.

- Ja... ja nie wiedziałam - wyjąkała przerażona Robin.

- Nie miałam pewności. Andy ukrył ją w skrzyni na broń i włożył do furgonetki. Ja wysiadłam po drodze, miałam zrobić zakupy w sklepie. Powiedział, że w ten sposób zapewnimy sobie alibi.

-1 mam uwierzyć, że nawet się pani nie domyślała, dokąd chciał zabrać Lisę? Wiedziała pani, że zamierzał ją zabić. To oczywiste, że wybrał sprawdzoną kryjówkę, gdzie przez tyle lat spoczywały zwłoki Garcíów. - Detektyw Watson mówił ostrym tonem. Lisa zaczynała go lubić.

- Nie chcieliśmy jej zabić. - Robin złożyła ręce i popatrzyła na prokurator Bernard. - Nie Lisę. Po prostu sprawy wymknęły się spod kontroli! Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zaczęła węszyć wokół sprawy Garcíów. Myślałam, że Andy dostanie zawału, kiedy pewnego dnia wróciła do domu z pracy i od razu zaczęła o nich wypytywać. Potem znalazłam te akta w jej sypialni i powiedziałam o tym Andy'emu. Musieliśmy coś zrobić, żeby odwrócić jej uwagę. Nie mogliśmy zwyczajnie ukraść dokumentów, bo to jeszcze podsyciłoby jej upór. Poza tym oprócz nas w domu była tylko Lynn, więc natychmiast ściągnęlibyśmy na siebie podejrzenia. Andy postanowił wzniecić mały pożar obok pokoju Lisy i zabrać papiery, kiedy ona będzie musiała uciekać. Mieliśmy

nadzieję, że w zamieszaniu zapomni o teczce, a potem uzna, że akta spłonęły.

- A zatem to Andrew Frye podpalił Grayson Springs - podsumowała Janice Bernard, nie zdradzając cienia emocji. W przeciwieństwie do Watsona, który miał wszystko wypisane na twarzy.

- Tak. Ale nie zamierzaliśmy nikogo skrzywdzić. Chcieliśmy jedynie zabrać te akta. Tylko że Andy zapomniał o zapasowych pojemnikach z tlenem pani Mariny, które były w jej dawnej sypialni. A one wybuchły i ogień rozszalał się na dobre. Nie przewidzieliśmy tego.

Lisa zadrżała na wspomnienie tamtych strasznych chwil. Omal nie spłonęła żywcem. Gdyby nie Scott... Wyczuł jej poruszenie i objął ją.

- Nie chcieliście nikogo skrzywdzić - zadrwił Watson, a pani prokurator skarciła go spojrzeniem.

- Nie! Nigdy! Andy nie chciał. Ale Lisa drażyła i drażyła. To dlatego, że jest tak bardzo podobna do nich obu. Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, pewnie byśmy nie... cóż. Po pożarze zaczęliśmy się naprawdę bać. Te dowody, o których mówicie... Andy zgubił swoje nieśmiertelniki z wojska. Podejrzewał, że stało się to właśnie tamtej nocy w kuchni Garciów. Gdyby je znaleziono, policja wzięłaby go pod lupę, więc przeszukał cały dom, ale bez skutku. Mijały lata, nic się nie działo i niemal o nich zapomniał. Dopiero kiedy Lisa wywlokła tę starą sprawę, pojechał tam, żeby jeszcze raz ich poszukać. Mogły wpaść do jakiejś kratki wentylacyjnej. Wtedy zjawiała się Lisa. Nie mógł pozwolić, by go zobaczyła, musiał ją pozbawić przytomności. Zrobił to z dużymi oporami. Ale Lisa po prostu nie chciała przestać wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Zatem sama jest sobie winna - skwitował Watson, a Janice zgromiła go wzrokiem po raz kolejny.

- No właśnie! Zawsze była uparta. Pani Martha powtarzała, że nie wie, po kim ona to ma. Barty poruszył się niespokojnie. Ciekawe, czy Angela Garcia była uparta, pomyślała Lisa. Ojciec z pewnością to wiedział, przecież dobrze ją znał, kochał tę kobietę. Nie potrafiła myśleć o niej jak o matce, tęskniła za Martha i chciała być wobec niej lojalna. Nie podobała jej się również wizja Barty'ego przez tyle lat zdradzającego żonę.

- Wtedy Andy postanowił zabić Marthę Grant, pozorując wypadek, w którym utonęła. - Głos Janice Bernard był spokojny i rzeczowy.

Lisa zaczęła się trząść.

- Nie musisz tego słuchać - szepnął jej do ucha zatroskany Scott. - Zaczekamy na zewnątrz.

- Zostaję. - Zacisnęła zęby i pokręciła głową.

Śmierć pani Marthy nie była zamierzona! - powiedziała Robin z naciskiem. Nachyliła się ku Janice Bernard. - Andy nawet nie wiedział, że jechała samochodem z Lisą. Pytał mnie potem, co ona tam robiła. Nigdy nie wsiadała do jaguara, bo nie był przystosowany dla osoby w jej stanie. Andy czekał na Lisę na parkingu, w swojej furgonetce, więc powinien był zauważyć, że zabrała mamę ze sobą. Nic nie widział. Musiał uważać i zachować bezpieczną odległość, bo ten chłopak Buchananów (powiedziała to z prawdziwym jadem w głosie) wynajął kogoś do pilnowania dziewczyny. Andy zorientował się któregoś wieczora, kiedy jechał tuż za nią, szukając możliwości spowodowania niegroźnego wypadku. Tylko po to, żeby ją nastraszyć i skierować jej myśli na inne tory. I wtedy zobaczył, że nie on jeden ją śledzi. Ale tamtej nocy nikt inny za nią nie jechał i dlatego Andy skorzystał z okazji. Nie chciał jej zabić. Najwyżej wysłać na jakiś czas do szpitala.

Lisa po raz pierwszy w życiu poczuła gwałtowne pragnienie zemsty. Aż syknęła. Przed oczyma stanęła jej przerażona twarz mamy.

- Jednak pani Grant zginęła - stwierdziła zimno Janice Bernard. - Czy właśnie wtedy zapadła decyzja o pozbyciu się Lisy?

Robin potrząsnęła przecząco głową.

- Myśleliśmy, że po śmierci matki wreszcie zapomni o tych nieszczęsnych Gardach. Może i tak by się stało, gdyby nie odkopali szczątków dziecka. - Nagle zwiesiła głowę, a Lisa w napięciu zbliżyła twarz do szyby.

- Dlaczego to miało takie znaczenie? - Pani prokurator prowadziła przesłuchanie właściwie w pojedynkę. Dziewczyna zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem Janice Bernard nie kopie pod stołem biednego Watsona.

- Wiedzieliśmy, co wykażą badania genetyczne. Że zidentyfikują dziewczynkę jako córkę Marthy i Barty'ego Grantów, a wtedy zaczną się przyglądać Lisie. Prawdopodobnie zrobią jej test DNA. No i wyjdzie powiązanie z Garciami, nie rozumiecie? Nikt nas nigdy z nimi nie łączył, nie było powodów. Ale to się miało zmienić przez Lisę. Wszystko by się wydało, policja odkryłaby, co zrobiliśmy. Byliśmy w domu, obserwowaliśmy przez okno, jak tamci ludzie wyjmują kości, i wiedzieliśmy, że prędzej czy później do nas dotrą. Wtedy przyszła Lisa, szukała mnie. - Robin oblizwała wargi i rozłożyła ręce. - Pozbycie się jej wydawało się jedynym sensownym rozwiązaniem.

Lisa oparła się na silnym ramieniu Scotta, szczęśliwa, że może to zrobić. Ta kobieta, którą przez całe swoje życie traktowała jak ukochaną ciocię, opowiadała właśnie, jak to postanowiła ją zabić.

-1 nigdy nie chcieliście nikogo skrzywdzić? - prychnął szyderczo detektyw Watson. - Niech zgadnę: dziecka, które znaleźliśmy w dziurze pod fontanną, też nie chcieliście skrzywdzić. Ale jedno z was je zamordowało.

Robin zbladła i jakby się skurczyła.

- Mamy dowody, że dziewczynka została uduszona - potwierdziła Janice Bernard niemal łagodnie.
- To nie ja, tylko Andy. Na polecenie starego pana Carmody'ego, ojca pani Marthy. Ja o niczym nie wiedziałam, nie zgodziłabym się. Była najśłodszy dzieciątkiem pod słońcem, tylko bardzo chorym. Pani Martha kochała ją nad życie i ja także. Pomagałam się nią opiekować. Wierzyłyśmy, że wyzdrowieje, wbrew opinii lekarzy. Pani Martha modliła się o to codziennie godzinami i wydawało nam się, że jest lepiej. Tamtej strasznej nocy pani Martha poszła się zdrzemnąć około pierwszej. Ja wróciłam wcześniej cała roztrzęsiona po... No i tuliłam dzieciątko w ramionach, żeby sama także mogła się poczuć trochę lepiej. Była maleńką kruszynką, niewiele chciała jeść. Udało mi się ją uspić i wtedy przyszedł pan Carmody. Zabrał mi malutką i wyszedł. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, dopóki Andy nie przyniósł mi innego dziecka, ubranego w te same ubranka, zawiniętego w ten sam kocyk. Od razu rozpoznałam tę drugą dziewczynkę, byłam przy jej narodzinach w tamtym przeklętym domu kilka godzin wcześniej. Potem dowiedziałam się od Andy'ego, co kazał mu zrobić pan Carmody. Zabili hasze maleństwo, bo lekarze twierdzili, że i tak wkrótce umrze. Pan Carmody obawiał się o życie swojej córki, jeżeli tak by się stało. Postanowił więc ratować córkę, którą kochał najbardziej na świecie. Dał jej zdrowe dziecko tej Angeli Garcii. Nic nie mogłam zrobić.

Detektyw Watson chciał coś powiedzieć, lecz coś go powstrzymało. Zamiast niego odezwała się, bardzo łagodnie, Janice Bernard.

- A pani Grant się nie zorientowała, że podmieniono dzieci?

Robin pokręciła głową.

- Pan Carmody o wszystkim pomyślał. Jeszcze tej samej

nocy panią Marinę odwieziono do szpitala psychiatrycznego z powodu załamania nerwowego. Był bardzo bogatym, wpływowym człowiekiem i nie miał trudności ze zorganizowaniem córce miesięcznego pobytu w klinice. Po jej powrocie wszyscy byliśmy już w lepszej formie, a dziecko rozkwitło. Pani Martha nie zauważyła zmiany. Tak bardzo się cieszyła z wyzdrowienia córeczki, że nie myślała o niczym innym. A ja cieszyłam się jej szczęściem. Wszystko się ułożyło.

Wszystko się ułożyło, powtórzyła w myślach Lisa. Zamordowali całą czteroosobową rodzinę i bezbronne niemowlę, a mnie dali życie, które należało do kogoś innego. Miała wrażenie, że ziemia rozstępuje jej się pod nogami, a wszystko, co znała, zaczyna się przesuwać i rozmywać.

- Dobrze się czujesz? - spytał Scott, ściskając ją pocieszająco.

Skinęła głową, wdzięczna za wsparcie, jakie jej okazywał.

- Kocham cię. - Jego szept był cichy jak oddech, ale usłyszała. Wsparła czoło na ramieniu ukochanego.

- Wróćmy na chwilę do tej nocy, gdy zginęli państwo Garcia. Co się właściwie wydarzyło? - Watson patrzył na Robin bez cienia współczucia.

Kobieta westchnęła. Prokurator Bernard uśmiechnęła się zachęcająco.

- Nie było mnie tam, kiedy to się zaczęło. Przygotowywałam kolację w Grayson Springs, wszyscy muszą jeść, nieważne, co się dzieje. Ktoś zastukał w tylne drzwi. Nie widziałam powodu, żeby nie otwierać.

Nieznajomy mężczyzna przedstawił się jako Michael Garcia i zażądał rozmowy z panem Carmodym.

Powiedział, że ma ważną sprawę dotyczącą jego córki. Zachowywał się bardzo niegrzecznie. Pan Carmody musiał usłyszeć jego krzyki,

bo zaraz zjawił się w kuchni. Sprawiał wrażenie, jakby się orientował, o co chodzi i zaproponował, żeby wyszli do ogrodu. Bardzo uważaliśmy, by nie zakłócać spokoju pani Marthy, wystarczyło, że biedaczka zamartwiała się o dziecko. Pan Carmody rzeczywiście znał tego człowieka. Wynajął prywatnego detektywa, aby śledził pana Granta, stąd wiedział o jego romansie w Waszyngtonie. Nie powiedział ani słowa córce, ale znał każdy szczegół owej sprawy. Kiedy tamci się tu sprowadzili, wysyłał Andy'ego na przespługi, brat chował się w lesie, między gęstymi drzewami i miał na wszystko oko. - Przerwała na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu.

- Co się wydarzyło po wyjściu Michaela Garcii i pana Carmody'ego? - zniecierpliwił się Watson.

- Pan Carmody wrócił po kilku minutach, blady z wściekłości. Nie odezwał się ani słowem, poszedł do siebie, a niedługo potem zjawił się Andy. Powiedział, że pan Carmody go wezwał i wyszli razem. Andy jest moim bratem, znam go dobrze, po jego minie od razu wiedziałem, że szykują się kłopoty, ale wolałam o nic nie pytać w obecności naszego chlebodawcy. Wyjrzałam przez okno: pan Carmody odjeżdżał swoim mercedesem, a Andy wkładał strzelbę do furgonetki. Postanowiłam pojechać za nimi. Pana Carmody'ego nie było już u Garciov, ale furgonetka Andy'ego stała zaparkowana za domem, niewidoczna z drogi. Weszłam do środka przez otwarte drzwi kuchenne. Martwy Michael Garcia leżał tuż za progiem. W korytarzu była kobieta. Ranna, ale żywa. Okropnie krwawiła. Zorientowałam się, że jest w ciąży i właśnie zaczęła rodzić. Mówiła: „Moje dzieci”, wskazując ręką sąsiednie pomieszczenie. Weszłam do tamtego pokoju i zobaczyłam małego chłopca. Nie żył, został zastrzelony. Wybiegłam z domu, od strony lasu nadchodził Andy z latarką. „Coś ty zrobił?”, zawołałam. A on na to, że wykonał polecenie

pana Carmody'ego. Potem powiedział, że muszę mu pomóc, bo dziewczynka uciekła i chowa się w lesie. Trzeba ją odszukać i zabić.

Barty ze świstem wciągnął powietrze; był trupioblady.

- Znaleźliście tę dziewczynkę? - zapytała Janice Bernard.

- Tak. Skuloną pod krzakiem. Wydało ją szczekanie psa, do którego się tuliła. Kiedy Andy skierował na nią światło latarki, przyciskała do siebie z całych sił lalkę. Miała zaciśnięte powieki i za nic nie chciała na nas popatrzeć.

Z gardła Barty'ego wydobył się dziwny zduszony dźwięk. Scott nachylił się ku niemu i spytał, czy dobrze się czuje, a on pokiwał tylko głową.

- I Andy ją zastrzelił - powiedział Watson.

- Nie. Nie pozwoliłam mu. Nie mogłam cofnąć niczego, co już się stało, ale mogłam go powstrzymać przed zabiciem małej bezbronnej dziewczynki.

- Co się z nią stało? - Janice Bernard okazała zaskoczenie.

- Zabraliśmy ją stamtąd, razem z lalką i psem. Musieliśmy zatrzeć wszelkie ślady po tym, co zrobił Andy. To był zwykły czarny kundel. Zdjęliśmy mu niebieską obrozę z imieniem Lucy i adresem gdzieś w Marylandzie. Obrozę wyrzuciliśmy, a pies mieszkał z nami przez wiele lat w Grayson Springs. Pan Carmody nigdy się nie domyślił, czyj to był pies.

- Co się stało z dziewczynką? - spytał ostro detektyw Watson.

- Kazałam Andy'emu zawieźć ją do naszej siostry, która mieszka w Montanie. Przebraliśmy małą, obcięliśmy jej włosy i schowaliśmy lalkę, w obawie, że ktoś ją może rozpoznać. Lisa znalazła ją któregoś dnia w piwnicy, miała wtedy dwa albo trzy latka. Musiałam jej pozwolić wziąć lalkę, bo była z nami pani Martha, poza tym minęło już

sporo czasu i uznałam, że nic takiego się nie stanie. Moja siostra Judy i jej mąż bardzo pragnęli dziecka, a nie mogli mieć własnego. Powiedziałam jej, że ojciec dziewczynki zamordował żonę, a potem popełnił samobójstwo. Mała została sama, więc mogą ją zatrzymać, pod warunkiem że nie będą za dużo o tym gadali. Inaczej dziewczynka zostanie zabrana do domu dziecka. Judy ucieszyła się jak nie wiem co. Barty zacisnął kurczowo palce na drewnianej poręczy i zagryzł usta. Scott położył mu rękę na ramieniu.

- Twierdzi więc pani, że Marisa Garcia nadal żyje?

- Tym razem prokurator Bernard nie kryła emocji.

- Mieszka w Montanie i nazywa się Mary Frye. Jest pielęgniarką.

Czas jakby stanął w miejscu. Wszyscy wpatrywali się w Robin.

- Zabrałam dziewczynkę i zostawiłam Andy'ego, żeby sprzątnął bałagan, którego narobił - mówiła dalej.

- Tamta kobieta zmarła, ale dziecko zdążyło się urodzić i przeżyło. Andy przeszedł w wojsku podstawowy kurs medyczny i wiedział, co robić w takiej sytuacji. Pomogłam mu. Potem pozbył się ciała, a dziecko zawiózł parni Carmody'emu.

- Westchnęła. - Tak to było.

Niewiele ponad dwa tygodnie później, w słoneczne sobotnie popołudnie, Lisa czekała na małym lotnisku w Lexington na przylot siostry. Trudno jej było uwierzyć, że naprawdę ją ma, ale bardzo się cieszyła na to spotkanie. Towarzyszyli jej Scott i Barty. Ojciec, w przeciwieństwie do pozostałej dwójki ubranej w codzienne rzeczy, miał na sobie elegancki kosztowny garnitur. Był bardzo przejęty. Jego stosunki z córką wreszcie się poprawiły. W ostatnią niedzielę odbyli długą rozmowę, odwiedził Lisę w mieszkaniu Scotta, przeprosił ją za to, że zupełnie zniknął z jej życia. Teraz, kiedy poznała prawdę, może spróbować się wytłumaczyć, powiedział.

- Byłem zdruzgotany zniknięciem Angie i dzieci, nie miałem pojęcia, co robić. W pierwszej chwili pomyślałem, że może udało jej się przekonać męża, żeby stąd wyjechali. Gdzieś dalej od Marthy i jej rodziny. Długo czekałem, aż się do mnie odezwie. Nie zrobiła tego, a ja... Cóż, postanowiłem się z tym pogodzić. Dla dobra nas wszystkich. Nie, dla własnego dobra. Taka jest prawda. Próbowałem ratować małżeństwo z Martha, chociaż zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Jeśli mam być szczery, a właśnie próbuję, to ożeniłem się z nią dla pieniędzy i koneksji. A potem ty w miarę dorastania zaczęłaś coraz bardziej przypominać Angie. I Marisę. Najpierw nie mogłem uwierzyć.

Podobieństwo było tak uderzające, że nie mogłam go uważać za przypadek- Domyśliłem się, kim jesteś, i śmiertelnie mnie to przeraziło. Nie wiedziałem, co się dokładnie stało, ale podejrzewałem, że Carmody maczał w tym palce. Wybacz mi ostre słowa, ale ten człowiek był bezwzględny i parzywym łotrem. Uciekłem ze strachu przed nim. Zostawiłem Grayson Springs i wszystko, co tam przeżyłem. A także ciebie. Wiem, że powinienem był powiadomić władzę o swoich podejrzeniach, ale wtedy pograżyłbym także siebie. Tak więc milczałem. Wyjechałem i zacząłem nowe życie. - Siedzieli obok siebie na kanapie. Barty wziął Lisę za rękę, a ona nie cofnęła dłoni. Byli niczym jedyni ocaleni z potwornej katastrofy, związani na całe życie. - Zachowałem się jak tchórz. Przepraszam, Liso. Teraz rozumiem, jak bardzo cię skrzywdziłem.

- Wybaczam ci - powiedziała szczerze. Uścisnęli się nawet. Trochę niezręcznie im to wyszło, ale przynajmniej spróbowali. Niektóre rany goją się trochę dłużej.

Scott wyszedł ze swojego gabinetu, gdzie siedział przez dłuższy czas, udając, że pracuje, aby mogli swobodnie porozmawiać. We troje zaczęli teraz rozmawiać o zbliżającym się ślubie.

Lisa zaskoczyła samą siebie, prosząc ojca, żeby ją poprowadził do ołtarza.

Teraz stali razem, ojciec i córka, czekając niecierpliwie na brakującego członka rodziny.

Nagle ją zobaczyli. Szła ku nim uśmiechnięta. Była piękna. Lisa kurczowo ścisnęła Scotta za ramię. Od razu wiedziała, że to Marisa. Podobieństwo do niej samej oraz Angeli Garcii nie pozostawiało wątpliwości.

Młoda kobieta miała cudowne jasnoniebieskie oczy.